

KAROL MAY

POGROMCA YUMA

**TOM PIERWSZY CYKLU SZATAN I JUDASZ
TŁUMACZ ANONIMOWY**

W SONORZE

Gdyby mnie kto zapytał, jakie miasto na ziemi jest najbardziej ponure i gdzie spędza się czas najnudniej, odparłbym bez namysłu: to Guaymas w Sonorze, północno-zachodnim stanie republiki meksykańskiej. Jest to co prawda odczucie wręcz osobiste i kto inny mógłby się o nie spierać; ja jednak nie mogę go zmienić, gdyż — przepraszam za wyrażenie, lecz jest ono bardzo odpowiednie — przepróżniaczyłem w tej przeklętej dziurze dwa najbardziej jałowe tygodnie mojego życia.

Góry wznoszące się we wschodniej części Sonory obfitują w pokłady szlachetnych metali, miedzi i ołowiu, a prawie w każdej rzece można znaleźć złoty piasek w większych lub mniejszych ilościach, jednak w tych czasach, z obawy przed Indianami, wydobywano owe skarby w niewielu miejscach. A dla większego bezpieczeństwa zapuszczano się w góry tylko w licznej kompanii. Największa trudność polegała na skompletowaniu odpowiedniej ilości pracowników. Meksykanin nadaje się do wszystkiego, byle nie do pracy; Indianin nigdy nie zgodziłby się wykopywać złota za pieniądze, ponieważ uważa je za swoją prawowitą własność. Chińczyków zaś, pomimo, że uwija się ich tutaj aż nadto, nikt nie chce najmować, bo gdy raz się najmie żółtego, to już niepodobna się go pozbyć. Ale zapyta może niejeden — wszak pozostają przecież gambusinnowie i prospektorzy, owi prawdziwi poszukiwacze złota i robotnicy kopalniani; ci byliby najodpowiedniejsi; dlaczego ich nie zaangażowano? Odpowiedź bardzo prosta: wszyscy poszukiwacze złota przenieśli się wówczas do Arizony, gdzie, jak dochodziły wieści, złoto w nieprzebranych wprost ilościach garnęło się samo do rąk. Obszar Sonory opustoszał zupełnie, podobnie jak teraz, kiedy nie tylko górnictwo, ale i hodowla bydła ucierpiała wiele w tym kraju z powodu ciągłej trwogi przed dzikimi Indianami.

Co do mnie, to nie uległszy bynajmniej gorączce złota, chciałem dostać się do Arizony, aby zaobserwować tamtejsze oryginalne życie. Nadarzyła się jednak lepsza sposobność poznania okolicy. Wydawca pewnej gazety w San Francisco zaproponował mi pisanie dla niego komunikatów z powstania meksykańskiego, które właśnie w tym czasie wybuchło, a powstańcami dowodził znany generał Jargas. Z radością przyjąłem propozycję.

Jargas nie miał szczęścia. Powstanie upadło, a wodza stracono. Odesławszy ostatnie sprawozdanie, wróciłem przez góry Sierra Verde, ażeby dostać się do Guaymas. Miałem nadzieję znaleźć tam okręt, zdążający do jakiejś miejscowości nad Zatoką Kalifornijską, położonej bardziej na północ, gdyż celem mojej podróży była rzeka Rio Gila, gdzie według umowy miałem się spotkać z moim przyjacielem, wodzem Apaczów Winnetou.

Powrót mój nie odbywał się tak szybko, jak sobie życzyłem. Jeszcze w samotnych górach Sierry potknął się mój koń tak nieszczęśliwie, że złamał przednią nogę. Musiałem go zastrzelić i ruszyć piechotą w dalszą drogę. Całymi dniami nie widziałem ludzkiej twarzy, nie mogłem więc marzyć o kupnie konia lub muła. Musiałem się przy tym pilnie wystrzegać spotkania z Indianami Bravos, plemieniem nieujarzmionym i nieprzychylnym obcym, gdyż mógłbym to drogo opłacić. Wędrówka była długa i wyczerpująca. Odetchnąłem z ulgą dopiero, gdy zszedłem w skalną dolinę, w której leży smutna miejscowość Guaymas.

Miasto, którego widoku z taką tęsknotą oczekiwałem, nie przedstawiało się bynajmniej zachwycająco. Miało wtedy zaledwie dwa tysiące mieszkańców i składało się z domów bez okien, zbudowanych z pustych wewnątrz cegieł. Otoczone naokoło wysokimi, nagimi skałami, leżało w nieznośnym skwarze słonecznym, podobne do zbielałego szkieletu i zdawało się być zupełnie wymarłe, gdyż zarówno na ulicach, jak i w całej okolicy nie zauważyłem w pierwszej chwili żywej duszy.

Muszę jednak przyznać, że jeżeli Guaymas wywarło na mnie niezbyt miłe wrażenie, to tym gorsze moja osoba wywarła ma mieszkańcom tej miejsciny.

Odzienie, za które zapłaciłem osiemdziesiąt dolarów przed odjazdem z San Francisco, podarło się już na strzępy, a obuwie zbliżało się do kresu swojej egzystencji. Prawy but dawno zapomniał o obcasie, przy lewym zachowała się jeszcze połowa tej ozdoby. Gdy obserwowałem rozdziawione z przodu nosy moich trzewików, przypominały mi się gwałtem szeroko rozwarte, zgłodniałe dzioby naszych pocziwych wiejskich kaczek.

A wreszcie kapelusz! W szczęśliwych czasach zwany sombrero, to znaczy cienisty, zrezygnował teraz zupełnie ze swego zaszczytnego tytułu. Jego szeroka kresa zniknęła coraz bardziej, (choć do dziś dnia nie rozumiem, z jakiego powodu) a to, co tkwiło jeszcze na mojej głowie jako wierna pozostałość kapelusza, miało kształt mniej więcej tureckiego fezu i nadawałoby się wyśmienie do cedzenia atramentu. Jedynie pas skórzany, mój długoletni towarzysz, dowiódł i tym razem swej wytrzymałości.

Idąc powoli wzdłuż ulicy i rozglądając się w obie strony, czy przecież nie ujrzę jakiejś żywej istoty, zauważyłem niski budynek, nad którego wejściem widniał duży napis, zawieszony na dwóch drągach, wystających z dachu. Litery były niegdyś białe, malowane na ciemnym tle, tak jednak wyblakły i spłowiały, że zdołałem tylko przeczytać zachęcające słowa: MESON de...

Stałem chwilę, usiłując odcyfrować ostatnie słowo na szyldzie, gdy usłyszałem czyjeś kroki. Obróciwszy się, pozdrowiłem uprzejmie jakiegoś człowieka i poprosiłem, aby mi wskazał najporządniejszą gospodę w mieście. Przechodzień wskazał mi budynek, przed którym stałem.

— Niech pan dłużej nie szuka, sennor! To najwykwintniejszy hotel w mieście. Niech pana nie zraża brak na szyldzie słowa „Madrid”; jeśli się pan poleci gospodarzowi i oczywiście jeśli ma pan czym zapłacić, sennor będzie miał wszystko, czego sobie zażyczy. Gospodarz nazywa się don Geronimo. Moim słowem może pan zaufać, gdyż jako *escribano*, czyli pisarz gminny znam w Guaymas wszystkich obywateli.

Wymieniając swoje dostojne stanowisko, uderzył się kułakiem w piersi, następnie obrzucił mnie spojrzeniem, które wyraźnie powiedziało co o mnie myśli. „Lepiej zapewne zostałbyś przyjęty w więzieniu miejskim, niż w hotelu!”

Ufając tej znakomitości guaymaskiej przestąpiłem próg gospody. Byłbym tutaj wstąpił nawet bez polecenia pisarza, gdyż bardzo znużony nie miałem ochoty wystawiać się dłużej na żar południowego słońca.

Najwykwintniejszy hotelu miasta, Maison de Madrid. Miłe pokoje, czyste łóżka, smaczne potrawy. Poczuję ogromny apetyt. Wszedłem i znalazłem się od razu we „wszystkich ubikacjach”.

Hotel posiadał jedną, jedyną izbę. Oprócz drzwi od ulicy, zauważyłem drugie, prowadzące na podwórze. Okien, lub jakichkolwiek innych otworów w ścianach, nie było. Obok tylnych drzwi stało kamienne palenisko, poczerniałe od sadzy. Miejsce to było dowcipnie wybrane, gdyż pozwalało dymowi uchodzić wprost przez bramę, bez specjalnego komina. Podłogę stanowiła twardo ubita glina, wkopane w nią pale tworzyły nogi stołów i ławek. Po lewej stronie wisały wzdłuż muru hamaki jako łóżka dla gości, z których jednak mogli korzystać wszyscy według upodobania. Przy drugiej ścianie był bufet, prawdopodobnie zbity z kilku starych skrzyń. Obok niego wisało znowu kilka hamaków, „wygodne miejsce spoczynku” rodziny właściciela hotelu. W jednym z nich spali trzej chłopcy. Ręce i nogi mieli tak poplątane, że dopiero po dobrej chwili można było dojść, które kończyny do którego należą tułowia. W drugim hamaku wypoczywała córka gospodarza, sennorita Felisa. Miała szesnaście lat, jak mi to później powiedziała, chrapała jednak jak unisono szesnastu burz zimowych. W trzecim hamaku odbywała popołudniową drzemkę gospodyni. Była to jejmość wysoka na sześć stóp i pięć cali; imię jej brzmiało donna Elwira. Małżonek jej objaśniał mi później w zaufaniu, że nie ma na świecie niewiasty tak rezolutnej. Ja jednak nie miałem szczęścia oglądać wulkanicznego wybuchu jej energicznego temperamentu, gdyż donna Elwira zawsze, ile razy ja widziałem, albo drzemała, albo spała jak suseł. W czwartym hamaku odkryłem przedmiot, podobny do pierścienia, barwy szarego, lnianego płótna, który w pierwszej chwili wziąłem za

pas ratunkowy, jakiego się używa na okrętach; przypatrzwszy się jednak bliżej, doszedłem do przekonania, że domniemany pas może zmienić się w razie potrzeby w coś szlachetniejszego. Z tego więc powodu zdecydowałem się dać mu lekkiego szturchańca. W odpowiedzi na to pierścień poruszył się i rozwinął. Ukazały się ręce, nogi, nawet głowa, i wreszcie pas ratunkowy rozwinął się całkowicie, zeskoczył z hamaku i stanął przede mną jako mały, chudy człowieczek, odziany w szare, lniane ubranie. Przypatrzwszy mi się zdziwionym wzrokiem, zapytał tonem, w którym miał być gniew, lecz brzmiał jedynie wyrzut:

— Czego pan chce, sennor? Dlaczego przeszkadza mi pan w moim popołudniowym wypoczynku? I w ogóle dlaczego pan nie śpi? Przecież w tym śmiertelnym upale każdy rozumny człowiek kładzie się na spoczynek!

— Szukam gospodarza! — odpowiedziałem.

— Ja jestem gospodarzem. Moje nazwisko grzmi Geronimo!

— Przybyłem właśnie w tej chwili do miasta i chciałbym wyruszyć w dalszą drogę okrętem. Czy mogę tymczasem zamieszkać u pana?

— Zobaczymy później! Teraz jednak niech pan śpi tam, w jednym z hamaków.

Wskazał na przeciwległą ścianę.

— Zmęczony jestem, to prawda, — odpowiedziałem — ale i głód mi dokucza.

— Później, później! Tymczasem niech pan śpi! — nalegał natarczywie.

— I w gardle mi wyszło!

— Dobrze, dobrze, postaram się o wszystko, niczego panu nie zabraknie, tylko niech pan teraz śpi, niech pan śpi nareszcie!

Z początku mówił zupełnie cicho; ostatnie słowa zabrzmiały jednak głośnie. Sąsiednie hamaki zaczęły się chwiać, wobec czego don Geronimo szepnął do mnie ostrzegająco:

— Ani słowa, sennor, gdyż inaczej zbudzi się donna Elvira! Śpij pan! Z tymi słowami wskoczył do swojego hamaku i zwinął się znowu w pierścień. Co miałem począć! Zostawiłem w spokoju śpiący „pas ratunkowy” razem z jego rodziną i wyszedłem przez tylne drzwi. Znalazłem się na dość obszernym podwórzu. W jednym jego kącie był, wsparty na słupach, daszek zrobiony z łodyg kukurydzy, pod którym przechowywano sprzęty gospodarskie. Obok leżała spora wiązka słomy, a przy niej duży pies, uwiązany na łańcuchu. Słoma była zapewne lepszym legowiskiem niż hamaki. Zbliżyłem się więc do wiązki, nieco zaniepokojony, że pies narobi hałasu i obudzi donnę Elvirę. Jednakże obawa okazała się płonna. Poczciwe psisko spało także, otworzyło wprawdzie oczy, po to aby zamknąć je natychmiast i nie zwracało na mnie wcale uwagi, gdy sobie przygotowałem posłanie ze słomy. Położyłem się i natychmiast zasnąłem, mając obydwie strzelby na ramieniu. Znużony, spałem tak twardo, że obudziłem się dopiero, gdy ktoś mnie silnie potrząsnął za ramię. Mijało już południe, nade mną stał mój mały gospodarz, mówiąc:

— Niech pan wstanie, sennor! Teraz mamy czas podjąć decyzję.

— Jaką decyzję? — zapytałem podnosząc się.

— Czy będzie wolno panu u mnie zostać, czy nie?

— Dlaczego potrzeba do tego decyzji?

Pytałem, chociaż doskonale wiedziałem o co tu chodzi. Przyjrzałem mu się dokładniej, niż to mogłem uczynić wcześniej. Był rzeczywiście nadzwyczaj mały i przerażająco chudy. Włosy nosił krótko przystrzyżone, prawie do skóry. Jego ostre rysy miały wyraz przebiegły i przy tym ogromnie dobronny.

— Donna Elvira życzy sobie, abym przyjmował tylko *cavalleros* — odpowiedział — a sennor przyzna chyba, że nie czyni podobnego wrażenia.

— Rzeczywiście? — zapytałem z uśmiechem, spoglądając nań z góry. — Czy sądzi pan, że tylko ten jest *cavallero*, kto ma nowe ubranie na sobie?

— Nie, czasem nawet porządnemu człowiekowi zdarzy się zaniedbać swoją powierzchowność, ale donna Elvira okazuje wrażliwość na tym punkcie i czuje do pana odrazę.

— Spała przecież, kiedy przyszedłem.

— Spała rzeczywiście, ona śpi w ogóle bardzo chętnie, jeśli nie ma nic innego do roboty, ale potem wyszła na podwórze, ażeby się panu przypatrzeć i gdy zobaczyła pańskie ubranie, pańskie buty, pański kapelusz, powiedziała sobie natychmiast... sennor, czy to konieczne, abym się wyrażał dosadnie?

Nie. Ja pana i tak rozumiem, don Geronimo. Ponieważ nie podobam się donnie, poszukam sobie innej gospody.

Zwróciłem się ku wyjściu. Wtedy jednak gospodarz zatrzymał mnie i powiedział:

Stój pan! Zaczekaj sennor jeszcze chwilkę! W domu jest tak samotnie, gdy nie ma żadnego gościa, a wreszcie pan mi nie wygląda na rozbójnika. Chciałbym wstawić się za panem u donny Elviry, do tego jednak trzeba udowodnić, że będziesz mi pożyteczny. Czy gra sennor w domino?

— Gram.

— Dobrze! Wejdz sennor do środka. Zrobimy próbę!

Donna Elvira leżała w swoim hamaku. Sennorita Felisa siedziała za bufetem przy szklance rumu. Chłopców nie było w izbie, zabawiali się na ulicy z rówieśnikami, obrzucając się zgniłymi pomarańczami. Don Geronimo przyniósł domino i zaprosił mnie, abym usiadł z nim przy jednym ze stołów. Gdy się rozległ chrzęst kostek, donna Elvira poruszyła się. Jej małżonek rzekł do mnie:

— Niech pan weźmie sześć sztuk, najwyższy dublet zaczyna. Gospodyni podniosła głowę. Sennorita Felisa zbliżyła się ze szklanką w ręce i przysiadła do nas, żeby móc lepiej obserwować grę. Teraz pojąłem, kogo miałem przed sobą. Ci ludzie spali, gdy nie grali w domino, a budzili się, aby grać. A jednak Geronimo był zaledwie znośnym graczem. Wygrałem pierwszą partię, drugą i trzecią. Przy pierwszej ucieszył się gospodarz, przy drugiej zdziwił, przy trzeciej zawołał zachwycony:

— Pan jesteś mistrzem, sennor! Pan musi u nas zostać, żebym mógł się uczyć u pana. Żaden człowiek nie zdołał mnie jeszcze pobić trzy razy!

Była to przesada. Podczas gry nie zadawałem sobie żadnego trudu, natomiast on grał tak niedołąźnie, że nie trzeba było żadnego obliczania, aby go pokonać. Teraz wstał i podszedłszy do swojej żony, rozmawiał z nią cicho przez chwilę. Następnie udał się za bufet, wy dobył jakąś książkę oraz olbrzymi kałamarz, postawił jedno i drugie przede mną na stole i powiedział:

— Donna Elvira udzieliła łaskawie pozwolenia, aby pan pozostał w naszym hotelu. Niech więc sennor wpisze do tej książki swoje nazwisko!

Otworzyłem podaną mi książkę. Zawierała same nazwiska, liczby i daty. Między kartkami leżało prastare, gęsie pióro, którego koniec, pokryty grubą, twardą powłoką zaschniętego atramentu był prawie dokładnie tak samo rozdziawiony, jak nosy moich butów.

— Tym piórem mam pisać? — zapytałem ubawiony.

— Oczywiście! Nie mam innego do dyspozycji, a sennor zapewne także nie nosi piór ze sobą?!

— Ależ tym ozogiem nie podobna napisać dwóch liter!

Jak to?! Powiadam panu, że odkąd ten hotel posiadam, to jest prawie od dziesięciu lat, wszyscy moi goście posługiwali się tym piórem i tym atramentem.

Atrament był oczywiście od dawna wyschnięty.

— Jak oni zabierali się do tego?

— Z pomocą wody, jak pan może łatwo się domyślić, jeśli sztuka pisania jest mu znana, choćby tylko powierzchownie. Gdy się wymoczy pióro w gorącej wodzie, staje się ono tak miękkie, jak nowe. Jeżeli się naleje gorącej wody do kałamarza, otrzymuje się zupełnie nowy atrament. Tutaj pisze się bardzo wiele, gdyż mój dom jest często odwiedzany a każdy gość musi się zapisać; z tych powodów nie mogę sobie pozwolić na rozrzutność, muszę oszczędzać pióro

i atrament. Ponieważ jednak pan, jak mi się zdaje, nie zna sztuki pisarskiej, więc ja pana wyręczone.

— Będę wdzięczny sennor, proszę o to bardzo. Usunie mi pan wielki ciężar z duszy!

— Bardzo dobrze! Nie każdy potrafi władać piórem! Natychmiast zagrzeję wodę.

Podszedł do bufetu, nalał spirytusu, czy rumu do lampki, zapalił i wzięwszy blaszany garnek z wodą, trzymał go cierpliwie nad płomieniem. Dziesięć lat zmuszał gości posługiwać się tym piórem i atramentem spalając za każdym razem za grosz spirytus. Wszystko dla swojej źle rozumianej oszczędności! Kiedy woda zagotowała się, co trwało przynajmniej kwadrans, zanurzył w niej pióro na chwilę, wylał zawartość naczynia do kałamarza, zakłócił silnie piórem i odezwał się zadowolony:

— Teraz mogę przystąpić do dzieła.

Położył książkę przed sobą, ustawił dogodnie kałamarz, chrząknął energicznie, sięgnął po pióro, zmarszczył głęboko brwi, ułożył książkę inaczej, kałamarz przesunął, zakasłał, usiadł wygodniej, niż poprzednio, słowem, zabierał się do owych kilkunastu słów tak, jakby miał spisywać kronikę świata.

W czasie gdy gospodarz gotował wodę, przewracałem kartki książki. Pismo na ostatnich stronach było ciemno-żółte, ku przodowi coraz więcej blakło tak, że na koniec nie można było nic przeczytać. Pierwsze karty zdawały się nigdy nie być zapisane.

— Niech pan teraz uważa sennor, — odezwał się don Geronimo — mam wpisać dzień i rok pańskiego przybycia do mnie, pańskie nazwisko, stanowisko lub zawód, wreszcie w jakim zamiarze pan tu przybył. Mam nadzieje, że sennor poda mi to wszystko ściśle według faktycznego stanu rzeczy!

Udzieliłem mu żądanych informacji, a on przeniósł je na papier, malując litery, które pod względem wyrazistości nie pozostawiały nic do życzenia. Malował powoli, bardzo powoli i z wielkim przejęciem, należnym tak ważnej i szlachetnej funkcji. Po upływie pół godziny zakończył nareszcie ostatnią kreskę i odsunawszy książkę od siebie, zapytał mnie z rozjaśnionym obliczem:

— Jak się panu podoba moja ręka, sennor? Czy widział pan już kiedyś takie litery i pociągnięcia?

— Nie, jeszcze nigdy, — odpowiedziałem zgodnie z prawdą — pan posiada bardzo charakterystyczne pismo.

— Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ prawie wszystkie nazwiska muszę sam wpisywać, gdyż przeważająca część gości podobnie jak i sennor nie umie się posługiwać piórem i atramentem.

— Dziękuję panu za podane mi wiadomości. Są one zrozumiałe, ale jednego tylko nie umiem sobie wytłumaczyć. Jako swój zawód podał pan, że jest literatem, ja jednak nie słyszałem o czymś podobnym. Czy to jest rzemiosło, ranga wojskowa, albo może odnosi się to do handlu w ogólności lub specjalnie do drobnego handlu pokątnego?

— Ani to, ani tamto! Literat jest tym, co pan określa słowem autor albo pisarz.

Spojrzał na mnie zaskoczony i zapytał:

— Czy ma pan majątek?

— Nie!

— Jeśli tak, to żal mi pana z całego serca! Przy tym zawodzie musisz sennor z konieczności umrzeć z głodu.

— Jak to, don Geronimo?

— Pan pyta jeszcze o to? O, ja znam te stosunki bardzo dokładnie, gdyż mamy tu także pisarza. Bogacz pisze do gazety, wychodzącej w Hermosillo. Musi bardzo dużo płacić, aby drukowano jego rękopisy. Jest to zajęcie, związane z wielkimi wydatkami, a nie przynoszące żadnych korzyści. Jak sennor może żyć, w co sennor zamierza się ubierać, co sennor chce jeść i pić? Żałuję pana najserdeczniej! Czy zdoła pan zapłacić za to, co u mnie pan zje?

— Tak! Na to jeszcze wystarczy.

— To mnie bardzo cieszy. Teraz nie dziwię się pańskiej odzieży i jednego tylko nie pojmuję, że pan wygląda przy tym tak dobrze i zdrowo. Ale, *caramba!*, teraz przychodzi mi na myśl, że przecież musi pan umieć pisać!

— Oczywiście!

— I pomimo to pozostawił mi pan tę pracę? Dlaczego ukrywałeś sennor, żeś opanował tę ciężką sztukę?

— Ponieważ nie byłoby uprzejmie z mojej strony zaprzeczać panu, skoro mnie uważałeś za człowieka, który nie umie się obchodzić piórem.

— Słusznie! Ta uprzejmość świadczy dobrze o panu. Czy mogę zapytać, skąd pan przybywa?

— Z tamtej strony Sierra Verde.

— Piechotę? Coraz bardziej żal mi pana!

— Wyruszyłem w drogę konno, jak to pan może poznać po tym, że noszę ostrogi; koń jednak upadł i złamał nogę; musiałem go zastrzelić!

Dlaczego nie wziął pan ze sobą siodła i uprzęży?

— Ponieważ nie chciałem dźwigać ciężaru na takim skwarze i przez tyle dni.

— Ale pan mógł je sprzedać i z otrzymanych pieniędzy żyć przez całe dwa dni. Nie powinien pan raczej dźwigać tych dwóch starych strzelb, które tu widzę. Jest to konstrukcja dziś zupełnie nie używana. Nie warta ani pół dolara. Może mi pan wierzyć, gdyż dobrze rozumiem się na tym!

Wziął do ręki sztucer Hanry'ego. Zauważywszy przy zamku walec z nabojami, potrząsnął głową. Potem sięgnął po niedźwiedziówkę, chcąc ją podnieść; zostawił ją jednak na podłodze, gdyż nie uradził jedną ręką.

— Niech pan to wyrzuci — zalecał — nie ma pan z tego żadnego pożytku a tylko zawadę w podróży. — Dokąd sennor udaje się z Guaymas?

— Okrętem dalej na północ, poza Hermosillo.

— Na to może sennor długo czekać! Rzadko okręty zapuszczają się tak daleko.

— Jeśli tak, to pojedę konno.

— W tym celu musiałby pan kupić sobie konia lub muła; zapewniam sen — nora jednak, że teraz nawet za drogie pieniądze nie dostanie pan nigdzie zwierzęcia wierzchowego. Gdyby sennor miał czas, mógłby skorzystać z kolei żelaznej, która prowadzi do Arispe.

— Kiedy odchodzą pociągi w tym kierunku?

— Pociągi? Zaraz można poznać, że pan tu obcy, sennor. Kolej jeszcze nie gotowa. Mówią, że będzie ukończona w ciągu trzech, czterech, może pięciu lat; o tym wszystkim jednak panu nie wiadomo. Pan nie powinien podróżować po kraju, którego pan nie zna i który jest tak bardzo oddalony od pańskiej ojczyzny. Przy pańskim ubóstwie jest to rzecz niebezpieczna. Pan podał jako swoją ojczyznę Sajonię. Gdzie leży to miasto?

— To nie miasto, lecz królestwo, należące do Alemanii.

— Całkiem słusznie! Nie można mieć w głowie wszystkich kart geograficznych! — odparł — A zatem wolno panu u mnie zostać; ponieważ jest pan bardzo dobrym graczem i wskutek tego znakomitym towarzyszem, będę miał wzgląd na pana i postawię sennorowi możliwie niską cenę. Za całkowite utrzymanie zapłaci pan jednego peso dziennie. Jest to cena stosunkowo niewielka i spodziewam się, że targ będzie zbyteczny!

— Dziękuję panu i zgadzam się. — oświadczyłem, gdyż za cenę jednego peso musiałem uważać „kompletne” utrzymanie ofiarowane jakby za darmo.

Don Geronimo skinął z zadowoleniem, odsunął książkę z nazwiskami gości na bok, sięgnął po domino i powiedział:

— Ponieważ pan jest głodny i spragniony, więc Pelisa przygotowuje panu posiłek, a tymczasem możemy zagrać kilka razy. Zaczynamy!

Nie pytał wcale, czy mam ochotę na grę, czy nie. Zdawał się uważać za rzecz zupełnie naturalną, że jestem takim samym namiętnym graczem, jak on.

Zgodziłem się na grę, gdyż nie chciałem mu sprawiać przykrości. Miałem zamiar pozwolić mu wygrać, ale do takiego stopnia grał nieudolnie, że nie mogłem jednak tego dokonać. Przy trzeciej partii poczułem od strony ogniska, przy którym krzątała się sennorita, woń przypalonej mąki. W połowie czwartej przerwał gospodarz nagle grę, uderzył się ręką w czoło i zawołał:

— Jak mogłem poprzednio o tym zapomnieć! Sennor chce się udać do Hermosillo, a ja nie pomyślałem wcale o tym, że nadarza się panu wspaniała sposobność. Mianowicie sennor Enriqueo czeka na okręt, który tu przyplynie i odpływa następnie do Labos.

— Ta miejscowość byłaby mi rzeczywiście na rękę. Ale co to za człowiek, którego pan nazywa sennor Enriqueo?

— Mój gość, którego nazwisko zapisane jest w książce tuż przed pańskim? Nie czytał pan? Otworzyłem książkę i przeczytałem na głos:

— Harry Melton. Święty dnia ostatniego.

Te słowa były napisane oczywiście po angielsku. *Saint of the Latter Day*. A zatem mormon! Skąd on się wziął tutaj? Co go sprowadziło z wielkiego miasta nad słonym jeziorem tak daleko na południe do Guaymas?

— Dlaczego spogląda pan w książkę tak zamyślony? — zapytał gospodarz. — Czy zauważył pan co szczególnego?

— Właściwie nie. Czytał pan te słowa?

— Tak, ale nie rozumiałem ich. Ten sennor jest taki poważny, dumny i pobożny, że nie chciałem narzucać mu się pytaniami. Prawdopodobnie wymawiałem źle jego imię, gdyż mnie objaśnił, że Harry znaczy tyle, co hiszpańskie Enriqueo. Dlatego tak go nazywam.

Więc on mieszka u pana?

— Sypia u mnie, wychodzi z rana i wraca dopiero wieczorem. Co robi cały dzień?

— Tego nie wiem. Nie mam czasu zajmować się każdym gościem z osobna!

To było słuszne. Ten mały człowiek grał i spał, spał i grał, więc oczywiście nie mógł absolutnie zwracać uwagi na swoich gości. Po krótkiej przerwie mówił dalej:

— Znam, tylko jego nazwisko i wiem, że czeka na okręt, zdążający do Labos. Sennor Enriqueo mówi w ogóle bardzo mało. Jego pobożność jest rzeczywiście godna pochwały. Szkoda tylko, że nie umie grać w domino!

— Skąd pan wie, że jest pobożny?

— Widzę to, gdyż przesuwając ustawicznie w palcach paciorki, nigdy nie wyjdzie, ani nie wejdzie, nie ukloniwszy się przed świętym obrazem, wiszącym na ścianie i nie zaczerpnąwszy święconej wody z kropielnicy w drzwiach.

Nic na to nie odpowiedziałem, gdyż uważałem za lepsze, nie wyjaśniać swoich myśli. Mormon z różańcem! Wielożeństwo i woda święcona! Księga mormonów i ukłon przed świętym obrazem! Ten człowiek był na pewno obłudnikiem, a jego obłuda musiała mieć jaką powód.

Nie mogłem zajmować się dalej tymi myślami, gdyż sennorita Felisa przyniosła właśnie filiżankę, zawierającą brunatną, gęstą ciecz i życząc mi smacznego, postawiła przede mną na stole. Ponieważ gospodarz przyłączył się do tego życzenia, więc mogłem przypuszczać zupełnie słusznie, że mam spożyć podany mi napój. Przyłożyłem zatem filiżankę do ust i skosztowałem raz, drugi, trzeci, aż na koniec powiedział mi mój język, że mam do czynienia z miksturą złożoną z wody, syropu i palonej mąki.

— Co to jest? — zapytałem.

Na to Felisa załamała ręce ze zdumienia i zawołała.

— Czy to możliwe, sennor? Pan nie pił nigdy czekolady?

— Czekolady? — zapytałem — Czekoladę piłem wiele razy!

— A to jest wszak czekolada!

— Nieprawdaz? — odezwał się gospodarz zadowolony — tak, moja czekolada słynie w całej okolicy. Kto wie jaką mieszaninę pił pan gdzie indziej! Moja jest jednak tak wyborna, że kto przychodzi do mnie po raz pierwszy, dziwi się niewymownie i nie daje wiary, sennor, jak znakomicie raczę moich gości!

Nie dałem mu poznać, że byłem wręcz przeciwnego zdania, tylko zapytałem:

— Co mi pan poda na kolację don Geronimo?

— Kolację? — odpowiedział zdziwiony, poczym objaśnił mnie, wskazując na filiżankę — to właśnie kolacja; stoi przecież na stole!

— Ach tak! Co daje pan na śniadanie? Filiżankę czekolady.

— Na obiad?

— Filiżankę niezrównanej czekolady. To jest najlepsze co można spożyć!

— Jeśli ktoś jednak chce mieć chleb i mięso, albo coś podobnego? To musi iść do piekarza i do rzeźnika.

— Powiedz pan, czy masz wino? Czekolada nie pomaga na pragnienie.

— O, wyborne! Życzy sobie pan szklaneczkę?

— Tak jest. Ile kosztuje?

— Trzydzieści centavos.

Równało się to połowie talara. Don Geronimo uczynił mi zaszczyt, przynosząc wino własnymi rękami, przy czym jednak podał je córce, zamiast mnie. Sennorita Felisa wypila połowę szklanki, nie skrzywiwszy się nawet i podała mi resztę z miłym uśmiechem. Skosztowałem mały łyk, który jednak spowodował natychmiastowy wybuch kaszlu. „Wino” było istną trucizną, najprawdziwszym kwasem siarkowym!

— Niech pan pije powoli, bardzo powoli — ostrzegał gospodarz. — Moje wino jest za silne dla pana!

— Rzeczywiście za mocne, don Geronimo — mówiłem kaszłąc, — pozwól pan, że pójde do piekarza i do rzeźnika!

— Nie wypije pan reszty wina? — zapytała sennorita.

— Nie. Muszę niestety bardzo dbać o swoje zdrowie.

Przytknęła szklankę do różanych ust i wypróżniła ją tak, jak poprzednio, nie drgnąwszy nawet powieką. Potem poprosiła mnie w poufnym tonie:

— Gdy pan pójdzie do piekarza i do rzeźnika, to niech mi pan co przyniesie, sennor. Goście szlachetni i ogładzeni zwykli zawsze tak czynić!

Zapłacić jednego peso, dostać trzy razy wody z mąką i syropem, spać w hamaku, najprawdopodobniej z żywym inwentarzem, a do tego zaopatrywać rodzinę gospodarza w żywność! Maison de Madrid. Najlepszy hotel miasta! O pisarzu gminny! Twoją dobrą radę cenię wysoko, ale rozejrzę się raz jeszcze!

Poszedłem, nie mówiąc oczywiście ani słowa o moim zdradzieckim zamiarze. Całe dwie godziny szukałem lepszego pomieszczenia, jednakże w końcu doszedłem do przekonania, że pisarz gminny miał słuszość. Maison de Madrid był po prostu pałacem w porównaniu z jaskiniami, które widziałem. Kupiłem zatem za jednego peso mięsa, które, mówiąc nawiasem, cuchnęło całkiem znośnie, następnie wziąłem u piekarza sporo płaskich placków kukurydzianych i powróciłem do hotelu, gdzie zostałem przyjęty z wielkim uznaniem, skoro tylko zauważono, że nie przychodzę z próżnymi rękami.

Miła Felisa, nie pytając wiele, odebrała natychmiast wszystko ode mnie i rozpałała ogień, ażeby upiec mięso. Trzej chłopcy zabrali się zaraz do placków, rozgryzając je w zębach jak kości, zaś donna Elwira usiadła w swoim hamaku, zbudzona wonią pieczeni rozchodzącą się od ogniska. Oblicza jej nie mogłem niestety zobaczyć, gdyż jedyna lampa jaka się tu znajdowała, stała daleko od niej, na stole, przy którym siedział gospodarz. Usiadłem naprzeciw niego. Wtedy don Geronimo podsunął mi domino i odezwał się po przyjacielsku:

Jeszcze kilka partii sennor, dopóki nie zaczniemy jeść. Nie mamy przecież nic innego do roboty!

Graliśmy zatem dopóki nie nakryto do stołu, to znaczy dopóki sennorita Felisa nie położyła przede mną najbardziej zatechłego kawałka mięsa, oczywiście bez talerza i jakichkolwiek innych dodatków, ale za to ze swoim najbardziej słonecznym uśmiechem. Reszta mięsa powędrowała ze zdumiewającą szybkością na miejsce swego przeznaczenia, które jednak nie znajdowało się niestety w moim głodnym żołądku. Z gościa zamieniłem się, albo raczej zostałem zamieniony, w gospodarza!

Właśnie, gdy po ostatnim kęsie obtarłem mój nóż o rękaw i wsunąłem go z powrotem za pas, przyszedł ów gość, którego ukazania się oczekiwałem z wielką, chociaż tajoną ciekawością. Człowiekiem tym był mormon. Blask naszej lampy sięgał aż do drzwi, a ponieważ siedziałem wprost naprzeciw nich, więc mogłem dokładnie obserwować przybysza.

Pokłonił się w stronę świętego obrazu, następnie sięgnął końcami palców do małej kropielniczki wiszącej przy drzwiach, a potem dopiero zwrócił się ku nam z krótkim pozdrowieniem. Zobaczywszy mnie, obcego, przypatrywał mi się przez chwilę, poczym podszedł szybkim krokiem do stołu, otworzył książkę z nazwiskami, przeczytał dane dotyczące mojej osoby i życząc dobrej nocy cofnął się w ciemną część izby, gdzie były umieszczone hamaki dla gości.

To wszystko odbyło się tak szybko, że nie miałem czasu przypatrzeć się dokładnie jego obliczu. Zarazem pokazało się, jak wielki respekt miał gospodarz przed Meltonem, gdyż, skoro tylko ten oddalił się od naszego stołu, rzekł don Geronimo do swoich:

— Sennor Enriquo chce spać. Połóżcie się i nie róbcie hałasu! Frontowe drzwi zamknięto na zasuwę, tylne, prowadzące na podwórze, pozostały otwarte. Donna Elwira położyła się z powrotem; sennorita Felisa podała mi rękę na dobranoc i podeszła również do swojej konopnej kołyski Morfeusza. Gospodarz, życząc miłego spoczynku, zdmuchnął mi światło przed nosem i wpęłzył w swoją huśtawkę, gdzie zamienił się natychmiast w pas ratunkowy. Pozostałem w ciemności. Co prawda byłem nieco zdumiony sposobem w jaki don Geronimo okazywał nowemu gościowi swoja gospodarską uprzejmość i pieczołowitość; ostatecznie jednak bawiły mnie te osobliwe stosunki.

Siedziałem chwilę, nie mogąc się zdecydować, gdzie mam wybrać miejsce na spoczynek. Wkrótce usłyszałem donośne chrapanie córeczki. Matka wydychała powietrze w zupełnie regularnych odstępach czasu i to z takim przejęciem, jakby ktoś zdmuchiwał światło. Ojciec wydawał pomruki, które można było śmiało porównać z brzęczeniem trzmiela. Wydawało mi się więc nieprawdopodobieństwem usnąć przy takim koncercie; dlatego zrezygnowawszy z hamaków, wyszedłem na podwórze, ażeby ulokować się na moim poprzednim legowisku. Pies zrazu warczał, wkrótce jednak się uspokoił, rozpoznawszy we mnie zapewne tego samego człowieka, którego już w południe znosił przy sobie. Wsunąłem strzelby pod kupę łodyg kukurydzy, gdyż dawnym zwyczajem nie chciałem się z nimi rozstawać. Ułożyłem się jak mogłem najwygodniej. Spałem wyśmienicie i obudziłem się dopiero, gdy słońce stało już dość wysoko na niebie. Wszedłem do izby. Chłopcy szamotali się i gonili naokoło ławek; donna Elvira leżała jeszcze, sennorita Felisa gotowała przy ognisku niezrównaną czekoladę, która pachniała dla odmiany zbiegłym syropem; gospodarz, skoro mnie tylko zobaczył, przyniósł spieszenie domino, ażeby rozpocząć na nowo wczorajszą pracę Danaid.

Mormon nie oddalił się jeszcze. Siedział przy stole i zdawał się oczekiwać mego ukazania się, gdyż zauważyłem, iż bacznie mnie obserwował. Starąłem nie dać mu do poznania, że czynię to samo, a jednak nie mogłem oderwać od niego oczu.

Była to osobistość oryginalna i nadzwyczaj interesująca. Dobrze zbudowany, odziany bardzo starannie, przedstawiał się okazale. Oblicze miał ogolone zupełnie gładko. Ale co to było za oblicze! Skoro je zobaczyłem, przypominały mi się natychmiast owe, jedyne w swoim rodzaju rysy, które nadał malowanym przez siebie diabłom genialny malarz francuski Gustaw

Dore. Podobieństwo było tak wielkie, że można było przypuszczać, jakoby mormon pozował Doremu do rysunku. Wiek jego oszacowałem najwyżej na czterdzieści kilka lat. Czarne pukle włosów wiły się wokół wysokiego, szerokiego czoła i opadały prawie aż na ramiona; była to rzeczywiście wspaniała czupryna. Oczy miał duże, aksamitno-czarne; nos lekko zakrzywiony, jednak nie zanadto ostry; drganie jego jasno — różowo zabarwionych nozdrzy świadczyło o żywym temperamencie. Usta miał bardzo delikatne, kształt ich jednak, a zwłaszcza kąci, zakrzywione nieco ku dołowi, pozwalały wnioskować, że Melton posiada silną, energiczną wolę. Podbródek był filigranowo, ale przecież silnie zbudowany, jak to można widzieć tylko u osób, których duch jest potężniejszy od zwierzęcych popędów i potrafi je tak w zupełności opanować, że trudno nawet przypuszczać ich obecności. Z osobna każdą część jego oblicza trzeba było nazwać piękną, ale całości brakowało harmonii. A tam, gdzie nie ma harmonii nie może być mowy o pięknie prawdziwym. Nie mogę powiedzieć, czy ktoś inny odniósłby takie samo wrażenie, co do mnie jednak, to poczułem do mormona odrazę. Ta twarz, złożona z nieharmonizujących ze sobą części, wydała mi się fantasmagoryjną i wzbudzała we mnie uczucie przykrości. Do tego przyłączyło się jeszcze jedno. Im częściej spoglądałem na Meltona, tym wyraźniej odczuwałem, że był podobny do kogoś, którego spotkałem w okolicznościach nie rzucających na niego bynajmniej dobrego światła. Biedziłem się nad tym długo, lecz nie mogłem absolutnie przypomnieć sobie ani osoby, ani miejsca lub czasu, w którym mogło nastąpić to spotkanie. Podczas następnych dni widywałem mormona regularnie z rana i wieczora i za każdym razem rosło we mnie przekonanie, że już kiedyś zetknąłem się z człowiekiem bardzo do niego podobnym, który wystąpił wrogo względem mnie, albo względem jakiejś zaprzyjaźnionej ze mną osoby.

Melton, ilekroć mnie widział, mierzył mnie bystrym spojrzeniem, w którym przebijała tylko ciekawość; zdawało mi się jednak, że mormon starał się usilnie ukryć przede mną niemiłe wrażenie, jakiego doznawał na mój widok. Nie wiedział może, że wrażenie to było obustronne.

Jak już nadmieniałem, czekałem na okręt, mormon zaś, według wiadomości udzielonej mi przez gospodarza, zdawał się być pewnym przybycia okrętu. Mimo to nie zwróciłem się do niego o bliższe szczegóły, gdyż miałem poczucie, że skoro raz wejść z nim w stosunki, nie będę się mógł już od niego uwolnić. Było przecież jasne, że wystarczyło zwrócić się do kapitana statku, ażeby zostać pasażerem. Jednakże stało się inaczej niż zamierzałem. Piętnastego dnia, wieczorem, mormon, przyszedłszy do hotelu, nie położył się natychmiast spać, jak to zwykle czynił, lecz przysiadł się do nas, to jest do gospodarza i do mnie, gdyż rozumiało się samo przez się, że obydwaj trawiliśmy czas przy grze w domino. Po długich, bezowocnych wysiłkach udało mi się na koniec doprowadzić do tego, że mały don Geronimo wygrał partię.

— Teraz przyl czar, sennor! — zakrzyknął uradowany. — Pan przyzna chyba, że gram właściwie o wiele lepiej od pana i tylko zły los prześladował mnie dotychczas. Pan chwycił zawsze najlepsze kostki, podczas gdy mnie dostawały mc takie, których w ogóle nie warto brać do ręki. Teraz jednak musi być inaczej; zaraz panu pokażę, o ile pana w grze przewyższam! Zaczniemy na nowo!

Poodwracał kostki i mieszał je przygotowując się do nowej gry. Nie odpowiedziałem nic, gdyż miałem zamiar pozwolić mu wygrać także następną partię, jeśliby to tylko było możliwe; nagle jednak odezwał się po raz pierwszy mormon zwracając się do gospodarza:

— Co panu przychodzi do głowy, sennor! Czy pan nie zauważył, że pański przeciwnik wysiłał się po prostu, ażeby popełniać błędy i pozwolić panu wygrać partię? Pan przez całe życie nie nauczy się tak grać jak on! Co za grubiaństwo! Posługiwał się zwykłym tytułem sennor, podczas gdy małemu człowieczkowi zależało bardzo na tym, ażeby go nazywano don Geronimo. Jakkolwiek gospodarz był zwykle bardzo uprzejmy i miał przed mormonem wielki respekt, to jednak teraz dał Meltonowi ostrą odpowiedź, za którą ten oczywiście nie pozostał dłużny. Sprzeczka zamieniła się w głośną kłótnię; nareszcie Geronimo zapakował kostki i opuścił stół ażeby położyć się w hamaku. Mormon patrzył za nim z widocznym zadowoleniem,

z czego wywnioskowałem, że rozpoczął sprzeczkę umyślnie, ażeby usunąć gospodarza i zostać ze mną sam na sam.

Istotnie, skoro tylko mały zwinął się w swoim hamaku, Melton zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Pan mieszka tutaj już od piętnastu dni. Czy pan zamierza pozostać w Guaymas?

Zdanie to nie było wypowiedziane w tonie grzecznego pytania. Czułem, że Melton chciał się okazać przychylnym, przychodziło mu to jednak z trudem; jego pytanie brzmiało jak mowa urzędnika, albo przełożonego, który zwracał się do podwładnej mu osoby.

— Nie — odpowiedziałem — nie mam tu nic do roboty.

— Dokąd pan chce się udać?

— Może do La Libertad.

Wymieniłem to miasto, gdyż w jego pobliżu leżało Lobos, dokąd według opowiadania gospodarza miał płynąć okręt oczekiwany przez mormona.

— Skąd pan przyszedł tutaj?

— Z gór Sierra Verde.

— Co pan tam robił? Szukał pan może złota? Znalazł pan co?

— Nie — odparłem, nie zwracając uwagi na jego pierwotne pytanie.

— Myślałem to sobie! Po panu widać od razu, że pan jest biedakiem. Obrął pan sobie bardzo nieszczęśliwe rzemiosło.

— Jak to?

— Przeczytałem w spisie nazwisk, że pan jest literatem; otóż wiem dobrze, że w tym zawodzie można znaleźć tylko zubożałe i upadłe osobniki.

Jak mógł pan zapuścić się w tę okolice! Jesteś pan Niemcem. Gdyby pan został w swej ojczyźnie, mógłby pan tam pisać listy lub sporządzać rachunki dla ludzi nie umiejących obchodzić się piórem i zarabiać w ten, albo w podobny sposób, przynajmniej tyle, żeby nie cierpieć głodu!

— Hm! — zamruczałem nie dając mu poznać, że mnie bawił swoją logiką — pisanie listów nie przynosi takich dochodów, jak pan przypuszcza. Można przy tym przyciągać pasa, aż brzuch zetknie się z kręgosłupem!

— A pan nie znalazł na to innej rady, tylko powędrować w obce kraje, ażeby przyciągać pasa tak długo, dopóki pański brzuch zupełnie nie zniknie! Niech mi pan nie bierze tego za złe, ale to chyba głupota z pańskiej strony. Nie każdy ma takie szczęście, jak pański imiennik, który nie był zresztą literatem, tylko wyćwiczonym myśliwym, gdy wyruszał w świat.

— Mój imiennik? Kogo ma pan na myśli?

— Ach, myślałem, że pan był już w Stanach Zjednoczonych w zachodnich peryferiach, jednak pańskie pytanie zaprzecza temu, gdyż inaczej byłby pan słyszał o Old Shatterhandzie!

— Old Shatterhand? To nazwisko znam. Czytałem prawdopodobnie w jakiejś gazecie pewną opowieść podróżniczą, w której występował ten człowiek. Zdaje się, że to myśliwy preriowy, albo poszukiwacz śladów, jak to się tutaj tych ludzi nazywa!

— Jest nim rzeczywiście. Wiem przypadkowo, że jest Niemcem, a ponieważ pan nosi takie same nazwisko, więc w pierwszej chwili przyszła mi myśl, że mam do czynienia z owym Old Shatterhandem; jednakże bardzo prędko poznałem swoją pomyłkę. Lituję się nad pańskim smutnym położeniem i chcę panu dopomóc do podźwignięcia się z niedoli, oczywiście przypuszczając, że sennor ma tyle rozumu, ażeby się wydzwignąć z całych sił liny ratunkowej, którą mu rzucam.

Właściwie powinienem był wyśmiać go w oczy, jednak pohamowałem się i nie porzucałem skromnej miny. Jego brutalny sposób wyrażania się mógł mnie złościć, bawiło to mnie jednak, że pozostawiam go w błędzie i dlatego odpowiedziałem spokojnie:

— Dlaczego nie mam mieć tyle rozumu? Nie jestem przecież dzieckiem, które nie umie doceniać proponowanego mu dobrodziejstwa!

— Dobrze! Jeśli się pan zgodzi na moją propozycję pozbędzie się pan wszelkiej troski i otrzyma pan od razu bardzo płatne stanowisko.

— Gdybym mógł w to wierzyć! Proszę pana bardzo, niech mi pan jak najprędzej wyjawia swoją propozycję.

— Tylko powoli! Niech mi pan powie, co pan zamierza właściwie robić w La Libertad?

— Chcę szukać pracy, rozejrzeć się za jakimś zajęciem. Ponieważ tutaj, w tej zmarłej miejscinie nic nie znalazłem, więc mam nadzieję, że tam będę miał więcej szczęścia!

— Pan się myli. La Libertad leży wprawdzie nad morzem, ale jest to miejscowość jeszcze smutniejsza niż Guaymas. Setki głodnych Indian włóczą się tam nie mogąc znaleźć roboty. Pan znalazłby się jeszcze w trudniejszym położeniu niż tutaj. Prawdziwe to szczęście dla pana, że opatrność zrządziła nasze spotkanie. Pan słyszał może, że należą do świętych dnia ostatniego. Moja ofiara nakazuje mi każdą owieczkę, którą znajdę w pustyni zaprowadzić na kwitnące pola szczęścia; jest więc moim obowiązkiem dopomóc panu. Czy pan mówi i pisze po angielsku?

— Znośnie!

— To wystarczy. Może pisze pan po hiszpańsku tak dobrze jak mówi?

— Tak, ale nie mogę dać sobie rady z interpunkcją, ponieważ w języku hiszpańskim wykrzykniki i znaki zapytania stoją nie tylko po, lecz także przed zdaniem.

— To się jeszcze pokaże — odparł z uśmiechem wyższości, — nie żądam od pana mistrzostwa! Czy ma pan ochotę zostać *tenedorde libros*, księgowym?

Pytanie to wypowiedział z taką miną jakby mi ofiarował co najmniej księstwo. Dlatego odparłem w tonie radosnego zdziwienia:

— Księgowym? Jakże chętnie przyjąłbym takie stanowisko! — Niestety, jednak nie jestem kupcem! Słyszałem wprawdzie, że jest jakaś pojedyncza i podwójna buchalteria, ale nie rozumiem się na tym!

— To niepotrzebne, sennor, gdyż pan ma przyjąć miejsce nie u kupca tylko w hacjendzie. Wprawdzie nie mogę oznaczyć wysokości pańskiej płacy, gdyż to należy do właściciela hacjendy, ale zapewniam pana, że będzie sennorowi bardzo dobrze na tej posiadzie. Ma sennor wszelką swobodę i jestem przekonany, że otrzymasz pan nie mniej jak sto pesów. Oto moja ręka. Uderz pan! Kontrakt sporządzimy natychmiast.

Wyciągnął rękę. Udałem jakoby już chciał podać mu i swoją, lecz w ostatniej chwili zapytałem, cofając powoli dłoń:

— Czy pan mówi poważnie, czy też żartuje sobie tylko ze mnie? Wydaje mi się bardzo dziwnym, że sennor obcemu człowiekowi daje tak wspaniałą propozycję.

— Tak, to rzeczywiście bardzo dziwne i dlatego radzę panu nie zwlekać, tylko przyjąć ją czym prędzej.

— Chciałbym to uczynić, jak sam pan może przypuszczać, jednak jest przecież jasne, że powinienem dowiedzieć się bliższych szczegółów. Gdzie znajduje się owa hacjenda, do której chce mnie pan posłać?

— Nie chcę pana posłać, tylko sam pana tam zaprowadzę.

— To mnie cieszy jeszcze bardziej. Czy podróż jest bardzo kosztowna?

— Sennor nie wyda ani jednego centavo, gdyż ja opłacę wszystko. Skoro pan się zgodzi ostatecznie nie tylko uwolnię pana od wszelkich wydatków, ale nawet mam pełnomocnictwo wypłacić mu zaliczkę. Hacjendero jest moim przyjacielem. Nazywa się Timoteo Pruchillo i jest właścicielem hacjendy del Arroyo.

— Gdzie leży ta hacjenda?

— Poza miastem Ures. Aby tam dotrzeć trzeba popłynąć stąd okrętem do Labos, a później ma się aż do samej hacjendy wspaniałą drogę lądową; podczas tej krótkiej, ale bardzo przyjemnej podróży będzie pan miał dużo rozrywki i nauki, zwłaszcza że znajdzie pan tam liczne towarzystwo. Indianin nie jest wytrzymałym i pewnym robotnikiem, dlatego brak ludzi, którzy nadawaliby się do robót w hacjendzie. Otóż sennor Timoteo zwerbował Niemców, czy

też Słowian. Jest ich około czterdziestu robotników, którzy przybędą tutaj jutro; większość prowadzi żony i dzieci. Podpisali już kontrakty i wszystko jest tak obmyślane, że staną się wkrótce zamożnymi ludźmi. Hacjendaro posłał mnie, ażebym ich przyjął i objął przewodnictwo nad nimi przez resztę drogi.

— Z jakiej miejscowości pochodzą ci ludzie?

— Nie wiem tego dokładnie, ale przypuszczam, że mieszkali blisko granicy Polonii albo Pomeranii. Miasto, z którego okolicy pochodzą nazywa się, jeśli mnie pamięć nie myli, Cobili.

— Takiego miasta tam nie ma. Hm, Pomorze albo Polska! Może pan ma na myśli miasto Kobylin?

— Tak, tak; tak właśnie jak pan to wymawia brzmi nazwa owej miejscowości. Nasz agent doprowadził tych ludzi do Hamburga, skąd wyruszyli dalej parowcem do San Francisco. Stamtąd przybędą tutaj jutro na małym okręcie żaglowym. Statek ląduje w Guaymas tylko dlatego, by mnie zabrać na pokład i odplywa zaraz dalej. Jeżeli pan chce się jeszcze namyślić to mogę dać panu czas tylko do jutrzejszego poranka. Jeśli się zaś pan w tym czasie nie zdecyduje cofam moją ofertę i może pan siedzieć w Guaymas tak długo, jak mu się będzie podobać!

— Przypuszczam, że kapitan statku przyjąłby mnie jako pasażera aż do Lobos?

— Nie, stanowczo nie, nawet za najlepszą opłatą. Okręt jest wynajęty tylko dla owych wychodźców i kapitan nie śmie przyjąć nikogo innego. Po co więc się namyślać? Byłbyś senior po prostu wariatem, gdybyś odrzucił moją ofertę!

Patrzył na mnie z oczekiwaniem zapewne przekonany, że otrzyma potakującą odpowiedź. Byłem w kłopotcie. Miałem poprzednio zamiar pozwolić mu mówić, a potem go wyśmiać; teraz jednak musiałem tego zaniechać. W jaki inny sposób odjechałbym z Guaymas? Już sama ta okoliczność nakazywała mi nie dawać odmownej odpowiedzi. Miałem jednak jeszcze jeden powód, ażeby odbyć z nim tę podróż. Oczekiwał emigrantów z Europy, prawdopodobnie z poznańskiego, sprowadzonych do Ameryki w celach zarobkowych na podstawie zawartego z nimi układu. To już wystarczyło, ażebym się ich losem żywo zainteresował, tym bardziej, że zdziwiła mnie droga jaką obrał Melton do hacjendy. Wiedziałem, że miasto Ures w pobliżu którego miała leżeć hacjenda wznosi się nad rzeką w kierunku jej źródeł, tymczasem mormon chciał jechać aż do Lobos, a więc dalej. Drogę lądową stamtąd opisał mi wprawdzie jako bardzo przyjemną i pociągającą, przeczuwałem jednak, chociaż nie byłem nigdy w tej okolicy, że mnie okłamał. Choćby był nawet powiedział prawdę, to szło tutaj o tak wielkie okrażenie, że domyślałem się jakiegoś szczególnie ważnego powodu, który go do tego zmuszał. Ponieważ nie nadkłada się tak drogi z ludźmi mającymi ze sobą kobiety i dzieci, więc musiałem wnioskować, że nie jest to powód przypadkowy i niewinny. Skutkiem tego przyszło mi na myśl, że wychodźcom grozi jakieś niebezpieczeństwo; czułem się w obowiązku zbadać je i ostrzec tych ludzi. To jednak byłoby nieprawdopodobieństwem gdybym pozostał w Guaymas. Musiałem jechać z Meltonem. Ale jak? Związać się z nim nie mogłem, a tym mniej pisemnym kontraktem. Również okoliczności, że mormon zmuszał mnie po prostu do przyjęcia tak dobrej posady, chociaż uważał mnie za człowieka niezdatnego do niczego, wydawała mi się w wysokim stopniu podejrzaną. Jakie zamiary ukrywały się za tą propozycją, tego niestety nie mogłem na razie przewidzieć; na to potrzeba było czasu, który musiałem zdobyć podstępem. Dlatego odpowiedziałem na jego ostatnią uwagę:

— Pan ma słuszość, sennor! Gdybym odrzucił pańską propozycję to byłoby to głupotą, ale i wielką niewdzięcznością z mojej strony wobec pańskiej dobroci. Zgodziłem się w tej chwili, gdyby nie jedna jeszcze bardziej uzasadniona wątpliwość.

— Wątpliwość? Chciałbym wiedzieć jakiego rodzaju?

— Nie prowadziłem jeszcze żadnej książki i nie przebywałem nigdy w hacjendzie. Wątpię więc czy będę mógł zaspokoić hacjendera!

— O tym dwóch zdań nie ma! — przerwał mi. — Powiedziałem panu przecież, że pańska przyszła praca będzie dziecinną igraszka. Zapisuje pan co zebrano w polach, ile się urodziło

żrebiąt, ile cieląt, a wreszcie kwotę, którą sennor Timoteo otrzymał za swoje zbiory. To cała praca jakiej żąda od pana!

— I za to mam dostać kompletne utrzymanie oraz sto pesów miesięcznie?

— Przynajmniej sto!

— Jeśli tak, to zgodziłbym się w tej chwili, chciałbym tylko wiedzieć, czy rzeczywiście zasługuję na takie wynagrodzenie?

— Niepoprawny Europejczyk z pana! Dla mnie, jako dla świętego ostatnich dni jest najważniejszą rzeczą bogobojność i sprawiedliwość; pan jednak przesadza w uczciwości. Wy w Europie, jesteście jednak osobliwymi ludźmi!

— Może być, sennor, niech pan jednak zauważy, że nie odrzucam pańskiej propozycji. Jadę z panem, jednak umowę podpiszę dopiero wtedy, gdy przekonam się, że zasługuję na ofiarowaną mi zapłatę.

Co za niedorzeczność! Ale jeśli pan nie chce inaczej, to niech tak będzie. Ile posiada pan pieniędzy? Ponieważ pan tylko warunkowo ze mną jedzie więc nie mam obowiązku za pana płacić. Mogę panu ofiarować tylko wolny przejazd na naszym okręcie, poza tym nic więcej.

— Poprzestaję na tym, na szczęście mam jeszcze kilka pesów, które zapewne wystarczą na czas, dopóki nie dostaniemy się do hacjendy.

— Ale tak jak pan jest teraz odziany nie mogę go wziąć ze sobą. Czy może pan wystraszyć sobie jakieś nowe ubranie?

— Tak, gdyż przy obecnym gorącu kupuje się tylko odzież lekką i tanią.

— Więc niech pan załatwi to wszystko jutro rano, ażeby nie czekał na pana. Teraz dobranoc!

Skinął głową i nie podając mi ręki poszedł do swojego hamaku. Dzieci spały, sennorita Felisa chrapała, donna Elvira drzemała także ciężko oddychając, mały Geronimo wydawał tony podobne do skrzywienia nie naoliwionych zawias. Zgasiłem światło i skierowałem się ku mojemu legowisku z kukurydzy, gdzie pies, który przyzwyczył się do mnie przyjął mnie przyjacielskim lizaniem rąk.

Następnego dnia obudziłem się bardzo wczesnie, a przecież, gdy wszedłem do izby gościnnej mormona już nie było. Gdzie przebywał przez cały dzień? Nikt tego nie wiedział. Fakt również uderzający, bo kto chodzi uczciwymi drogami ten czynów swoich nie otacza tajemnicą.

Tymczasem sennorita Felisa przyrządzała śniadanie, to znaczy ową sławną czekoladę. Byłaby to moja trzydziesta filiżanka w tym domu, gdyby nie pewne spóźnione, niestety odkrycie jakie dziś poczyniłem; mianowicie, szanowna sennorita przyrządzała czekoladę na tej samej wodzie, w której myła przed chwilą swoje delikatne palce i twarz... Udałem, że mam ból żołądka i z tego powodu muszę zrezygnować z czekolady. Na to sennorita uśmiechnęła się wdzięcznie i przyłożywszy filiżankę do ust, do dna ją wypróżniła. Obtartszy usta wierzchem dłoni odezwała się rozczulająco:

Sennor, pan jesteś najszlachetniejszym kawalerem jakiego widziałam; skoro się pan ożeni uszczęśliwi pan swoją sennorę z pewnością. Wielka szkoda, że pan odjeżdża. Czy nie mógłby pan tutaj zostać?

— Czy pragnęłaby pani tego? — zapytałem.

— Tak!

— A co jest przyczyną takiego życzenia? Czy owo szczęście o którym mówiła sennorita właśnie, czy też czekolada, którą odstąpiłem pani tak chętnie?

— I jedno i drugie!

Prawdopodobnie oczekiwała, że doprowadzę tę poranną rozmowę do szczęśliwego końca, ja jednak uważałem za ważniejsze sprawić sobie nowe ubranie, więc poszedłem, ażeby poszukać jakiegoś *baratillero*, handlarza ubrań. Sklep, który wkrótce znalazłem był podobny do budy tandeciarza, ale na szczęście dostałem tam czego pragnąłem: spodnie, kamizelkę i bluzę z

niebieskiego płótna oraz kapelusz słomiany z bardzo szeroką kresą. Kupiłem również kawałek taniej materii z której chciałem uszyć futerał na strzelby; igły i nici mam zawsze ze sobą. Zmuszał mnie do tego ważny powód: chciałem, aby Melton uważał mnie jeszcze jakiś czas za takiego naiwnisia, jakim mu się wydawałem. Mormon zdawał się wiele wiedzieć o Old Shatterhandzie, więc być może broń moją znał również. Dlatego starałem się, przynajmniej z początku, ukryć karabiny przed jego wzrokiem. Kupiwszy jeszcze parę prostych, skórzanych butów i przebrawszy się, wróciłem do hotelu. Don Geronimo zobaczywszy mnie splótł ręce ze zdziwienia i wykrzyknął:

— Co widzę! Pan się nagle wzbogacił?! Pan mógłby się pokazać zupełnie spokojnie u boku każdego starokastylijskiego szlachcica! Niestety, postanowił sennor nieodwołalnie odjechać, ale gdybym był pana zobaczył wcześniej w tym ubraniu, zaproponowałbym sennorowi urząd majordoma mojego hotelu, a może zostałby pan również współnikiem!

Mój widok zdawał się być rzeczywiście czarujący, gdyż sennorita Felisa położyła rękę na sercu i westchnęła głęboko, a nawet donna Elvira wyprostowała się nieco w swoim hamaku, ażeby obdarzyć mnie spojrzeniem i... położyć się z powrotem, ciężko westchnąwszy. Ta siła czarodziejska mojego ubrania, które u nas kosztowałoby jedenaście marek, trwała jednak niezbyt długo, gdyż niebawem wystrzepiło się i podarło tak, że pojedyncze kawałki wiatr roznosił we wszystkich kierunkach. Mógłbym być wprawdzie kupić sobie coś lepszego i trwalszego, wszakże nie chciałem, aby Melton przypuszczał, że posiadam sporo pieniędzy.

Około południa przyszedł Melton po mnie, gdyż okręt nareszcie przyplłynął. Nastąpiło pożegnanie z życzliwymi gospodarzami; było wzruszające.

Don Geronimo zdobył się na czyn bohaterski, dając mi na pamiątkę swoje domino i... płakał z radości, gdy nie przyjąłem tej ofiary. Trzej chłopcy ściskali mnie za kolana, wycierając nosy w moje nowe spodnie. Sennorita Felisa chciała otrzeć sobie oczy chusteczką, lecz ponieważ właśnie w tej chwili miała w ręku tylko czarną ścierkę do czyszczenia pieca, więc wtarła sobie smutek i sadzę w płaczące oblicze; musze przyznać, że wywarło to na mnie daleko większe wrażenie, niż gdyby się była posłużyła prawdziwą chusteczką do nosa. Donna Elvira wyprostowała się na tyle, że zobaczyłem jej twarz prawie zupełnie wyraźnie i skinęła mi na pożegnanie ręką. Psu przyniosłem kawałek kiełbasy, gdyż miałem powody przypuszczać, że odkąd ujrzał światło dzienne nigdy nie kosztował tego przysmaku. Geronimo i Felisa poszli za mną na podwórze. Tam wyciągnąłem kiełbasę z kieszeni i pokazałem psu, ale zanim ten zdążył otworzyć paszczę przyskoczyła sennorita i wydarła mi podarunek z ręki wołając:

— Co pan robi, sennor! Czy chciał pan rzeczywiście taki delikatny kąsek zmarnować, dając go zwierzęciu? Ten przysmak należy do mnie, zjem go, wspominając pana!

Nie czekała jednak tak długo, lecz ugryzła natychmiast, co zniewoliło Geronima do szybkiego pochwycenia jej ręki celem wydarcia kiełbasy i wzięcia współudziału we wspomnianiu mojej osoby. Felisa uciekła z okrzykiem strachu, lecz on popędził za nią następcząc mi wreszcie sposobności opuszczenia gościnnego hotelu bez dalszych zakusów na moją kiełbasę i moje serce. Naturalnie pies musiał zadowolić się głaskaniem, co było prawdopodobnie mniej pożywne niż podarunek pożegnalny. Niebawem pośpieszyłem do Meltona, który czekał przed domem; w porcie wsiedliśmy do łodzi i kazaliśmy się odwieść na okręt.

Statek ów — był to mały szkuner, jeden z tych jakie, przynajmniej w owych czasach, umieli budować jankesi — szybki żaglowiec posiadał tyle płótna na masztach, że nawet najśłabszy wiaterek wystarczyłby do „prawienia go w ruch. Skoro przybiliśmy do boku statku, spuszczone nam drabinkę sznurową, a równocześnie wyjrzało wiele głów z pokładu i przyglądało się nam z ciekawością. Weszliśmy na pokład. Pierwszą osobą, którą ujrzałem była osiemnastoletnia może, ozdobnie ubrana dziewczyna, o rysach wschodnich, nadzwyczajnej piękności. Strój jej składał się z bucików sznurowanych, białych pończoch, czerwonej bluzki, obrębjonej ciemnym aksamitem, błękitnego gorsetu ze srebrnym łańcuchem i srebrnymi spinkami. Na bujnych

włosach, zwisających z tyłu dwoma warkoczami, miała mały ozdobiony piórem kapelus. Ubranie tego rodzaju byłoby odpowiedniejsze na balu maskowym, niż tutaj, na pokładzie amerykańskiego okrętu, przeznaczonego dla wychodźców. Obok niej stał chudy, starszy człowiek, którego oblicze wykazywało najwyraźniej pochodzenie hebrajskie. Również ubiór nie pozwalał wątpić, że był Żydem. Gdy spojrzenie jego padło na mormona, wyrwał mu się półgłosem mimowolny okrzyk: — Diabeł!

Zatem mormon wywarł na nim takie samo wrażenie jak na mnie, chociaż jego oblicze nie miało ani śladu tego co pospolicie rozumie się pod mianem „diabelskość”.

Inni pasażerowie byli to ludzie ubodzy, co można było zauważyć na pierwszy rzut oka. Wiedząc, że miał tu przybyć ich nowy przywódca, obrzucali Meltona spojrzeniami zaciekawienia, gdyż oczywiście nie przyszło im na myśl, że ja mógłbym być oczekiwaną osobą; powierzchowność moja była na to za mało wykwintna. W każdym razie kapitan znał mormona, gdyż podszedł ku niemu i pozdrowił go przyjacielskim po — trząśnięciem dłoni. Widziałem to, bo uważałem pilnie na wszystko, rozumiejąc dobrze, że obecnie najmniejsza drobnostka może mi wiele wyjaśnić. Obydwaj poszli na tylny pokład, ażeby udzielić sobie koniecznych wiadomości. Przeszedłem z wolna po pokładzie i wyszukałem sobie wygodne miejsce za zwiniętą liną pod masztem, o który oparłem strzelby, tkwiące ciągle jeszcze w futerałach. Policzywszy pasażerów przekonałem się, że było trzydziestu ośmiu mężczyzn i chłopców, czternaście kobiet i dorosłych dziewcząt i jedenaścioro dzieci, więc razem sześćdziesiąt trzy osoby.

Pasażerowie dowoli przypatrzywszy się mormonowi, skierowali uwagę na mnie. Widziałem, że gubili się w domysłach nad moją osobą; wreszcie chcąc się dowiedzieć prawdy, powierzyli mi zagadnienie mnie owemu Żydowi, o którym wspomniałem. Żyd podszedł do mnie, ruszył czarną aksamitną jarmużką okrywającą jego włosy i odezwał się mieszaniną słów hiszpańskich i angielskich, których wyuczył się zapewne dopiero podczas podróży; ponieważ jednak zestawienia tego nie mogłem w żąb zrozumieć, więc przerwałem jego wysiłki pytaniem:

— Pochodzi pan może z okolicy Kobyłina, z Poznańskiego?

— Tak, tak! — odpowiedział szybko, przy czym twarz jego przybrała wyraz zdumienia.

— Jeśli tak, to prawdopodobnie umie pan po niemiecku; rozmawiajmy więc w tym języku, zamiast męczyć się szukaniem obcych wyrazów.

— Boże moich ojców! — zawołał, składając ręce — więc będę miał radość i honor poznać w panu człowieka pochodzenia germańskiego?!

— Tak jest — odpowiedziałem, zdziwiony nieco jego sposobem mówienia i doborem wyrazów; później przekonałem się, że sprawia to nieznamość odpowiednich słów języka w którym rozmawialiśmy.

— To mnie cieszy głęboko! Czy mogę sobie pozwolić na pytanie, w jakim kraju pan się urodził?

— Jestem Saksończykiem.

— Bardzo dobrze, bardzo pięknie! Znam i lubię pańską ojczyznę, zaglądałem tam często w podróżach do Lipska w celach handlowych i na wycieczkach. Jestem mianowicie handlarzem, odkąd żyję. Niech pan przebaczy, że się odważam, ale niech pan będzie taki dobry i wyjaśni mi jaki rodzaj interesu pan łaskawie pochwycił?

— Mój zawód można określić mianem „nieprofesjonalny uczonek”. Nie prowadzę żadnego interesu; ruszyłem w obce kraje celem studiowania. Obecnie zabrakło mi pieniędzy na dalszą podróż więc z konieczności udaję się do hacjendy del Arroyo, ażeby tam szukać pracy i zarobku.

Powiedziałem tak, gdyż nie uważałem za stosowne z miejsca odkrywać całej prawdy.

— Więc celem pańskiej podróży jest ta sama hacjenda do której i my zdążamy i gdzie zgodziliśmy się pracować cały szereg lat, lat zarobku i oszczędności. Czy dano panu kontrakt i czy powiedziano panu jakiego rodzaju czekają pana zajęcia?

— Ofiarowano mi miejsce buchaltera. Kontraktu nie zawarłem jeszcze. Zdecyduję się dopiero wtedy, gdy poznam tamtejsze warunki.

— Buchalter? To jest dobra posada! Będzie pan należał do przełożonych nad robotnikami, a ja pozwolę sobie szanownemu panu dać jeden, dwa, nawet trzy procent upustu na wszystkim, co pan kupi w moim interesie.

— Pan chce założyć w hacjendzie interes, może sklep?

— Tak! Przecież tam na starym łądzie przypada kupcowi tak mały zysk, że musi się przyciągać pasa z dnia na dzień, podczas gdy w Ameryce przeciwnie, pensy i dolary leżą po prostu na drodze każdego, kto ma oczy i potrafi odkryć je i znaleźć!

— Hm! Od kogo pan to słyszał?

— Od agenta, który nas zaangażował, który jest człowiekiem bardzo doświadczonym i dobrym znawcą kraju.

— Tak! No, oczywiście, agent musi przecież znać stosunki. Hm! Czy sporządził dla każdego z was pisemny kontrakt?

— Tak, dla każdego sporządził papier ze stemplem i podpisami. Zaprowadził nas do portu, na okręt morski; jechaliśmy naokoło Południowej Ameryki, co trwało długie, długie tygodnie; w San Francisco przesadzono nas na ten mniejszy okręt, którym płyniemy teraz; wylądować mamy w Lobos, gdzie rozpocznie się nowe, lepsze życie gromadzenia majątku, odsetek, odsetek składanych, to się nazywa interes!

— Czym byli w Europie pańscy towarzysze podróży?

— Byli rzemieślnikami, albo mieli mały sklepik, albo domek z kawałkiem gruntu. Za kilka lat będzie każdy z nich miał hacjendę z plantacjami i pastwiskami. Tak powiedział, tak przysięgał agent; dał mi przy tym książkę, gdzie stoi to wydrukowane czarnymi literami na białym papierze. Myśmy zeszli się na naradę, na której wybrano mnie przełożonym, co później zamieni się na tytuł burmistrza hacjendy del Arroyo. Skoro pan wtedy odczuje jakie życzenie albo prośbę, to może się pan zwrócić śmiało do mnie; ja będę dla pana zawsze usłużny i chętny.

— Czy ma pan ze sobą rodzinę?

— Tylko moją córkę. Rebeka, moja małżonka, umarła, już będzie cztery lata; mam teraz tylko Judytę, jedyną córkę mojego serca! Tam oto stoi i patrzy na nas. Piękna jak kwiat. Urodę odziedziczyła po matce, siłę ducha po ojcu. Już teraz jest spadkobierczynią mojego majątku i będzie wkrótce tak bogatą damą, że kawalerowie będą wyciągali ręce i palce, aby się z nią ożenić. Ona wyszuka sobie najmilszego i najdostojniejszego, który będzie posiadał szlachectwo i bogactwo. Czym będzie wobec takiego zięcia Herkules, który pospieszył za nami aż tu do kraju Meksyk, chociaż jest innej religii i ma zaledwie dziesiątą część tych pieniędzy, jakie ja, gdybym chciał, mógłbym dać już dzisiaj Judycie, mojej duszy?!

— Herkules? Kogo pan ma na myśli?

— Tego łapserdaka, który stoi z przodu statku oparty o poręcz i nie spuszcza z niej oka, chociaż ona już o nim nawet nie chce słyszeć.

— Już? Więc dawniej było inaczej?

— Tak, z wielkim cierpieniem mojego serca! Była w odwiedzinach w mieście Poznań u córki brata mojej matki. Ni stąd ni stamtąd był w mieście cyrk i moi krewni poszli na przedstawienie, na którym ów Herkules popisował się swoją siłą, podnosił żelazne kule, ciężary i sztaby. On i moja córka zobaczyli się i pokochali. Ona przyrzekła mu swoją rękę bez mojej wiedzy, a on chciał założyć swój własny cyrk. Kiedy dowiedziałem się o tym omal nie padłem trupem. Próbowałem i dobrymi i złymi słowami odwieść moje dziecko od interesu, który nie mógł nic przynieść jak tylko pięćset procent straty. Ale moje prośby i groźby były jak bańki dla nieboszczyka, córka trzymała się Herkulesa uparcie tak długo dopóki nie zjawił się pewien porucznik rezerwy, elegant z czerwonym kołnierzem i błyszczącymi guzikami; przed jego nazwiskiem tkwiło wielkie von. Jak zaproponował mojej córce małżeństwo, tak zgodziła się w ten moment i opuściła Herkulesa jak glinianego golema. Porucznik, jak porucznik, odkładał

ślub z dnia na dzień, a równocześnie dowiedzieliśmy się, że długów ma więcej niż włosów na ułowie. Wtedy moja córka odrzuciła porucznika! Niedługo potem przyszedł agent wychodźstwa i pokazywał kraj Meksyk w zupełnie innych barwach. Dowiedzieliśmy się o kopalniach pełnych złota i srebra, o caballeros, którzy jeżdżą na wspaniałych koniach z czerwonymi czaprakami, o damach które wypoczywają w hamakach i palą pachnące cygara. Od tego czasu Judyta nie śniła o niczym innym jak tylko o tym kraju i tutejszym życiu! Wobec tego sprzedałem mój dom i mój interes i wyjechałem z nią, ażeby zostać tutaj człowiekiem wpływowym i zrobić pieniądze. Ponieważ pan jedzie także do hacjendy del Arroyo więc zobaczy pan, jak będzie rosło moje słowo i moja powaga. Jak tylko Herkules się dowiedział, że jedziemy do Ameryki, poszedł również do agenta i podpisał kontrakt ażeby pozostać u boku mojej córki; zebrawszy oszczędności udał się potajemnie na statek i zupełnie niespodziewanie ujrzeliśmy go jako towarzysza podróży, gdzie nie tylko mleko i miód, ale nawet złoto i srebro płynie i wpada do kieszeni tego, który umieją otworzyć w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Jeśli pan sobie życzy zostać przedstawionym córce mojego serca, to może pan iść teraz ze mną do niej, ale musi pan przedtem w zaufaniu dać słowo, że pan rezygnuje w zupełności ze wszelkich prób zdobycia jej serca, ręki i majątku.

Mimo, że nie chciałem go obrazić odmową, to również nie miałem najmniejszej ochoty, aby mnie jej przedstawiał. Szczęściem wyratował mnie z tej sytuacji mormon, który właśnie skinął, że chce mi wskazać miejsce na statku.

Pod pokładem znajdowały się kajuty, każda była urządzona na dwie osoby. Strażnik okrętowy zaprowadził mnie do przeznaczonej dla mnie kabiny; zauważyłem, że jedno miejsce było już zajęte. Z kim będę mieszkał? — zapytałem.

Z tym wysokim i silnym Niemcem, którego nazywają Herkulesem brzmiała odpowiedź.

— Jaki z niego towarzysz?

— Bardzo spokojny. Lepszego pan nie znalazłby.

Ta wiadomość zadowoliła mnie tym bardziej, że jak zauważyłem, poprzednio, Herkules był odziany lepiej i schludniej niż inni; również zdawał się być człowiekiem honorowym.

Rozciągnąłem się na łóżku, zamierzając pozostać dłużej w kajucie, gdyż było tutaj przyjemniej i chłodniej niż na pokładzie, gdzie brakło osłony przed palącymi promieniami słońca. Po krótkim czasie drzwi otworzyły się i wszedł Herkules. Obrzuciwszy mnie ponurym spojrzeniem powiedział:

— Strażnik objaśnił mi właśnie, że umieścił pana tutaj, chociaż ja płacę za kajutę. Ponieważ jednak, jak słyszałem, jest pan Europejczykiem, więc nie chcę się sprzeciwiać, ale pod warunkiem, że nie będę miał potrzeby psuć sobie krwi z pańskiego powodu.

Były to słowa porywcze, ale usprawiedliwić je może strapienie Herkulesa; dlatego odpowiedziałem po przyjacielsku:

— Postaram się być dobrym kolegą, choćby już z tego powodu, że pan jest mi najmilszym ze wszystkich pasażerów.

— Jak to? Przecież pan nie zna mnie wcale. Na co te pochlebstwa! Nie lubię tego!

— To nie pochlebstwa, ale szczerza prawda. Żyd opowiadał mi o panu. Nie będzie pan na mnie narzekał.

— Jeśli pan sobie tego naprawdę życzy, to niech pan się trzyma z daleka od Judyty! Każdego kto się odważy do niej zbliżyć, zwałę pięścią na ziemię!

— Nie ma obawy — zaśmiałem się — na takim bezdrożu nie spotkamy się nigdy. Dlaczego jednak nie powalił pan wówczas owego porucznika rezerwy?

— Ponieważ żal mi go było! Rozleciałby się pod ręką i przez tydzień zbierałby kosteczki, a przy tym wiedziałem, że nie jego osoba, tylko uniform pociągają Judytę. Ale nie mówmy już o tym, niech sobie stary zrzedzi, ja wiem co robię i nie chcę słyszeć nic w tej sprawie!

— Co do mnie to nie mam najmniejszej ochoty tym się zajmować; ale niech pan powie przynajmniej, jak Żyd się nazywa i jaki prowadzi interes?

— Sprzedawał przeważnie wyroby tytoniowe, a równocześnie prowadził ubocznie dość popłatną kasę zastawniczą. Grosz do grosza, uciulał sobie drobny majątek, więc pyszni się i sądzi, że posiada wielkie wpływy.

— Zapewniał mnie, że w Meksyku zostanie wkrótce milionerem. Czy pana również opętały podobne złudzenia?

— Ani mi się śni coś podobnego! Nie jestem tak łatwowierny jak Jakub Silberstein. Jestem raczej przekonany, że agent był łotrem i że ci biedacy oszukani przez niego idą na ślepo w sidła, o jakich nie mają pojęcia. Dlatego pojechałem za nimi. Chcę bronić Judyty i jestem przekonany, że ona mnie wreszcie zrozumie.

Usiadł na swoim miejscu i milczał, ja zaś nie próbowałem prowadzić dalej rozmowy. Później, gdy zerwał się silniejszy wiatr, który złagodził cokolwiek żar, powróciłem na pokład i usiadłem w odosobnieniu, aby bez przeszkody oddać się obserwacjom. Wkrótce przyszedł Silberstein, ażeby od nowa opowiadać o swojej córce; dałem mu całkiem wyraźnie do zrozumienia, że mnie to nie obchodzi, więc odszedł nie pytając już, czy chcę być jej przedstawiony.

Również mormon zamieniwszy kilka słów opuścił mnie wkrótce; przechadzając się po pokładzie, przystawał przy każdym z pasażerów gawędząc przyjaźnie, częstując ich cygarami; był dla wszystkich bardzo uprzejmy, dzieci głaszał po policzkach, słowem czynił wysiłki, aby zdobyć zaufanie i przychylność wychodźców.

Najdłużej bawił przy Judycie rozmawiając z nią. Herkules, stojący przy wejściu pod pokład obserwował ich spod oka; jego ściągnięte brwi i zaciśnięte usta wskazywały, co się w nim działo. Odniosłem wrażenie jakby w tej chwili zaczęła się zagęśniać mała chmurka, która nakryje później cały horyzont, aby wyładować się w błyskawicach i grzmotach.

O wygodę pasażerów starano się dosyć. Kajuty były obszerne, każdemu przypadała wystarczająca porcja wody, potrawy podawano pożywne i również w dostatecznej ilości. Nikt nie mógł narzekać i wszyscy patrzyli w przyszłość pełnymi nadziei oczami. Ja byłem jedynym, który myślał inaczej; Herkulesa nie liczę, gdyż jego podejrzenia były nieokreślone, nie miały ani pewnej ani jasnej podstawy. Czyżbym nieufnością krzywdził mormona? Chciałem przedostać się do Winnetou, poza granicę, a Lobos leżało właśnie dokładnie w tym kierunku. Podróż nie kosztowała mnie nic; czy nie powinienem poprzestać na tym? Czy nie lepiej wyruszyć do Lobos w swoją drogę i nie troszczyć się więcej o Meltona i jego wychodźców?

Rozważałem te myśli i pytania, a jednak nie mogłem pozbyć się przeczucia, że wychodźcy są prowadzeni na zgubę. Gdy następnie przeszedłem na tył statku odezwał się do mnie kapitan:

— Niech pan przyjmie gratulację, master! Melton mi powiedział, że ma pan być przyjęty jako buchalter. Radzę sennorowi zgodzić się, gdyż taka posada nie często się trafia.

— Zna pan to miejsce kapitanie?

— Czy znam! Hacjendero to mój stary przyjaciel; jest to człowiek bardzo bogaty i nieskazitelny. Skoro raz kogoś przyjmie troszczy się o niego prawdziwie po ojcowsku. Tego może pan być pewnym.

— Więc pan sądzi, że pańscy obecni pasażerowie będą mieli dobrze u niego?

— Nie tylko sądzę, lecz jestem przekonany.

Kapitan miał wygląd uczciwego człowieka, jemu musiałem wierzyć Mimo to zapytałem:

— A czy kontrakt jest dobry?

— Co panu przychodzi do głowy? Zobaczysz pan zaraz, jakie uczciwe zamiary ma sennor Timoteo względem nowych pracowników.

Kapitan poprosił jednego ze stojących w pobliżu wychodźców, aby mi pokazał swój kontrakt. Wezwany usłuchał chętnie. Dokument był podpisany przez robotnika, agenta, gminę i zawierał tylko jeden paragraf o następującej treści: robotnik otrzymuje wolny przejazd okrętem i drogą lądową aż na miejsce, oraz odpowiednie utrzymanie podczas podróży; zobowiązuje się pracować osiem godzin dziennie w posiadłości Timotea Pruchilla, względnie prawnych jego

następców, za opłatą jednego i pół peso dziennie. Mieszkanie darmo. Po sześciu latach kontrakt wygasa.

Ogarnęło mnie zdumienie. To było nie tylko uczciwe, lecz nawet bardzo korzystne, gdyż przy takiej płacy mógł robotnik zaoszczędzić rocznie około dwóch tysięcy marek. Teraz nie dziwiłem się, że agentowi udało się zebrać tylu ludzi i nakłonić ich do tak dalekiej podróży. Musiałem przyznać, że moje podejrzenie było nieuzasadnione. Czy aby rzeczywiście nieuzasadnione?

Pruchillo miał uczciwe zamiary; czy jednak mormon był także człowiekiem nieskazitelnym? Czemu nie? Czy miałem dowody przeciw niemu? Czy to ja raczej nie stałem się, oczywiście przez wielokrotne doświadczenie, zbyt ostrożnym i nieufnym? Czy Melton również nie miał zamiaru wyświadczyć mi dobrodziejstwa, które zobowiązywało mnie do wdzięczności, nawet gdybym go nie potrzebował i nie mógł przyjąć?

Przed wieczorem powziąłem ostateczną decyzję wysiąść z Labos i pójść w swoim kierunku nie troszcząc się o nic więcej, gdyż doszedłem do przekonania, że robotnikom będzie w hacjendzie lepiej niż we własnym domu. Jednakże całkiem niespodziewanie, w parę godzin po owej decyzji, wydarzyło się coś, co zmieniło z gruntu moje zapatrywania i zburzyło powzięte postanowienie.

Po kolacji zdziwiło mnie mianowicie, że wszyscy wychodźcy zostali wezwani, aby udali się pod pokład, do kajut. Właśnie teraz, skoro słońce przestało parzyć i zerwał się chłodny wietrzyk, byłoby najprzyjemniej zostać na pokładzie, odetchnąć swobodnie po upalnym dniu; my jednak musieliśmy poddać się rozkazowi, który był dla wszystkich niespodzianką, jak to mogłem wnioskować ze zdziwionych min i ociągania się wychodźców. Skoro wszedłem do swojej kajuty, przyjął mnie Herkules mruklawie: — Co też przyszło do głowy Meltonowi, że nas wysłał do kajut. Czy pan przeczuwa dlaczego to uczynił?

— Nie!

— Niech go diabeł porwie! Gdy człowiek cały dzień musi smażyć się na słońcu, albo szukać cienia w tych ponurych kabinach, to przecież jest po prostu świętym obowiązkiem korzystając wieczorem ze świeżego, chłodnego powietrza. Tego nam dotychczas nigdy nie zabraniano!

Rzeczywiście? Więc to jakieś nowe zarządzenie?

— Tak! Jestem przekonany, że wydał je Melton! Dlaczego pan tak sądzi?

Po pierwsze dlatego, że dzieje się to odkąd on znajduje się na pokładzie, a po drugie... otóż drugi powód jest nieco niejasny; lepiej zamilczę go.

— Pan milczy ponieważ nie ma pan do mnie zaufania?

— Wlaź pan do mnie dopiero niedawno, więc nie może pan żądać, ażebym już dzielił się z panem wszystkimi myślami!

Zależało mi na tym, żeby dowiedzieć się jego przypuszczeń, więc odpowiedziałem:

— Pan milczy, ponieważ boi się pan mormona i przypuszcza, że ja mu powtórzę pańskie słowa!

Oceniłem go słusznie, gdyż zaledwie wypowiedziałem to, zerwał się na równe nogi i powiedział:

— Co pan też mówi! Chciałbym widzieć człowieka, który potrafiłby napędzić mi stracha! A przed tym mormonem, który nam wprowadzie schlebia i nawet od pierwszej chwili zaczyna umizgiwać się do Judyty, nie mam najmniejszej obawy!

Te słowa przekonały mnie, że był nie tylko nieufny, ale nawet zazdrosny o Meltona. Mogłem zatem spodziewać się w nim sprzymierzeńca w razie potrzeby, a teraz rozmawiać z nim szczerzej niż byłoby to możliwe w innych warunkach.

— Dlaczego zatem pozwala pan — powiedziałem — abym myślał, że go się boisz? Dlaczego nie mówisz pan otwarcie ze mną, skoro powiadam zupełnie wyraźnie, że nie uważam mormona za uczciwego człowieka, pomimo jego nadmiernych wysiłków, aby zdobyć sobie sympatię podróżnych, a może właśnie dlatego?

— Czy to prawda? — zapytał szybko.

— Przecież mówię to panu.

— Czy ma pan jeszcze inne powody do podejrzenia go, oprócz wymienionych? Pan przyszedł z nim na okręt, więc zna go zapewne lepiej niż ja. Zresztą przyzna pan chyba, że jest to powód dla mnie, ażeby także panu nie ufać.

— Może być; ja jednak nie zasługuję na pańską nieufność. Z Meltonem rozmawiałem bardzo mało. Mieszkaliśmy wprawdzie dwa tygodnie w jednym hotelu, mimo to nie przebywaliśmy razem. Raz tylko rozmawialiśmy dłużej; mianowicie wtedy gdy mormon widząc, że jestem biedny i nie mam żadnego zajęcia ofiarował mi posadę buchaltera w hacjendzie del Arroyo. Zgodziłem się na to zmuszony moim obecnym położeniem i w ten sposób dostałem się razem z nim na okręt.

— Wobec tego zna go pan równie mało jak ja. Dlaczego więc mówi pan, że nie jest to człowiek uczciwy?

— Nie twierdzę tego na podstawie faktu, lecz dlatego, że ostrzega mnie jakiś instynkt. Mam przecucie, że trzeba się przed nim mieć na baczności.

— Hm! Ja doznaję takiego samego wrażenia. Ten człowiek nie wyrządził mi nic złego, przeciwnie, był dla mnie przynajmniej tak samo przychylny jak dla innych, a przecież nie cierpię go. Odstępuje mnie jego twarz. Najbardziej jednak uderzają owe spojrzenia, jakie zamienia potajemnie ze strażnikiem okrętowym.

— Faktycznie? Nie zauważyłem tego.

— Oczywiście starali się robić to ukradkiem; wyglądało jakby byli starymi znajomymi, a przecież udają, że się nie znają zupełnie.

Tej okoliczności nie zdążyłem zaobserwować; widocznie zazdrość zaostrzyła wzrok Herkulesa. Naturalnie mógł się również mylić. Dlatego zapytałem:

— Czy jest pan tego pewny? Strażnik zajmuje tak niskie stanowisko w porównaniu z mormonem, że trudno przypuszczać między nimi o taką poufałość; jest to prawie wykluczone. Mogli się kiedyś widzieć i nic więcej. Owe spojrzenia mogły być tylko pozdrowieniem.

— Niech pan tego nie mówi! Oczywiście mam sprawne; co widzę, to widzę dobrze. Jeśli ci ludzie chcieliby się witać, mogliby witać się otwarcie. Skoro jednak nie chcą pozwolić, ażeby ich pozdrowienia zauważono, to muszą mieć jakiś powód do ukrywania swojej znajomości, a ten nie może być ani uczciwy, ani błahy.

— To słuszne. Będę jutro obydwóch ostrzej obserwował niż dotychczas.

— Niech pan to uczyni! Na pewno tkwi coś za tą maską. Nie żywię wprawdzie żadnej obawy o nas i o naszą przyszłość, gdyż kontrakty są dobre i zabezpieczają nas całkowicie; jednak gdyby się owe spojrzenia zamieniały między Meltonem a strażnikiem miały do nas odnosić, to zapewne nie na naszą dobrą sprawę. Ciekaw jestem co się tutaj święci?

— Hm, ja także!

— Może i kapitanowi nie należy ufać? Dlaczego, gdy mormon przybył z panem na statek, kapitan poprowadził go na tylny pokład i dopiero tam z nim rozmawiał? Czemu nie chcieli, ażebyśmy słyszeli ich rozmowę?

Kapitan uczciwy. Jestem przekonany, że nie myślę się co do tego. Dlaczego miałby opowiadać przy nas o swoich sprawach zawodowych? Ale jeśli rzeczywiście mormon jest w porozumieniu ze strażnikiem, to mam wielką ochotę wyjaśnić tę tajemnicę.

— Tego pan nie dokaże, gdyż ci ludzie nie wtajemniczą pana w swoje sprawy!

— Jeśli jednak ja się ich pytać nie będę i wybadam wszystko bez ich wiedzy?

— To się nie uda, a dostanie pan tylko takiego klapsa za swoją ciekawość, że ucieknie pan do mysiej dziury!

— Do tego jeszcze daleko! Najchętniej podsłuchałbym obydwóch natychmiast.

— Szalona myśl! Skąd pan wie, kiedy i gdzie będą rozmawiać ze sobą? Tu okręt a nie las, gdzie można ukryć się za krzakiem i nadsłuchiwać z ukrycia.

— Być może! Co się tyczy czasu i miejsca to znam jedno i drugie dokładnie. Czas: dzisiaj; miejsce: pokład statku. Jeśli mormon ma porozumieć się ze strażnikiem to zrobi to, skoro będzie pewien, że jest bezpieczny. Właściwie mieszka on w przedziale obok kapitana, który zapewne wkrótce uda się na spoczynek. Wiemy jak cienkie są ściany przedzielające kabiny. Jeśliby mormon kazał strażnikowi przyjść potajemnie do kajuty to mogliby zostać podsłuchani przez kapitana. Dlatego musi wyszukać sobie inne miejsce.

— Gdzież zatem?

— Nie widział pan, że na pokładzie ustawiono mały namiot? Komu miałby służyć, jeśli nie Meltonowi? Powiedział zapewne, że woli spać na pokładzie niż w dusznej kajucie.

— A pan zamierza ich tam podsłuchać?

— Przynajmniej mam wielką ochotę!

— Daj pan pokój! To mogłoby skrupić się na panu. Gdy pudel wypija mleko, cięgi dostaje!

— Tak, ale bardzo uprzejmie proszę zauważyć, że nie jestem pudlem i że nawet pudel nie zawsze zostaje schwytyany. Czy pan nie spostrzegł, że namiot został sporządzony z wielkiego żagla rezerwowego?

— Nie wiem jak nazywają się wszystkie żagle, widziałem jednak, że ten nie tylko wystarczył w zupełności na namiot, lecz jeszcze poza nim zwija się w walec. Wobec tego być może jest to wielki żagiel.

— I ja tak myślę. Na namiot wystarczyła połowa żagla. Druga została zwinięta poza namiotem. Pod tym kłębkim jest dość miejsca dla człowieka i jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, będę tam dzisiaj nocował.

— Czy pan się wściekł? Odkryją pana, skoro tylko zakaszlesz albo kichniesz!

— Nie będę kasłał ani kichał!

— Pan jest zbyt pewny siebie. Nawet gdyby pana nie pochwycono będziesz się trudził nadaremnie! Przede wszystkim nie wiesz pan, czy namiot jest rzeczywiście przeznaczony dla mormona, a gdyby nawet przypuszczenie okazało się prawdziwe, to jeszcze nie ma pan najmniejszej pewności, czy strażnik okrętowy tam przyjdzie?

— Na to nie ma już rady, choć jestem zdania, że mój trud nie pójdzie na marne. Mam takie przeczucie, a doświadczenie nauczyło mnie, że przeczucia rzadko mnie mylą.

— No, jeśli tak, to nie chcę panu ani doradzać, ani odradzać. Jeśli pan za swój pomysł pozbiera tęgie, marynarskie kije, to nie mnie będą plecy piekły!

Muszę przyznać, że Herkules miał po części słuszość, mimo tego pchało mnie coś po prostu, ażeby zamiar wprowadzić w czyn. Opuściłem więc kabinę i zacząłem skradać się na pokład. Nie były to przelewki. Ściany kajut, jak również ściany korytarza, przez który musiałem przejść, były nadzwyczaj cienkie; zatem ludzie znajdujący się wewnątrz mogli mnie łatwo posłyszeć. Jeszcze więcej niebezpieczeństwa nastęczała możliwość spotkania się z którymś z marynarzy, albo nawet z jednym z tych, których chciałem podsłuchać. Doszedłem jednak aż do otworu prowadzącego na pokład, nie natrafiwszy na nikogo. Stojąc na schodach i wysuwając ostrożnie głowę mogłem obrzucić spojrzeniem przestrzeli dzielącą mnie od namiotu. Przekonałem się, że była pusta.

Na rufie, przy sterze, dawał właśnie kapitan sterownikowi rozkazy na noc. Zapewne miał zamiar udać się wkrótce na spoczynek. Od strony steru doszedł do mnie również głos mormona. Przede mną, tuż przy dziobie okrętu, rozmawiali i śmiali się marynarze, którzy jednak byli za daleko, ażeby mnie mogli widzieć. Wskoczyłem więc na pokład i w kilku szybkich lecz cichych krokach dostałem się poza namiot, gdzie ukryłem się pod pozostałą połową żagla. Wszystko to odbyło się w przeciągu niecałej minuty. Leżąc pod płótnem na twardych deskach, ale poza tym zupełnie wygodnie, czułem się jednak bezpieczny. Zwoje żagla osłaniały mnie tak, że nikt nie mógł mnie zobaczyć. Ukrycie było znakomite; zachodziło tylko pytanie, czy przyniesie oczekiwane korzyści? Stać mi się nic nie mogło.

Ułożyłem się tak, że mogłem od dołu wsunąć głowę do namiotu i sięgnąłem ręką do jego wnętrza. Poczułem cienkie, ale miękkie legowisko, usłane z koców. Widzieć nic nie mogłem.

Po krótkim czasie usłyszałem jak kapitan pożegnał się z mormonem i oddalił do kajuty. Melton przechadzał się jeszcze z kwadrans po pokładzie: następnie wszedł do namiotu, żeby się położyć. Zatem pierwsze przypuszczenie, mianowicie, że namiot był przeznaczony dla niego, okazało się zgodne z prawdą; należało teraz oczekiwać, czy drugie także się sprawdzi, to znaczy, czy strażnik przyjdzie do mormona.

Minęła jedna godzina, druga; zapadła noc. Rozmowa marynarzy ustała już dawno. Zrobiło się tak cicho, że słyszałem jak okręt bokami tarł o wodę. W pewnej chwili rozległ się głos wartownika, który zameldował coś sternikowi. Już mi się zaczął czas dłużyć, gdy wtem usłyszałem poruszenie we wnętrzu namiotu. Wydawało mi się, jakby Melton podniósł się na równe nogi. Wsunąłem głowę głębiej, ażeby móc lepiej słyszeć. Nagle posłyszałem zacieranie zapalką i zaraz potem zabłysnął płomyk. Przy jego blasku zobaczyłem mormona siedzącego na kocach i zapalającego cygaro. Widocznie więc oczekiwał kogoś i zapewne nie spał jeszcze dotychczas. Szczęściem obrócony do mnie plecami nie mógł spostrzec mojej głowy.

Znowu przeszła chwila zanim posłyszałem ciche pytanie:

— Weller, czy to ty?

— Tak, master — zabrzmiała z przeciwnej strony również cicha odpowiedź w języku angielskim.

— Chodź prędko do środka, żeby cię nie zobaczono!

Zatem strażnik nazywał się Weller. Postępując za wezwaniem Meltona wszedł do namiotu i powiedział:

— Nie ma obawy, master! Na pokładzie śpią wszyscy oprócz sternika i wartownika, a ci stoją w takim miejscu, że nie mogą nas ani widzieć, ani słyszeć.

Nastała krótka przerwa w rozmowie, podczas której mormon zrobił Wellerowi miejsce, a ten usadowił się wygodnie. Potem odezwał się Melton:

— Możesz sobie wyobrazić, że jestem niezmiernie ciekaw przebiegu całej sprawy. Wsiadając na okręt czułem jak napinają mi się nerwy z niepewności czy cię zastanę na pokładzie.

— Co się tego tyczy, master, to nie było mi wcale trudno dostać się na statek jako steward.

— Czy kapitan nie zna cię przypadkiem?

— Kapitan? On nie ma pojęcia kim jestem.

— Czy nie dowiedział się, że mnie znasz?

— Będę się strzegł, aby nie wypaplać. Niestety nie mogłem otrzymać miejsca na statku na jazdę w jednym kierunku; musiałem je przyjąć także na drogę powrotną i jestem właściwie zobowiązany jechać z Lobos z powrotem.

— To nic nie szkodzi, gdyż w Lobos nie będzie ci się trudno ulotnić.

— Myślę tak również i dlatego wziąłem ze sobą mało rzeczy, żebym mógł w każdej chwili iść na ląd nie zostawiając nic na okręcie.

— Dobrze zrobiłeś, chociaż to rzecz małej wagi. Ale jak przedstawia się nasza sprawa? Kiedy odjechał twój stary?

— Trzy tygodnie przede mną; obecnie dotarł z pewnością do celu podróży. Bywał tam tak często i zna stosunki tak dokładnie, że nie może popełnić głupstwa.

— Ale czy Yuma zgodzą się na to?

— Jestem zupełnie pewny! Takim łupem Indianin nigdy nie gardzi.

— To mnie uspakaja. Zachodzi tylko pytanie, czy przybędą w odpowiednim czasie na miejsce.

— Z pewnością są już w drodze, master. Ale czy nam się tak śpieszy? Nikt nas nie pędzi. Możemy całej sprawy dokonać zupełnie spokojnie!

— Ja także tak myślałem, teraz jestem innego przekonania.

— Dlaczego? Czy się coś wydarzyło?

— Tak. Miałem spotkanie!

— To znaczy że zeszliście się ze znajomym. To przecież nie może mieć tak wielkiego wpływu na nasze przedsięwzięcie!

— Owszem, może mieć wpływ, nawet bardzo poważny.

— W takim razie ów człowiek, o którym mówicie musiałby posiadać ogromne dla nas znaczenie?

— Posiada! Była to prawdziwa niespodzianka dla mnie, gdy ujrzałem go tutaj. Skoro postłyszysz jego imię będziesz tak samo zdumiony jak ja, gdy go poznałem.

— To powiedzcie mi przecież kto to jest!

— Właściwie powinieneś już wiedzieć, gdyż widziałeś go tutaj na okręcie.

— Jeśli tak to może to być tylko ów człowiek, który ma zostać buchalterem. Czy mam słusność?

— Naturalnie! Przecież nikt inny nie przybył ze mną na statek. A ty nie znasz go, rzeczywiście nie znasz? Widziałeś go już i to w takich okolicznościach, że po prostu nie do wiary, jak mogłeś go nie poznać natychmiast. Byłem przekonany, iż się zorientowałeś i dlatego skinąłem do ciebie kilka razy, żebyś był ostrożny i jak najmniej z nim rozmawiał, gdyż on mógłby ciebie również poznać!

— Znaki widziałem, ale nie rozumiałem ich. Nie pojmuję jakie obawy budzi w was ten człowiek. Obieżyświat, który cieszy się, że może zostać pisarzem w odległej hacjendzie, nie może być przecież dla nas niebezpieczny!

I ja powiedziałbym to samo, gdyby ten człowiek miał w ogóle zamiar zostać buchalterem!

Czy chcecie przez to powiedzieć, że chce was wystrychnąć na dudka? W takim razie największy to dureń na świecie, albo największy wyga.

To ostatnie, to ostatnie! Przypomnij sobie raz jeszcze co przeżyłeś w forcie Uintah!

— Nic radosnego! W owym czasie grano tam na zabój. Interesy mi się powiodły i zebrałem tęgi worek dolarów, ale straciłem je w forcie Uintah w przeciągu jednej godziny. Na szczęście był tam wasz brat; podarował mi całą garść dolarów i wystarał się, abym został przyjęty jako kelner w pewnej gospodzie. Od tego czasu nie widziałem go nigdy. Wiecie przecież dlaczego musiałem tę miejscowość tak nagle opuścić. Naturalnie nie opowiada się o tym chętnie!

— Dlaczego nie? Kto jest człowiekiem, a ludźmi jesteśmy wszyscy, temu rozmaite mogą drogi wypaść. Zresztą brat mój wyrwał się z tej matni i spadł na cztery łapy!

To słusznie! Wygrał już sutą, okrągłą sumę, gdy jednemu z oficerów podsunął diabeł myśl, że wasz brat gra fałszywie. Przyszło do sprzeczki, brat wasz miał oddać zysk, zdołał się jednak uwolnić, zastrzelił owego oficera i uciekł. Dwaj żołnierze, którzy słyszeli krzyk w izbie i chcieli go na podwórzu zatrzymać dostali także kulą w łeb i padli trupem; wydostał się z fortu, posiadającego liczną załogę, pod komendą doświadczonych oficerów angielskich!

— Tak z Uintach uciekł, ale...

Nie tylko stamtąd, ale później także. Co prawda, to było z nim bardzo krucho. Nigdy już nie pochwyconoby go, gdyby nie Old Shatterhand, który puścił się za nim w pogoń. Cztery doby szukano waszego brata, nie znajdując ani śladu po nim, niestety, właśnie wówczas musiał przyjechać ów Old Shatterhand i dowiedzieć się o całej sprawie. Zastrzelony oficer był jego dobrym znajomym i jedynie dlatego wyruszył natychmiast w drogę, ażeby schwytać waszego brata.

— Tak, po czterech dniach, gdy już żadnemu żołnierzowi nie udało się wykryć jego śladu. Ten łotr, ma jednak nos psa gończego; znalazł trop i ścigał mojego brata aż do fortu Edwarda; tam wydał go komendantowi. Biedak miał już iść na szubienicę, ostatniej jednak nocy przed egzekucją zdołał uciec w ubraniu żołnierza, który go pilnował i był na tyle głupi, że pozwolił się udusić! Przecież widziałeś wówczas Old Shatterhanda w forcie Uintah?

— Tylko przelotnie. Zabawił tam zaledwie pół godziny, posłyszawszy co się stało wyruszył zaraz w pościg. Stałem właśnie przed drzwiami sklepu i słuchałem opowiadania sąsiada, gdy on przejechał przed nami.

Jeśli tak, to nic dziwnego, że go dziś nie poznałeś.

— Dzisiaj?! — zapytał strażnik w tonie najwyższego zdumienia. — Co pan chce przez to powiedzieć? Chyba nie, że ten tak zwany buchalter jest Old Shatterhandem?!

— Tak, to chcę właśnie powiedzieć!

— Jakaś omyłka! Ten człowiek i Old Shatterhand! Kto tego myśliwego widział choćby z daleka, w szybkiej jeździe, ten przyzna zaraz, że nie może mieć nic wspólnego z naszym pisarzem!

— A jednak jest tak jak mówię! Zmiana miejsca i czasu, inne ubranie, to wszystko sprawia, że go nie poznajesz!

— To zupełnie niemożliwe, absolutnie niemożliwe! Ten człowiek z miną półgłówka, który śpi w kabinie Herkulesa miałby być Old Shatterhandem?! Sir, uwierzę we wszystko co mi powiecie, tylko nie w to. Nie, nigdy!

— Mam niezbite dowody! Czy widziałeś jego karabin?

— Zdaje się, że posiada dwa; tkwią w płóciennym futerale.

— Są dwa, a wiadomo ogólnie, że Old Shatterhand zawsze ma ze sobą swoje dwie strzelby: niedźwiedziówkę i sztucer Henry'ego, którym równych nie znajdziesz! Zauważyłem jeszcze w hotelu, że starał ukryć je przede mną, to też poprosiłem gospodarza, który miał je w rękach, żeby mi je dokładnie opisał. Westman przedstawiał się za ubogiego, a żywił za swoje pieniądze całą rodzinę gospodarza! Gdyby był rzeczywiście tym, za kogo się podaje, to byłby się zgodził natychmiast i z radością na moją propozycję; on jednak wyprosił sobie czas do namysłu. Nie widział mnie nigdy, a obserwował nieustannie i zawzięcie, uderzyło go zapewne podobieństwo do mojego brata. Oczywiście nie dałem mu poznać, że to zauważyłem. Dalszy dowód: przyszedł z góry Sierra Verde. Przeciętny człowiek, a do tego obcy w tym kraju, nie zapuszczałby się w tę pustynną i niebezpieczną okolicę, zwłaszcza, że po tamtej stronie wybuchło niedawno powstanie i skutkiem tego stosunki były bardzo niepewne. Tylko odważny i doświadczony człowiek, który może liczyć na siebie i na swoją broń, waży się przebyć te góry! Pomyśl tylko, że był zupełnie sam, bez żadnego towarzysza!

Można sobie wyobrazić, że słuchałem tej rozmowy z największym napięciem. Mój instynkt nie tylko nie oszukał mnie, lecz, jak to już było jasne, wyświadczył mi, a najprawdopodobniej także innym, wielką przysługę. Wiedziałem już, że oblicze mormona zwróciło tak bardzo moją uwagę na siebie nie tylko z powodu nieskoordynowanych rysów, lecz głównie z powodu podobieństwa do jego brata, mordercy owego oficera, który był mi bardzo bliskim przyjacielem. Przyjaźń kazała mi ścigać złoczyńcę, którego zapędziłem aż do fortu Edwarda i tam schwytałem. Teraz wiedziałem co sądzić o wszystkim. Moje przeczucie miało znowu słuszność! Mormon był bratem owego fałszywego gracza i wielokrotnego mordercy, a sposób w jaki się wyrażał o nim i o jego czynach był dostatecznym dowodem, że również nie należał do ludzi pogodzonych z prawem. Niestety jednak przekonałem się, że mnie przejrzał. Dalszy ciąg rozmowy pouczył mnie o tym jeszcze lepiej. Oczywiście pierwszy dowód mojej tożsamości powstał dzięki kapryswi prowadzenia książki przyjezdnych przez gospodarza hotelu, do której i ja musiałem, jak wiadomo, wpisać swoje nazwisko. Do tego dołączyła się gadatliwość don Geronima i wszystkie inne okoliczności, które Melton teraz wyliczył. Wymienił nawet i to, że nie spałem pod dachem, lecz na podwórzu, ponieważ jako westman jestem przyzwyczajony sypiać na wolnym powietrzu. Wszystkie te dowody umiał tak przedstawić, że strażnik zgodził się wreszcie z jego przekonaniem. Po chwili jednak zapytał:

— Zatem przypuściwszy, że mamy rzeczywiście do czynienia z Old Shatterhandem, należy się zastanowić w jakim zamiarze udaje się z nami do hacjendy?

— Będzie tu zapewne wiele różnych powodów. Jeśli poznał we mnie krew mojego brata, to będzie przypuszczał, że musi go tam szukać, gdzie ja się znajduję. Dlatego przystał do mnie. Następnie musi go, jako człowieka doświadczonego i znawcę tutejszych stosunków zadziwić przeznaczenie ludzkiego ładunku naszego okrętu. Zgodnie ze wszystkim co słyszałem o tym człowieku musi to mu podsunąć myśl, żeby przyłączyć się do ludzi i wspierać ich w razie potrzeby swoją radą i pomocą. Przy tym stara się nie podpisywać kontraktu, gdyż chce być swobodny i wolny. Musimy się z nim liczyć i to bardzo; bo chociaż nie przypuszczam, żeby zupełnie uniemożliwił nasz plan, to jednak należy oczekiwać, że spiętrzy przed nami przeszkody, które bardzo opóźnią jego wykonanie.

— Jeśli tak, to popełniliście wielki błąd biorąc go ze sobą. Powinniście byli po prostu zignorować go i zostawić w Guaymas!

— Byłbym to uczynił, gdyby gadatliwy gospodarz nie opowiedział mu o mnie i o okręcie na który czekałem. Wprawdzie powiedziałem Old Shatterhandowi, że beze mnie nie zostałby przyjęty na pokład, jednak jestem przekonany, że poczciwy i głupi kapitan, który nic nie wie o naszych właściwych zamiarach, byłby go przyjął bez trudności. A nawet gdyby nie był z nami odjechał, to skorzystałby z najbliższego okrętu płynącego do Lobos, żeby stamtąd podążyć potajemnie za nami. Nie czulibyśmy się ani chwili bezpieczni!

— Jak to, nas tyłu przeciw jemu jednemu? To brzmi przesadnie, pomimo że mamy do czynienia z Old Shatterhandem! Jedna kula uwolniłaby nas od niego!

Tak, gdyby się na tę kulę wystawił, on takiego głupstwa nie popełni! Najodpowiedniejsze byłoby to, co uczyniłem. Właśnie dlatego, że chce mnie wziąć podstępem musi sam paść ofiarą podstępny. Udawałem, jak mogłem najlepiej, że rzeczywiście uważam go za podupadłego, obdartego obcokrajowca, zaproponowałem mu posadę pisarza, żeby go zwabić do jazdy ze mną. W ten sposób mam go ciągle na oku i mogę go unieszkodliwić, kiedy mi się spodoba; mogę wpakować mu kulę w łeb w każdej chwili! Dostanie ją z pewnością; muszę odplacić się za brata, którego ścigał i pędził jako mordercę od miasta do miasta! To powinno i musi być pomszczone, a ponieważ ten zuchwalec sam oddaje mi się w ręce, więc nie wypuszczę tej sposobności.

Ton jego brzmiał tak złowieszczo, a przy tym tak uroczyście, że byłem przekonany, iż na pewno słowa dotrzyma. Strażnik odezwał się powoli i z namysłem:

— Miejmy nadzieję, że tak będzie! Ale z tym człowiekiem jest rzecz szczególna; ma się wrażenie jakby był w związku z szatanem. Im większe było niebezpieczeństwo, w którym się kiedykolwiek znajdował, tym prędzej się z niego wyrывał!

— Tym razem tak nie będzie! Podczas podróży nie możemy go tknąć, gdyż obudziłoby to podejrzenie innych; ale gdy już raz znajdziemy się w hacjendzie, wtedy zostaniemy panami sytuacji; wtedy porachujemy się z nim. Nawet nie mam potrzeby porywać się na niego; Yuma podejmą się porachunku!

— A jeśli im ucieknie? Tak często znajdował się w mocy krwiożerczych czerwonoskórych, a przecież albo się uwalniał, albo w niepojęty zupełnie sposób doprowadzał do tego, że z zaciętych wrogów przeobrażali się w najlepszych jego przyjaciół. Czy nie walczył z Winnetou na śmierć i życie? A dzisiaj jeden za drugiego oddałby życie!

— To byli inni ludzie inne stosunki; to nie byłem ja! Mam jego szyję w mojej ręce i zacisnę ją skoro mi się spodoba! Przysięga jest nedorzeczością, ale spojrzysz tam w górę ku gwiazdom; przysięgam ci jak pewnym jest, że te gwiazdy nie mogą zboczyć ani na jotę ze swoich torów, tak pewnym jest, że ten człowiek idzie z nami po swoją śmierć, gdyż chce...

Przerwał mając ku temu bardzo słuszny powód, gdyż przy ostatnim słowie upadł na niego cały namiot. Mianowicie, żeby móc spojrzeć w gwiazdy, chciał odsunąć górną część płótna namiotu; nie licząc się jednak z tym, że słupy podtrzymujące żagiel nie były przymocowane do pokładu, pociągnął zbyt silnie; podpory poddały się naciskowi i przewróciły, grzebiąc pod sobą mormona, strażnika, a także i mnie.

Teraz należało spiesznie działać, jeśli nie miałem zostać zdemaskowany. Wypełznałem jak mogłem najszybciej spod fałdów żagla leżącego na mnie i doskoczyłem do wejścia na pokład. Szybko znalazłem się na schodach i zobaczyłem ich wyłażących spod płótna; zdawali się nie wiedzieć, że katastrofa dotknęła także kogoś trzeciego. Naturalnie nie było już mowy o podsłuchiowaniu; rozejrzawszy się jeszcze raz po pokładzie powróciłem do kajuty. Herkules spał jak niedźwiedź; starałem się go nie zbudzić, gdyż w tej chwili nawet nie wiedziałem co odpowiedzieć na jego pytania. Jedno tylko było pewne, mianowicie, że musiałbym prawdę przed nim zataić, gdyż inaczej należało się spodziewać, że całkowicie popsuje mi szyki.

Położyłem się do łóżka, nie żeby spać, lecz żeby pomyśleć nad tym co słyszałem. Gdy wreszcie zamknąłem oczy wpadł już przez małe okno kabiny pierwszy blask zorzy porannej.

A więc spisek na moje życie! To brzmiało niebezpiecznie, ale nie napełniało mnie obawą. Wiedziałem przecież czego miałem się spodziewać i mogłem się zawczasu opatrzyć. Inaczej przedstawiała się sprawa wychodźców. Groziło im niebezpieczeństwo o czym byłem już teraz zupełnie przekonany, niebezpieczeństwo tym groźniejsze, że nie miałem pojęcia na czym będzie polegać i kiedy nastąpi.

Wiedziałem tylko, że podczas drogi do hacjendy nie stanie się nikomu żadna krzywda; mormon powiedział wyraźnie, że w tym czasie nie przedsięwzięmie nic przeciwko mnie, gdyż budziłoby to podejrzenie wychodźców; stąd wniosek, że im nie grozi nic w czasie podróży. Ale w hacjendzie! Co jednak i jak? Mówiono o Indianach ze szczepu Yuma, którzy mają dokonać nade mną dzieła zemsty. Prawdopodobnie również z ich ręki groziło niebezpieczeństwo wychodźcom. Napad indiański? To nie wydawało mi się zbyt zastraszające! Zresztą, po co mieliby napadać na tych robotników, którzy wyjąwszy Żyda, byli tak niezasobni, że nie było co im zabrać. Musiało tu wchodzić w rachubę coś innego czego nie mogłem jeszcze odgadnąć. Miałem jednak nadzieję, że podczas dalszej drogi natrafię na nitkę, która zawiedzie mnie do kłębka. Podczas dalszej drogi? Więc musiałem z nimi jechać? Czy byłem zobowiązany do tego? Właściwie nie! Mogłem wysiąść w Lobos i strzepnąć pył z obuwia. Wszelako w tym wypadku zostaliby wychodźcy oddani na pastwę złego losu i gdyby ponieśli krzywdę, wina ciążyłoby na moim sumieniu, które nakazywało mi, ażebym pojechał z nimi; pod wpływem tego, zacząłem nabierać ochoty przez prostą potrzebę czynu, która mnie nigdy nie opuszczała; poznanie zamiarów mormona zaczęło mi sprawiać przyjemność, zadęło mnie bawić! Z tymi myślami usnąłem.

Gdy się obudziłem zobaczyłem Herkulesa stojącego przede mną. Zaledwie otworzyłem oczy, odezwał się:

— Spałem mocno i nie słyszałem kiedy pan wrócił. Czy może złapano pana?

— Nie!

— Ale zapewne dowiedział się pan coś?

— Nic osobliwego — odpowiedziałem obojętnie.

— Myślałem to sobie — zaśmiał się. — Zresztą przepowiedziałem to panu. Powinienem wyśmiać się z pana do syta!

— Służę panu; ale bądź pan tak dobry i milcz, ażebym nie został też przez innych wyśmiany.

— Uważa mnie pan za gadułę? — zapytał z właściwą sobie zgryźliwością. Nigdy nie byłem i nie mam wcale zamiaru zostać nim z pańskiego powodu. Nie zdradzę pana przed nikim, a tym mniej przed tymi dwoma drabami, których nienawidzę; mam przeczucie, że się zetknę kiedyś z nimi, a przynajmniej z mormonem, na stopie niezbyt przyjaznej.

SZATAŃSKI CZYN

Lobos leżało już dawno poza nami; przebyliśmy już San Miguel de Horcasitas i jechaliśmy w kierunku miasta Ures, stolicy powiatu tej samej nazwy. Jechaliśmy? Tak jest. Postarano się o to, żeby żaden z wychodźców nie trudził się marszrutą. Nasz hacjendero, sennor Timoteo Pruchillo przysłał Indian z wozami, końmi wierzchowymi i jucznymi, które czekały na czas w Lobos. Trzeba było przyznać, że całe to przedsięwzięcie wraz ze wszystkim co stało z nim w związku było rzeczywiście wyśmienicie urządzone.

Wozy niezgrabne, nieforemne, podobne były do tych, w jakich pierwsi emigranci przeciągali przez prerie Ameryki Północnej. Przeznaczono je dla kobiet i dzieci; w Lobos naładowano na nie całą chudobę wychodźców oraz narzędzia, które hacjendero kazał kupić w tym mieście dowódcy orszaku. Konie pod wierzchem pozostawiały na ogół wiele do życzenia, wszelako na tak krótką jazdę jeszcze posłużyć mogły.

Przewodnik był to, jak się zdawało, stary, wierny pastuch, *vaquero*, mruk zacięty, który z nikim słowa nie zamienił i zdawał się jedynie mormonowi okazywać szacunek. Obaj jechali stale obok siebie na czele orszaku. Ja przyłączyłem się do Herkulesa i udawałem, że inni mnie nic nie obchodzą, w rzeczywistości jednak uważałem na najmniejszą drobnostkę, starając się wyciągać pożytek ze wszystkiego, coby mi mogło dopomóc w moich zamiarach.

Herkules był, jak się okazało, bardzo dobrym jeźdźcem, ale według europejskiej szkoły; dlatego też śmiał się często z mojego sposobu siedzenia na koniu, ganił mnie, że się nie trzymam prosto, że się chwieję, że nie ściskam odpowiednio konia nogami i wreszcie, gdy te napomnienia nie odnosiły żadnego skutku, zawołał pewnego razu prawie gniewnie:

— Człowiecze, do pana się mówi wszystko na wiatr. Mimo mojego trudu nie nauczy się pan przez całe życie znośnie jeździć. Siedzisz pan na swojej szkapie jak żaczek na koniu z biegunami!

Uprzejmości z jego strony nie można się było spodziewać; mimo to zauważyłem, że nie zachowywał się już względem mnie tak obojętnie, nie był tak nieużyty jak pierwszego dnia naszej znajomości. Często, gdy spojrzałem nań niespodziewanie, widziałem, że jego oko spoczywało na mnie z wyrazem przyjacielskim, nawet tkliwym; wówczas szybko odwracał głowę, jakby się wstydził, że na chwilę stracił swój chłód zjadliwy.

Strażnik okrętowy, Weller, pozostał na okręcie, jak to się samo przez się rozumiało; a jednak byłem przekonany, że zdezerterował wkrótce po naszym wylądowaniu, ażeby w dalszym ciągu nieść usługi mormonowi.

A Melton? Melton nie okazywał już wychodźcom takiej uprzejmości i przyjaźni jak na statku. Opiekował się wprawdzie nimi, jak to wypływało z jego domniemanego stanowiska, lecz im dłużej jechaliśmy, im bardziej oddalaliśmy się od morza, czyli im pewniej miał ich w swoich rękach, tym ostrzej się z nimi obchodził i stawał się coraz bardziej odpychający.

W okolicy, przez którą przejeżdżaliśmy nie byłem jeszcze nigdy; dlatego nie znałem dokładnie położenia miasta Ures; wiedziałem tylko, że leży nad rzeką Rio Sonora, kilka mil poniżej Arispe. Ures rozpościera się na lewym brzegu rzeki, w bardzo urodzajnej nizinie i jest otoczone wspaniałymi ogrodami. Nie dziw tedy, że radowaliśmy się na myśl wypoczynku w tym mieście, skoro dotychczas przechodziliśmy przez kraj przeważnie pustynny i jednostajny. Przypuszczałem, że już do miasta niedaleko, gdyż przebyliśmy dawno Rio Dolores, dopływ Sonory, a równocześnie mnożyły się oznaki, wskazujące, że leży przed nami większa miejscowość. Drogi stawały się liczniejsze — oczywiście nie drogi w naszym znaczeniu tego słowa — siady wozów i koni napotykalismy częściej niż poprzednio, mijali nas podróżni, jadący przeważnie samopas, a wreszcie od czasu do czasu wynurzała się przed naszymi oczami hacjenda albo estancja.

Po pewnym czasie zauważyłem, że mormon starał się, ażeby żaden z podróżnych, z którymi spotykaliśmy się, nie mógł z nami rozmawiać. Podjeżdżał stale do każdego i zajmował ich rozmową tak długo, dopóki się nie oddalili znacznie. Albo obawiał się żebyśmy nie zostali ostrzeżeni, albo nie chciał w ogóle pozwolić, żeby ktoś wiedział kim byliśmy i dokąd zdążamy. Jego zachowanie się pozwalało przypuszczać, że każdemu dawał fałszywe wyjaśnienia. A potem jeszcze jedna okoliczność pogłębiła moje podejrzenia. Oto Melton zmienił kierunek pochodu na północno — wschodni. W tej stronie na pewno nie leżało Ures. Postanowiłem wprawdzie nie okazywać mu ani śladu nieufności, teraz jednak podjechałem do niego i zapytałem uprzejmie o położenie miasta i o czas w jakim tam dotrzemy. Na to odpowiedział, obrzucając mnie jadowitym spojrzeniem:

Co wam do Ures, master? Czy może powiedziałem, że będziemy przejeżdżać przez tę miejscowość?

— Powiedzieliście, że hacjenda del Arroyo leży poza Ures; myślę więc, że...

— Myśleć! Co tam myśleć! — przerwał mi. — Tak, hacjenda leży poza Ures, ale nie w prostej linii, tylko z boku. Czy przypuszczacie, że będziemy dla was okrążyć i nakładać drogi?

— Ani mi przez myśl nie przeszło! Zresztą musicie przyznać, że moje pytanie było zupełnie naturalne i nie byłem wcale natrętny!

Odwrociłem się od niego. Pierwsze pytanie zadałem w języku hiszpańskim, on zaś odpowiedział po angielsku, najprawdopodobniej dlatego, ażeby nie zrozumiał go stary vaquero, jadący obok. Oprócz tego przypuszczałem, że omija Ures, aby się tam nie dowiedziano, że do hacjendy del Arroyo nadszedł transport emigrantów. To wszystko wskazywało coraz dobitniej, że zamiary jego względem nich nie były uczciwe.

Wieczorem tego samego dnia dotarliśmy do rzeki Rio Sonora w miejscu leżącym jak przypuszczałem daleko powyżej miasta. Brzegi rzeki opadały z wolna, a woda była dość płytka, więc bez trudu przeszliśmy z naszymi wozami na drugą stronę. Na przeciwległym brzegu powinniśmy byli właściwie rozłożyć się obozem, gdyż dzień już mijał, a długi marsz znużył ludzi i zwierzęta. Jednakże Melton wyjaśnił, że o godzinę drogi stąd znajduje się miejsce, nadające się o wiele lepiej na obóz niż brzeg rzeki i że musimy dojść tam jeszcze dzisiaj. Zdziwiło mnie to, gdyż nad brzegiem było pod dostatkiem wszystkiego, co potrzebne karawanie. Jedyłą niedogodnością przedstawiały komary, jednakże nie mógł to być jeszcze powód do unikania rzeki. Zważywszy przy tym, że już się ściemniało i że na owym obozowisku brakło wody, jak wywnioskowałem z tego, że mormon kazał napić konie w rzece, doszedłem do przekonania, że wchodziły tu znowu w grę osobiste zamiary Meltona. Naturalnie nie sprzeciwiłem się ani słowem tylko postanowiłem pilnie uważać, ażeby się nareszcie przeciw czegoś dokładniejszego dowiedzieć!

Z powodu ciemności nie mogłem rozróżnić dobrze okolicy, przez którą przejeżdżaliśmy. Drzew ani lasu nie zauważyłem. Grunt był piaszczysty, gdzieś tam tylko porosły trawą; posuwaliśmy się powoli, gdyż kopyta koni i koła wozów zapadały się głęboko. Wkrótce zaświeciło na niebie kilka gwiazd; dzięki nim rozpoznałem, że droga nasza prowadziła w kierunku południowo — wschodnim. Przed miastem zboczyliśmy na północny wschód; teraz posuwaliśmy się na południowy wschód; było więc jasne, że Ures leżało na prostej, najkrótszej drodze do hacjendy i zostało przez mormona umyślnie ominięte.

Zatrzymaliśmy się zamiast po jednej dopiero po dwóch godzinach tak jak staliśmy, w pośrodku równiny, w pobliżu kilkunastu krzaków; nie było tam żadnego strumyka, ani nawet wody stojącej. I znowu uderzyło mnie, że rozłożyliśmy się obozem nie przy tych zaroślach, lecz w pewnym oddaleniu od nich. Żaden podróżny nie rezygnuje bez poważnego powodu z korzyści, a przynajmniej z przyjemności, jakie dają rośliny i krzaki w okolicy piaszczystej.

Rozbiliśmy zatem obóz. Zwierzęta pociągowe wyprzęgnięto, wozy ustawiono w jednym szeregu, konie wierzchowe rozsiodłano i oddano w opiekę kilku Indianom. Zauważyłem znowu, że Melton umieścił ich, konie oraz muły nie przy krzakach, lecz po przeciwnej stronie

obożu. Zakrawało to na usilne zabiegi, ażeby nikt z nas nie znajdował się w pobliżu zarośli. Dlatego postanowiłem udać się tam potajemnie. Wszyscy byli bardzo znużeni dlatego wkrótce zawinęli się w koce i ułożyli na spoczynek. Pozornie poszedłem za tym przykładem. Noc była ciemna. Księżyc, który był właśnie w pierwszej kwadrze, nie wszedł jeszcze. Gwiazd świeciło dzisiaj niewiele; przy ich słabym blasku nie można było wyraźnie widzieć nawet na dziesięć kroków. Obserwowałem pilnie Meltona, który leżał sam w pewnym od nas oddaleniu. Zdawało się, że śpi, aliści, mniej więcej po trzech kwadransach, zauważyłem że się poruszył. Rozwinął koc i wstał. Stał dłuższy czas nieruchomo, nasłuchując; sądziłem już, że się oddali; on jednak podszedł ku mnie, położył się na ziemi i przyczołgawszy się bez szelestu na rękach i nogach przysunął ucho tak blisko mojej głowy, że musiał słyszeć mój oddech. Oddychałem powoli, cicho i regularnie, jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. To go uspokoiło. Podniósł się i odszedł w kierunku zarośli.

Jego zachowanie dowodziło przede wszystkim, że mi nie ufał, że się obawiał mojej czujności i ostrożności, a wreszcie zamyślał coś o czym nikt nie powinien wiedzieć.

Gdy oddalił się na tyle, że nie mógł mnie już słyszeć, wstałem i pośpieszyłem jak mogłem najprędzej ku krzakom, ażeby przybyć tam przed nim. Oczy wiście nie biegłem wprost lecz zatoczyłem łuk na wschód od zarośli, podczas gdy on zbliżał się do nich od strony południowej. Również rozumiem się samo przez się, że nie podszedłem od razu do krzaków; musiałem przecież przypuścić, że będzie go tam ktoś oczekiwał. Skoro pozostało jeszcze około czterdziestu, pięćdziesięciu kroków, położyłem się i poczołgałem dalej na rękach i nogach tak, że mogłem się zbliżyć do krzaków na mniej więcej dwadzieścia kroków.

Tam czekałem dopóki mormon nie nadszedł. Ominął mnie z bliska, że mogłem go wyraźnie rozpoznać. Potem stanął i mlasnął cicho językiem.

W odpowiedzi zabrzmiał z zarośli taki sam dźwięk. Z za krzaków wychyliła się jakaś postać, której nie mogłem widzieć dokładnie i zapytała po angielsku:

— Bracie Meltonie, czy to ty?

— *Yes* — odpowiedział zapytany, — a ty?

— *All right!* Przyjdź tylko bliżej! Wszystko jest w porządku.

— Czy jesteś sam?

— Nie, wódz jest ze mną. Z tego możesz wnioskować, że umiem się wziąć do sprawy. Wszystko idzie gładziutko!

Więc mój chłopak spotkał się z tobą?

— Tak! Wejdz w zarośla. Przede wszystkim ostrożność, skoro ten Old Shatterhand jest w pobliżu. Ja jednak nie wierzę w to jeszcze.

— On to jest, nikt inny; mogę na to przysiąc gdyż....

Dalej nie słyszałem nic, ponieważ przy tych słowach obydwaj zniknęli za krzakami. Co miałem począć? Podśledzić ich? Wkrótce się przekonałem, że było to bardzo trudne, a nawet niemożliwe. Krzaki zajmowały niewielką przestrzeń i nie były gęste; mogło ich być najwyżej dziesięć lub dwanaście. Przy tym na horyzoncie ukazał się właśnie w tej chwili sierp księżyca. Musiano by mnie wykryć, nawet gdybym był ciemno odziany; a skoro ubranie moje miał barwę jasną, głupiec jedynie usiłowałby się zakraść. Wobec tego doszedłem do przekonania, że najrozsądniej będzie powrócić do obożu. Cofnąłem się zatem na czworakach, tak daleko, jak tego wymagało moje bezpieczeństwo, następnie podniosłem się i udałem do obożu, gdzie wszyscy spali, a nikt nie zauważył mojej obecności. Owinąłem się w koc na powrót i zacząłem zastanawiać się nad tym co widziałem i słyszałem.

Kim był ów człowiek z którym rozmawiał Melton. Odpowiedź łatwa. Obydwaj mówili do siebie „bracie”; zatem był także mormonem, tym prawdopodobniej, że nie posługiwał się używaną tutaj przeważnie hiszpańszczyzną, lecz językiem angielskim. Następnie Melton pytał się, czy „jego chłopak spotkał się z nim”. Tym chłopakiem był zapewne Weller, strażnik na naszym okręcie. W rozmowie jego z mormonem, w namiocie na statku, wspominał przecież, że

jego ojciec wyruszył już dawno do Indian. A teraz przebywał ów przyjaciel Meltona w towarzystwie indiańskiego wodza. Dzisiejsze spotkanie było zatem już dawno omówione i postanowione. Młody Weller uciekł po naszym odejściu z okrętu i zawiadomił swego ojca, że emigranci są już w drodze i że czas, aby się stawił na oznaczone miejsce spotkania. A więc w krzakach znajdowali się teraz na pewno: stary Weller, Melton i jakiś wódz indiański; może był i młody Weller, a i to prawdopodobne, że wódz znajdował się w towarzystwie kilku Indian. Więc zupełnie słusznie nie narażałem się na niebezpieczeństwo odkrycia, gdyż było ono tym groźniejsze im więcej osób znajdowało się w zaroślach.

Teraz zachodziło ważne pytanie, do jakiego szczepu Indianie należeli. Kto zna stosunki panujące w Meksyku, a przede wszystkim w prowincji Sonora, ten wie jakie mnóstwo szczepów można tam znaleźć. Są to: Opatowie, Pimowie, Sobaipurowiue, Tarahuma, Cahuenczowie, Papagowie, Yuma, Tepeguana, Cahitowie, Corowie, Calatlanowie, Yagui, Upanguaima i Guaimowie, którzy włączają się przeważnie po Sonorze i na granicach tej prowincji. To tylko znaczniejsze szczepy; pomniejszych nie wymieniam wcale.

Wodza, o którym mówił Weller nie widziałem, ani nie słyszałem, więc naturalnie nie mogłem mieć pojęcia, do którego z wymienionych szczepów należało go zaliczyć. A świadomość tego byłaby dla mnie bardzo korzystna. Lecz oto pytanie donioślejszej wagi: w jakim celu miała miejsce dzisiejsza schadzka tych ludzi? Oczywiście mogłem przypuszczać, że chodziło o emigrantów; wszelako odgadnąć coś bliższego, dokładniejszego, nie mogłem absolutnie, pomimo, że wyteżalem całą swą bystrość i przechodziłem w myśli najdrobniejsze nawet fakty poddając je skrupulatnemu porównaniu i osądzeniu.

Czułem prawie gorączkowe podniecenie. Musiałem użyć całej siły woli ażeby leżeć spokojnie, zwłaszcza, że nieobecność mormona trwała aż dwie godziny. O śnie nie było oczywiście mowy. Niebezpieczeństwo wisało nad nami, a ja nie mogłem powiedzieć jakie ono jest i kiedy spadnie. Ta myśl odebrała mi sen zupełnie. Nad nami! Przede wszystkim nad wychodźcami; ponieważ jednak zająłem się już raz tą sprawą, więc, oczywiście, będę ją uważał jakby za swoją i pozostanę z nimi tak długo dopóki niebezpieczeństwo nie będzie zażegnane.

Zadawałem sobie pytanie, czyja też jestem odpowiednio przygotowany, ażeby stawić czoło niebezpieczeństwu. Odwagi mi nie brakło; czy mogłem jednak przyjąć na siebie taką odpowiedzialność. Gdyby mnie unieszkodliwiono, byłiby zgubieni ci, którym chciałem dopomóc. Zatem należało starać się przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Przypominałem sobie w tej chwili, że Melton ominął miasto Ures zapewne dlatego, aby tam nie wiedziano nic o transporcie emigrantów znajdujących się w drodze do del Arroyo; on bowiem, jako kierownik karawany byłby odpowiedzialny za późniejsze jej losy. Przypuszczałem więc, że należało zawiadomić tamtejszą władzę. Kto jednak miał to uczynić? Naturalnie ja. Kiedy? Jak najprędzej; a więc jutro z rana. Ponieważ jednak nikt, a tym mniej mormon, nie powinien o tym wiedzieć, więc musiałem oddalić się w sposób nie wzbudzający podejrzeń. Jak się do tego zabrać?! Pytać? Wtedy musiałbym powiedzieć, gdzie miałem się udać. Oddalić się potajemnie? To wywołałoby właśnie podejrzenie, czego przecież chciałem uniknąć. Gdy biedziłem się nad tym przypominałem sobie słowa Herkulesa, że nigdy nie zostanę dobrym jeźdźcem. To umożliwiło mi właśnie wykonanie planu. Mój koń powinien się splotać mnie precz.

Zamiar wykonania tego planu podziałał na mnie tak uspakajająco, że usnąłem nareszcie i obudziłem się dopiero wtedy, gdy inni już dawno przygotowywali się do wymarszu.

Mormon starał się za wszelką cenę pospieszyć wymarsz; powód tego pośpiechu nie trudno było odgadnąć. Oto obawiał się, ażeby nie zwrócić uwagi na ślady jakie zostawił idąc w nocy do zarośli. Krok ten w miękkim piasku odcisnął się tak wyraźnie, że był widoczny z obozu na całej rozciągłości, aż do krzaków. W razie, gdybym zaczął go badać byłbym musiał znaleźć również ślady tych z którymi Melton w nocy rozmawiał. Ażeby tego uniknąć naglił do szybkiego pochodu.

Mnie było to na rękę, gdyż byłem w takim samym położeniu co on. Ślady moich stóp odcisnęły się również z największą wyrazistością. Melton nie mógł ich przeoczyć; atoli, zapewne przypuszczał, że pochodziły od któregoś z jego sprzymierzeńców, który zakradł się do obozu, nie wspomniawszy nic o tym w czasie rozmowy.

Siodłając konia wetknąłem kilka ostrych ziarenek piasku między siodło a skórę i zaciągnąłem silnie gurt. Gdy następnie wsiadłem nań unosiłem się początkowo w strzemionach starając się, aby zwierzę nie odczuwało jeszcze bólu; po chwili jednak usiadłem całym ciężarem. Wtedy koń poczuł ostre ziarenka i zaczął rzucać się i wierzgać. Udawałem, że staram się wszelkimi sposobami uspokoić go, a jednak — na próżno. Koń chciał mnie zrzucić, a ja przybrałem taką pozycję, jakbym tylko z największym wysiłkiem utrzymywał się w siodle. Na koniec zwierzę tak się poczęło biesić, że zwróciło uwagę wszystkich, nawet mormona.

— Czego chce właściwie ta bestia? — zapytał Herkules, który jak zwykle jechał obok mnie.

— Czy ja wiem? Chce mnie zrzucić. Chyba nic innego!

— Więc ściągaj pan bydlęciu uzdę i daj mu ostrogi, aby nabrało respektu. Naturalnie nie jest to nic dziwnego, że nie chce już dźwigać pana. Koń z charakterem chce mieć dobrego jeźdźca! Pan jednak jest... oho... hallo... a dokąd to?!

Posłuchałem jego rady i dałem koniowi ostrogę. Koń stanął dęba, naprzód przednimi, potem tylnymi nogami, następnie skoczył w górę wszystkimi czterema równocześnie, potem na prawo i lewo, nie zdoławszy mnie jednak zrzucić. Wysunąłem umyślnie nogi ze strzemion, ześlizgnąłem się aż na zad i położyłem, ażeby ratując się na pozór objąć konia rękami za szyję, naturalnie nie spadłem. Świadkowie tej sceny wybuchnęli śmiechem, ten głośny, hałaśliwy śmiech podniecił moją szkapę do ostateczności; wykonawszy jeszcze jeden skok popędziła ze mną w pełnym galopie wprost przed siebie, gdzie ją oczy poniosły. Okoliczność, że ta szalona jazda miała kierunek południowy zdawała się być czystym przypadkiem, nikt się nie domyślał, że koniem kierowałem ja, a nie odwrotnie. Ures leżało przecież na południe od nas.

Obejrawszy się zauważyłem, że kilku emigrantów jechało za mną; lecz wkrótce zawrócili. Herkules jechał najdłużej. Obawiał się o mnie, nie mógł mnie jednak dopędzić. Po dziesięciu minutach straciłem go z oczu i zsiadłem ażeby usunąć piasek spod siodła i uwolnić biedne zwierze od męki. Potem ruszyłem dalej, ciągle na południe w kierunku miasta.

Właściwie aż dwa powody zniewalały mnie, aby się tam udać. Po pierwsze, musiałem zawiadomić tamtejszą policję o transporcie emigrantów, po drugie, kupić sobie nowe ubranie. Ubiór, który nosiłem dotychczas był tak cienki i lekki, że przy wysiłkach jakie mnie czekały podarłby się wkrótce na strzępy; również jego jasna barwa przeszkadzała mi bardzo, jak to okazało się wczoraj wieczorem. Kupiłem go gdyż w Guaymie nie było lepszego, który odpowiadałby mojej figurze i zresztą chciałem uchodzić przed mormonem za człowieka biednego. Ponieważ jednak zostałem przez niego przejrany więc nie widziałem powodu dla którego nie miałbym także swoim zewnętrznym wyglądem potwierdzić, że nie należę do włóczęgów.

Już po godzinie drogi okolica przybrała zupełnie inny wygląd. Im dalej tym bardziej stawała się ożywioną; coraz częściej napotykałem większe lub mniejsze folwarki i siedziby ludzkie, następnie wjechałem na drogę utorowaną, prowadzącą pomiędzy ogrodami i dotarłem na koniec do miasta, które zrobiło na mnie daleko lepsze wrażenie niż Guaymas. Przede wszystkim zapytałem jednego z przechodniów, gdzie znajduje się urząd policyjny. Stanąwszy przed opisanym mi budynkiem przywiązałem konia do płotu i poprosiłem jednego z włóczących się tam policjantów, ażeby mi wskazał mieszkanie dyrektora policji. Policjant zaprowadził mnie na podwórze, gdzie zauważyłem drzwi z napisem objaśniającym, że tu należy szukać najwyższego urzędnika powiatu. Skoro zapukałem, odezwał się ktoś z wnętrza; wobec tego wszedłem i ukloniłem się natychmiast głęboko, bardzo głęboko, gdyż znalazłem się nie wobec mężczyzny lecz jakiejś damy! W pokoju nie było nic z tego co przyzwyczajeni

jesteśmy łączyć z pojęciem biura albo lokalu do przyjęć urzędowych. Były to bowiem puste, białe otynkowane ściany.

W podłodze, którą stanowiła twardo ubita ziemia, tkwiły cztery pale, malowane w barwy narodowe, to znaczy: biało–czerwono–zielone. Na nich wisiały dwa hamaki. W pierwszym leżała owa dama paląc papierosy, ponad nią znajdował się przytwierdzony do słupa pręt, na którym siedziała papuga uwiązana na łańcuchu. Co zawierał drugi hamak nie mogłem zauważyć; dopiero później przekonałem się, że w każdym razie nie był pusty. Zatem jak już powiedziałem ukloniłem się głęboko i zapytałem w najuprzejmiejszym tonie czy mam przyjemność mówić z dyrektorem policji. Dama przypatrzyła mi się ostro, następnie zrobiła ruch ręką, który mówił wyraźnie: „nie chcę cię widzieć” i odwróciwszy głowę nie odezwała się słowem. Za to papuga najeżyła pióra, rozwarła krzywy dziób i zaskrzeczała na mnie:

— Eres retero!

To miłe pozdrowienie znaczy po polsku tyle co:

— Jesteś włóczykiem!

Dama pogłaskała ptaka, ja zaś powtórzyłem moje pytanie nader uprzejmie.

— Eres retero! — odpowiedziała papuga podczas gdy dama trwała w milczeniu.

Powtórzyłem pytanie jeszcze raz.

— Eres retero, retero! — lżył upierzony oszczerca; dama zadała sobie nareszcie tyle trudu, aby skinąć ręką ku drzwiom dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie chce nic o mnie wiedzieć.

Wobec tego otworzyłem drzwi i nie oddalając się wyjrzałem na dziedziniec. Policjant który mnie tutaj przyprowadził stał jeszcze. Ponieważ patrzył w przeciwną stronę więc włożyłem palec do ust i gwizdłem tak przeraźliwie, jak tylko mogłem. Naturalnie papuga gwizdała także, dama skrzeczała jak przedtem papuga, a policjant obrócił się ku mnie.

— Czy tu jest rzeczywiście urząd dyrektora policji?

— Tak, sennor — odpowiedział. Więc gdzież on jest?

— Tam, w pokoju.

— Przecież nie widzę go, a sennora nie chce odpowiadać!

— Na to nic nie poradzę; na to w ogóle nie ma rady!

Odwrócił się i odszedł. Wtedy skierowałem kroki ku damie i powtórzyłem moje pytanie, tym razem jednak nie w tonie uprzejmym. Na to zapytana wyprostowała się i odparła gniewnie:

— Precz natychmiast, bo każę pana zamknąć! W jakim stroju pan przychodzi! Widać przecież od razu, że pan nie ma czym płacić za czynności urzędowe!

Papuga zaczęła bić skrzydłami, dziobać i krzyczeć:

— Eres retero, eres retero! — ja jednak wyciągnąłem z zimną krwią mój trzos z pieniędzmi i zacząłem nie mówiąc słowa przekładać brzęczące monety z ręki do ręki. Natychmiast zaczęła papuga naśladować dźwięk złota głosem rzeczywiście ludzającym, a dama zwróciła się do drugiego hamaku i odezwała najmiłszym, dźwięcznym głosem:

— Podnieś się mój drogi! Jest tu pewien cavallero, który musi koniecznie z tobą pomówić. Tymczasem skręć mu papierosa!

Pod drażkiem papugi umocowana była skrzynka, w której znajdował się tytoń i bibułka papierosowa. Dama wzięła kawałek tego papieru do ust, ażeby go zwilżyć śliną, położyła na to szczyptę tytoniu, skrzyła wszystko na kształt gąsienicy i zapaliwszy o niedopałek swojego papierosa podała mi z przychylnym uśmiechem.

Hm! To zwilżanie! Te paluszki z ich nakrapianą barwą, po której nie można było rozróżnić czy tkwią w rękawiczkach czy też są czymś innym pokryte! A do tego miejsce, w którym się tytoń znajdował — u stóp papugi. Słowem, wziąłem wprawdzie papieros z głębokim ukłonem, lecz nie odważyłem się włożyć go do ust.

Tymczasem spostrzegłem jakieś poruszenie w drugim hamaku i po chwili zeskoczyła z niego niezmiernie wysoka i straszliwie chuda postać, która podeszła do mnie krokami powolnymi, niedosłyszalnymi, niby widmo i zapytał tonem bruchomówcy:

— Jaką takse jest pan przygotowany zapłacić, sennor?

— Płacę według wartości odpowiedzi, które otrzymam — odpowiedziałem. Na to długi obrócił się do żony i powiedział wykrzywiając okropnie oblicze, co miało zapewne oznaczać przyjacielski uśmiech:

— Czy słyszysz, gołąbko? On płaci według wartości. Ponieważ jednak wszystko co mówię posiada dla każdego wysoką wartość, więc proszę cię skrócić sennorowi jeszcze jednego papierosa!

Po chwili, skoro trzymałem już w palcach dwa robaki tytoniowe, przystąpił nareszcie do rzeczy, mówiąc:

— Niech mi pan teraz przedłoży z zaufaniem i otwartością swoje życzenia, sennor! Stoi pan przed najżycziwszym ze swoich przyjaciół!

Papuga zagadła tak wdzięcznie, że nareszcie pojąłem, iż stoję wobec dwojga najlepszych i najszlachetniejszych ludzi i wobec najmądrzejszej papugi; — rozważywszy to wszystko, zapytałem z niezmierną szczerością:

— Czy jest znane panu nazwisko Timoteo Pruchillo, sennor?

— Nie. Tobie także nie gołąbko?

— Nie! — odpowiedziała gołąbica.

Szukam hacjendy del Arroyo, która ma leżeć niedaleko Ures. Czy mógłby pan mnie objaśnić o tym bliżej?

— Nie. Ty także nie, gołąbko?

— Nie! — Powtórzyła jak echo gołąbica.

— Timoteo Pruchillo sprowadził z Niemiec emigrantów, którzy mają pracować w jego hacjendzie. Kto ma obowiązek wziąć tych ludzi w opiekę, gdyby Pruchillo postąpił z nimi nieuczciwie?

— Nie ja, sennor!

— Więc ktoś wobec tego?

— Niemcy, ich poselstwa albo konsulaty.

— Czy jest tu konsulat?

— Nie!

— Ale przecież musi tutaj być ktoś, kto zająłby się tymi ludźmi w razie gdyby groziło im niebezpieczeństwo!

— Nie, nie ma nikogo!

— Ależ sennor, nawet przypuściwszy, że są oni pozbawieni opieki państwowej dlatego, że tutaj nie ma przedstawicielstwa Niemiec, należy oczekiwać, że gdyby jakiś Meksykanin postąpił z nimi nieuczciwie albo wręcz haniebnie, to zostałyby przez tutejszą władzę policyjną pociągnięty przeciw do odpowiedzialności?

— Nie, sennor! Mnie nic nie obchodzi co się dzieje z obcokrajowcami.

— Więc co by pan zrobił, gdyby mieszkaniec pańskiego powiatu zabił cudzoziemca?

— Nic, zupełnie nic! Moi poddani sprawiają mi tyle kłopotu, że nie mogę zajmować się obywatelami obcych państw. Cudzoziemcy, ich sprawy, stosunki, rzeczy — nie istnieją dla nas wcale. Pod tym względem niczego nie może pan od nas żądać! Czy poza tym ma pan jeszcze jakieś życzenie, sennor?

Nie, pańskie dotychczasowe odpowiedzi uwolniły mnie od wszelkich dalszych pytań!

— Wobec tego odprawię pana, skoro pan uzna wartość udzielonych mu odpowiedzi!

— Tak, skoro pan uzna ich wartość. — Potwierdziła sennora czarującym tonem, przy czym papuga zawtórowała milutkim minorem i krzaniem.

— Wyjaśnię panu najsumienniejszą tę wartość. — odpowiedziałem. — Ponieważ pan stale odpowiadał słowem nie, więc odpowiedzi pańskie nie posiadają dla mnie niestety żadnej wartości.

— Co? Jak? Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan nic nie zapłaci?

— Oczywiście!

Na to zrobił dwa kroki wstecz, zmierzył mnie gniewnym wzrokiem i zagroził:

— Ja mogę pana zmusić, sennor!

— Nie! Ja także jestem cudzoziemcem i mam tylko zagraniczną walutę przy sobie! Ponieważ według pańskich słów nie istnieją dla pana zagraniczne osoby, sprawy, stosunki i rzeczy, więc nie mogę obrażać pańskich uczuć narodowych i pańskiego szacunku dla władzy kraju ofiarowaniem panu obcej monety!

Sennora wypuściła z palców papieros i przygryzła wargi; papuga podniosła skrzydła i rozwarła dziób; sennor cofnął się jeszcze o krok i zapytał gulgocząc jak świerszcz:

— Więc tylko obce pieniądze?

— Tak! Jedynymi krajowymi przedmiotami, którymi mogę pana zaszczycić są te oto papierosy — rzekłem, wrzucając podane mi poprzednio gąsienice do skrzynki z tytoniem, przy czym papuga omal nie dziobnęła mnie w rękę.

— Więc pan nie zapłaci nic, zupełnie nic?! — zawołał sennor.

— Nie!

Sięgnąłem po swoje strzelby, które oparłem przedtem o ścianę i oddaliłem się pośpiesznie.

— Skąpiec, człowiek bez czci i wiary! — grzmiał długi sennor swoim głosem brzuchomówcy.

— Cudzoziemiec, obdartus, wagabunda! — skrzeczała donna z wściekłością.

— Eres retero, eres retero, retero! — jesteś włóczykiem, — eres retero, tero, ro, ro, ro! — słyszałem jeszcze na podwórzu; — za bramą stał przy moim koniu policjant, czekając na mnie zapewne, gdyż wyciągnął rękę i powiedział:

— Napiwek za wiadomość, której panu udzieliłem; pensję mam bardzo skąpą, a do wyżywienia żonę i czworo dzieci.

— Na to nie poradzę; na to w ogóle nie można poradzić! — odpowiedziałem jego własnymi słowami; odwiązałem konia, wsiadłem i odjechałem. Gdybym był w nieco lepszym humorze byłby on przynajmniej coś dostał.

Zatem nadzieja, którą pokładałem w policji, zawiodła mnie zupełnie. W takich stosunkach najlepiej liczyć tylko na siebie samego. Wobec tego precz z myślą o pomocy innych!

Skoro odjechałem dość daleko od budynku policji, zatrzymałem się w pierwszym, nieco porządniej wyglądającym hotelu ażeby pożywić siebie i konia i zapytać się o sklep z ubraniami.

Wskazano mi dość duży skład, w którym dostałem dobry, mocny kostium meksykański; oprócz tego zaopatrzyłem się w większą ilość amunicji. Przed odjazdem wypytałem o drogę do hacjendy; opisano mi ją tak dokładnie, że absolutnie nie mogłem zbłądzić. Hacjenda leżała o dzień drogi a wschód, nad strumykiem, który tworzył jezioro pomiędzy lesistymi górami. Równocześnie zasięgnąłem bliższych wiadomości o charakterze jej właściciela.

Sennor Timoteo Pruchillo był człowiekiem uczciwym; dawniej należał do najbogatszych ludzi prowincji, ale przez ciągłe powstania polityczne i napady indiańskie wiele ucierpiał, więc teraz był uważany jedynie za dość zamożnego plantatora. Z dawnych dóbr pozostała mu tylko hacjenda del Arroyo. Oprócz tego należała do niego kopalnia rtęci, o której wiedziano tylko tyle, że leży daleko poza hacjendą, w okolicy bardzo nieurodzajnej i że dawniej przynosiła wielkie dochody, jednak z powodu braku robotników i z obawy przed włóczącymi się w pobliżu dzikimi Indianami została opuszczona.

O drodze, którą dnia tego przebyłem, nie mam nic do powiedzenia; okolica była piaszczysta, albo pokryta skałami i zupełnie nieurodzajna. Przenocowałem w dolinie, w której znalazłem tyle trawy, że koń mój mógł się napaść do syta. Od Ures nie widziałem jeszcze żadnego

człowieka; ale już następnego przedpołudnia miałem spotkanie, przy którym niestety popłynęła krew.

Jechałem pod górę wężową linią długiej i wąskiej doliny. Góry otaczające ją były skaliste, prawie zupełnie bezdrzewne i posiadały kształty tak oryginalne i dzikie, że przypominały dalekie kraje Ameryki Pomocnej, tak zwane „Bad lands”; rozpamiętywałem moje przygody w tamtych okolicach, walki ze Siouxami, z którymi potykałem się tak często; wyobrażałem sobie, że słyszę ich przenikliwy okrzyk wojenny, głosy ich karabinów. Wtem — czy to było tylko ludzkie wspomnienie, czy też rzeczywistość? Padł strzał! — Zatrzymałem konia i jałem nasłuchiwać. Tak, to była rzeczywistość, gdyż teraz postyszałem wprost przed sobą, w dolinie, poza najbliższym jej zakrętem — strzał drugi i trzeci!

Popędziłem konia, nie od razu jednak minąłem zakręt. Chciałem naprzód wiedzieć kogo mam przed sobą. Dlatego zsiadłem i zostawiwszy konia na miejscu podszedłem pieszo do rogu skały zasłaniającej mi dalszy widok. Zdjąwszy kapelusz, którego szeroka kresa mogła łatwo mnie zdradzić i wysunąwszy poza skałę czoło zobaczyłem przede wszystkim, że dolina rozszerzała się w tym miejscu, łącząc się z bocznym wąwozem; w dole, Pośrodku doliny stali dwaj mężczyźni. Patrzyli w górę na skałę tworzącą róg dwóch przełęcz. Jeden z nich był białym, drugi Indianinem; obydwaj mieli karabiny w rękach. Właśnie w tej chwili złożyli się, wymierzili w górę i wypalili; strzały zahuczały szybko — jeden za drugim.

Do czego albo do kogo strzelali ci ludzie? W pobliżu stały trzy konie. Zapewne więc było ich również trzech. Lecz gdzie znajdował się trzeci? Wysunąłem głowę dalej i ujrzałem inne trzy konie, leżące na ziemi obok ściany skalnej. Zdawały się być martwe, gdyż nie poruszały się wcale. Ponad nimi, może na wysokości trzydziestu łokci, w miejscu, na które mógłby wspiąć się tylko dobry turysta, kryły się trzy młodzietkie postacie poza wyskokiem skalnym, który osłaniał je przed kulami. Byli to dwaj chłopcy i kobieta; oczywiście nie mogłem ich rysów dokładnie rozpoznać; może bardziej odpowiadałoby im miano młodzieńców. Nie mieli strzelb, tylko łuki, z których wypuszczali od czasu do czasu strzały ku swoim napastnikom; strzały jednak padały za blisko!

Mężczyźni przeciw chłopcom, przeciw bezbronnej kobiecie! Jacyż to mogli być mężczyźni! Chyba tylko ostatni łajdacy! Zdecydowałem się natychmiast pachołętom dopomóc, gdyż było jasne, że chodziło tu o życie. Ażeby jak najmniej wystawić się przy tym na niebezpieczeństwo, musiałem zaskoczyć napastników w chwili, gdy lufy opróżnią z naboju, a więc zaraz po wystrzale.

Wróciłem przeto do konia i wskoczyłem na siodło. Sztucer Henry’ego wzięłem w rękę, rozluźniłem rewolwery za pasem i czekałem. Strzały padły jeden za drugim, a prawie równocześnie pędził już mój koń wzdłuż skały, zakrętem, wprost ku nim. Widok mój tak ich zaskoczył, że skamieniali patrzyli na mnie z oczekiwaniem dopóki nie zatrzymałem się przed nimi.

Biały był człowiekiem średniego wzrostu, odziany w prosty ubiór meksykański; ktoby choć raz ujrzał jego niezwykle ostre, charakterystyczne rysy twarzy, ten nie zapomniałby ich nigdy. Za pasem miał zatknięty nóż i pistolet, a w prawej ręce trzymał dopiero co wystrzeloną jednorurkę.

Czerwonoskóry był podobnie ubrany, tylko głowę miał nie nakrytą, a w długie zawiesiste włosy miał wpięte orle pióro, oznakę godności wodza. Zza pasa sterczała mu rękojeść noża, strzelba jego była również jednorurką.

— Dzień dobry, sennores! — pozdrowiłem ich, wstrzymując konia gwałtownie tuż przed nimi i trzymając w prawej ręce sztucer gotów do strzału. — Jakie to polowanie urządzenie panowie tutaj? Chyba tylko na zwierzęta?

Żaden nie odpowiedział. Udałem jakbym dopiero teraz ujrzał trzy nieżywe konie i mówiłem dalej:

— Ach! Do koni panowie strzelacie? A konie są osiodłane! Więc panowie godzicie na życie jeźdźców! Gdzie się oni podziali?

Czerwony sięgnął do worka po kulę, ażeby naładować strzelbę na nowo. Biały uczynił to samo i odpowiedział przy tym:

— Co to pana obchodzi? Uciekaj stąd i nie wdawaj się w nie swoje sprawy!

— Nie? Rzeczywiście nie?! Na ten temat można byłoby się jeszcze sprzeczać. Kto na swojej uczciwej drodze spotyka ludzi strzelających do kobiet i chłopców ten ma prawo zapytać o powód takiego czynu!

— Ale jaką otrzyma odpowiedź?

— Taką jakiej żąda, mianowicie, jeśli potrafi poprzeć czynem swoje pytanie!

— I pan uważa siebie za takiego właśnie człowieka? — zapytał biały w szyderym tonie, podczas gdy czerwony z zimną krwią owijał kulę w pakuły, ażeby ją wepchnąć do lufy.

— Oczywiście! — odpowiedziałem.

— Zamiast na śmiech się wystawiać umykaj pan czym prędzej, gdyż inaczej nasze kule pokażą panu...

Wasze kule, łotrze? — przerwałem mu, kierując lufę strzelby w jego pierś. Powąchaj naprzód moich. Czy wiesz ile kul mieszka w sztuczu Henry'ego? W tej chwili karabiny na ziemię! Inaczej przewiercę wam głowy nabojem!

— Sztu... cer Hen... ry'ego! — wykrztusił biały, wlepiając we mnie wybałuszone oczy i bezwiednie wypuszczając karabin z ręki.

Jak to się stało, że słowo „sztucer Henry'ego” zdębiło mu włosy na głowie?! Indianin nie pozwalając się ogarnąć przerażeniu rozważył sytuację z zimną krwią. Mimo, że lufa mojego karabinu nie była skierowana na niego, lecz w jego towarzysza, nie miał odwagi dokończyć ładowania; lecz przecież był jeszcze inny sposób działania. Wódz do tego sposobu postanowił się uciec. Siedząc, w jakim kierunku szły jego spojrzenia, byłem na to przygotowany. Wyrwał błyskawicznym ruchem pistolet zza pasa białego i złożył się do mnie. Równie szybko ja skierowałem sztucer w jego rękę zanim zdołał odciągnąć kurek, padł strzał, przeszywając mu dłoń. Przez chwilę stał jak osłupiały, patrzył to na mnie to na krwawiącą rękę, z której wypadł mu pistolet; następnie zwrócił się do białego i zawołał:

— *Tave-szala!*

Po tych słowach skoczył z największym pośpiechem ku koniom, rzucił się na jednego z nich i pędził pełnym galopem w głąb wąwozu.

— *Tave-szala!* — powtórzył biały, który aż do tej chwili stał nieruchomo. Następnie dodał w języku angielskim:

— *All devils*, gdzież ja miałem oczy! Wódz ma słuszość.

W chwilę później siedział na drugim koniu i pędził co koń wyskoczy za czerwonoskórym, porzucając na ziemi i strzelbę i pistolet. Oczywiście, nie starałem się wcale ich zatrzymać. — Co miały oznaczać owe słowa, „tave szala”? Pochodziły z narzecza, którego nie znałem. Po ucieczce napastników rozbrzmiał ze skały potrójny okrzyk radości. Kobieta i chłopcy widzieli co się stało i uważali się za uratowanych; ja jednak, odwróciwszy się ku nim spostrzegłem jak dalece radość ich była przedwczesna. Mianowicie ponad nimi, na najwyższym grzbiecie skały, na samej krawędzi, zauważyłem głowę jakiegoś człowieka, który przypatrywał się im przez krótką chwilę; ukazała się lufa karabinu i ręce; jasne było, że ów człowiek do nich właśnie mierzył. Z ich stanowiska trudno było spostrzec nowego wroga; stali w obliczu prawie niechybnej śmierci! Musiałem ich ostrzec; — ale jak? Słowa radości, które poprzednio wykrzyknęli, zaczerpnięte były z języka Mimbrenjów, znanego mi na szczęście, gdyż nauczyłem się go od Winnetou, toteż zawołałem:

— *Te sa arkonda, nina akhlai to-sikis-ta* — przyciśnijcie się do ściany skalnej! Ponad wami wróg!

Przycisnęli się natychmiast i cofnęli się tak daleko poza występ, że z dołu nie mogłem ich już dojrzeć. Nieznajomy zapewne takie stracił ich z oczu; zniknął na chwilę, ale... nie zrezygnował ze swego zamysłu. Ukazał się wkrótce ponownie na innym miejscu, które tworzyło rodzaj dachu wystającego dosyć znacznie; stamtąd mógł ich widzieć i dosięgnąć kulami. Należało ratować życie trojga ludzi, a uratować nie zdołałbym, gdybym oszczędzał mordercę. Strzał na tę wysokość był bardzo trudny. Sztucer nie niósł tak daleko, a gdyby moja pierwsza kula nie trafiła nieznajomy zyskałby na czasie i dokonał swego. Koń mój stał niespokojnie dlatego zeskoczyłem z siodła, odrzuciłem sztucer i złożyłem się niedźwiedziówką. Właśnie w tej chwili nieznajomy skierował lufę karabinu na dół. Celowałem krótko, lecz pewnie. Strzał padł i odbił się echem od ścian wąwozu; stary, ciężki karabin miał tutaj głos prawdziwie armatni! Lecz rzecz dziwna! Nieznajomy leżał na skale tak, że widziałem tylko jego głowę i ramiona, i to niewyraźnie z powodu oddalenia. Zdawało mi się, że głowa przeciwnika uskoczyła w bok po moim strzale, a jednak nie poruszał się, nie cofnął, a ramiona trzymały karabin nieruchomo w poprzedniej pozycji. Wobec tego posłałem drugą kulę. On jednak nadal nie zmieniał położenia, ale także nie strzelał. Dlatego naładowałem na nowo. Uratowani przeze mnie Indianie wystąpili naprzód i jeden z chłopców zawołał:

Nie strzelaj, on już nie żyje! Zejdźmy do ciebie. Zdarza się widzieć po bitwie ciała żołnierzy zamarłe w tej postawie, w jakiej zostały trafione przez pocisk nieprzyjaciół. Czyżby tu nastąpiło owe nagłe zeszytnienie? Nie miałem czasu o tym myśleć, gdyż Indianie weszli już ze skały; podszedłem więc do nich i powitaliśmy się uściskiem ręki — Zapytałem starszego chłopca:

— Czy znałeś waszych wrogów?

— Błedej twarzy nie; natomiast znam obydwóch czerwonych mężów. Stary był *Vete-Ya*, Wielkie Usta, wódz Indian Yuma, drugi *Gaty-Ya*, Małe Usta, syn jego.

Ponieważ mimo ich młodego wieku nie chciałem być tak nieuprzejmy, ażeby pytać wprost o ich stosunki, więc dowiadywałem się dyskretnie:

— Nie znam ani jednego, ani drugiego i nie słyszałem o nich nigdy. Z jakiego powodu chcieli was zabić.

— Przed wieloma księżycami przybyli, ażeby napaść i obrabować nasz szczep, chociaż żyliśmy z nimi w pokoju. Dowiedzieliśmy się o tym zawczasu i pobiliśmy wojowników Yuma. Wodza, *Vete-Ya*, pojмалиśmy. *Nalgu Mokaszi*, Silny Bawół, nasz ojciec zaproponował mu walkę honorową i zwyciężył go. Następnie, zamiast go zabić, zwrócił mu wolność. Jest to wielce hańbiący dowód lekceważenia, czego ty zapewne nie wiesz, gdyż jesteś bladą twarzą!

— Wiem to, bo znam zwyczaję czerwonych mężów. Przebywałem wiele zim i wiosen wśród najdzielniejszych szczepów, a z Silnym Bawołem, waszym ojcem paliłem fajkę pokoju!

— Skoro tak, to nie możesz być zwykłą bladą twarzą i musisz mieć wielkie imię, gdyż nasz ojciec jest dzielnym wojownikiem i zwykł palić kalumet tylko ze sławnymi ludźmi!

— Imię moje usłyszycie! Odpowiedz mi przede wszystkim w jaki sposób spotkaliście się tutaj z obydwoma Yuma i z białym.

— Ta squaw jest naszą *szilla*, starszą siostrą i żoną wodza Opatów. Przed dwoma miesiącami wybraliśmy się do Opatów, ażeby ją odwiedzić; teraz wracaliśmy, a siostra z nami, gdyż chciała widzieć się z ojcem.

— Postąpiliście nieroztropnie!

— Niestety! — Żyjemy w zgodzie ze wszystkimi szczepami; gromada Opatów towarzyszyła nam znaczną część drogi, a gdy nas opuszczali byliśmy wszyscy przekonani, że żadne niebezpieczeństwo grozić nam nie może. Yuma mieszkają daleko stąd; nie mogliśmy nic wiedzieć o pobycie ich wodza w tej okolicy. Na kobiety i chłopców nie nastaje żaden uczciwy wojownik. A jednak *Vete-Ya* strzelił do nas. Nie jesteśmy jeszcze wojownikami i nie mamy imion! Byliśmy zaopatrzeni jedynie w łuki i strzały, więc nie mogliśmy stawiać oporu napastnikom uzbrojonym w strzelby. Dlatego zeskoczyliśmy prędko z koni i schroniliśmy się

za skałę. Tutaj mogliśmy się ukryć, a gdyby nieprzyjaciele odważyli się wspinać za nami bylibyśmy ich zabili strzałami. Mimo to, dziś jednak powitałyby nas Wieczne Ostępy gdybyś ty nas nie uratował; skoro bowiem *Vete-Ya* ujrzał, że nie dosięgną nas jego kule wysłał swego syna, ażeby inną stroną wspiął się jeszcze wyżej niż my i zastrzelił nas z góry!

— Czy biały strzelał również?

— Tak, chociaż nie znaleźliśmy go i nie zrobiliśmy mu nigdy nic złego. Dał nawet synowi wodza swoją strzelbę, która miała dwie lufy, ażeby mógł nas łatwiej i prędzej zabić. Za to będzie musiał umrzeć, skoro mnie spotka; zapamiętałem sobie dokładnie jego oblicze.

Wyciągnął nóż i zrobił nim ruch jakby przeszywał komuś serce. Widziałem, że nie mówił tego na wiatr. Wzmianka o starszym Indianie przypomniła mi słowa, które wypowiedział *Vete-Ya*, gdy moja kula trafiła go w rękę. Dlatego zapytałem:

— Czy znasz mowę Yuma?

— Znam z niej wiele słów.

— To może potrafisz mi powiedzieć, co oznaczają słowa „tave-szala”?

— To wiem bardzo dobrze! Oznaczają one: „druzgocąca ręka”, imię wielkiego, białego myśliwca, który jest przyjacielem sławnego wodza Apaczów, Winnetou! Błede twarze nazywają go Old Shatterhand. Nasz ojciec walczył raz u jego boku przeciw Komańczom i wypalił z nim kalumet pokoju i dozgonnej przyjaźni.

— Gdzie słyszałeś te słowa?

— *Vete-Ya* wykrzyknął je gdy mu zdruzgotałem dłoń kulą.

— Uczyniłeś zatem tak, jak zwykł czynić Old Shatterhand. On nie zabija żadnego wroga, jeśli może unieszkodliwić go, raniąc. Jego kule nie chybają nigdy! Posyła je albo ze swej *szosz-sesteh*, niedźwiedziówki, którą potrafi władać tylko silny człowiek, albo z krótkiego karabinu, który ma tyle kuł, że można z niego strzelać bez...

Przerwał, nie wypowiedziawszy ostatniego słowa; obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów i zawołał, zwracając się do swego rodzeństwa:

— Uff! Moje oczy były ślepe! Ten biały wojownik trafił naszego wroga z tak wielkiej odległości! Przypatrzcie się ciężkiej rusznicy w jego ręce! A tam, gdzie stał przedtem leży jego drugi karabin, którym roztrzaskał rękę *Vete-Ya*. Wódz nazwał go „Tave-szala”. Mój młodszy bracie, moja starsza siostrze, odstąpcie z szacunkiem, gdyż stoimy przed wielkim białym wojownikiem; nasz ojciec, który przecież jest wielkim bohaterem, że on nawet nie może się z nim porównać!

Był to frazes indiański, przesadna grzeczność, pomyślana jednak zupełnie szczerze. Wszyscy troje cofnęli się i ukłonili głęboko; ja wszakże podałem im powtórnie rękę i powiedziałem:

— To prawda; nazywają mnie Old Shatterhandem. Jesteście dziećmi mojego dzielnego i sławnego przyjaciela; serce moje cieszy się, że mogłem na czas przybyć i odpędzić waszego wroga! Zraniłem go ciężko w prawą rękę, nigdy już nie będzie mógł ująć nią toporu wojennego. Chodźcie teraz do koni!

Koń zabitego *Gaty-Ya* stał w pobliżu mojego. Na ziemi leżał sztucer Henry’ego, obydwie jednorurki i pistolet. Zauważyłem, że moja kula przeszła naprzód przez rękojeść pistoletu, a potem dopiero, już spłaszczona, utkwiała w dłoni Indianina; skutkiem tego rana musiała być daleko niebezpieczniejsza i boleśniejsza niż gdyby ręka została bezpośrednio przebita. Obie jednorurki należały do Indian; biały pożyczyl Małym Ustom karabin i otrzymał na ten czas jego strzelbę. Zdobycz należała do mnie. Podarowałem chłopcom obie strzelby, a starszemu także pistolet. Promienieli z radości, gdyż chłopiec indiański niełatwo otrzymuje broń palną; podarunki jednak przyjęli milcząco, gdyż czerwonoskóry musi umieć panować nie tylko nad bólem, lecz także nad radością. Piękny zaś wierzchowiec *Gaty-Ya* dostał się ich siostrze.

Zawartość torb przy zabitych koniach trojga Indian była nienaruszona; napastnicy nie odważyli się bowiem zbliżyć do skał, ponieważ tam dosięgłyby ich strzały chłopców. Siodła, uzdy i inne rzeczy, które uratowani Indianie mieli ze sobą zostały zabrane na nasze konie.

Następnie musieliśmy wejść na górę, gdyż chciałem obejrzeć *Gaty-ya. Squaw*, kobieta, została na straży przy koniach. Z łatwością znaleźliśmy ślady Indianina i drogę, którą dostał się na skałę. Na górze przedstawiał się nam interesujący, chociaż okropny widok. Trup leżał wyciągnięty na brzuchu z głową sterczącą poza krawędzią skały; ramiona zwieszone na dół, wystawały po łokcie, a dłonie zacisnęły się tak silnie, że dwururka nie mogła z nich wypaść. Mimo to, zabezpieczyłem naprzód karabin, a potem dopiero odciągnęliśmy trupa od brzegu wąwozu.

Uff, uff — zawołali obydwaj chłopcy, spojrzawszy na głowę zastrzelonego. Moje obydwie kule przebiły mu skroń; wobec tej odległości był to jedynie przypadek, lecz później rozgłaszano go przy wszystkich ogniskach obozowych, jako jeden z moich arcydzieł.

Wszystko to, co znaleźliśmy przy zabitych, mogli chłopcy zabrać dla siebie. Trupa zostawiliśmy tak, jak leżał. Następnie zeszliśmy ze skały i ruszyliśmy spiesźnie w dalszą drogę.

Pośpiech nasz miał dwa powody: po pierwsze, nic nas już tutaj nie zatrzymywało, a po drugie, należało się spodziewać, że obydwaj zbiegowie powrócą, ażeby poszukać *Gaty — ya. Vete-Ya* przypuszczał najprawdopodobniej, że syn jego spostrzegł mnie i że się schronił w jakieś bezpieczne miejsce. W każdym razie czekał zapewne na niego. Nie mogąc się doczekać, sądziłem, wróci do kotliny, znajdzie trupa, a wtedy — pójdzie moimi tropami, nieubłagany śmiertelny wróg.

Naturalnie miałem wielką ochotę wiedzieć kim był ów biały towarzysz; Indian. Dwururka należała do niego. Obejrzałem ją więc dokładnie i wykryłem dwie litery wycięte u spodu kolby, mianowicie: R. i W. Pierwsza litera była zapewne początkową imienia białego, druga — początkową nazwiska. Natychmiast przyszło mi na myśl nazwisko Weller. Tak przecież nazywał się ojciec strażnika okrętowego! Przedwczoraj wieczór rozmawiał z Meltonem w towarzystwie jakiegoś wodza indiańskiego. To przecież zgadzało się znakomicie. Owym wodzem był bez wątplenia *Vete-Ya*, a jego biały towarzysz to właśnie ów nieznamy z przedwczoraj, który mówił do Meltona „bracie”. Zapewne i *Gaty-Ya* był z nimi. Okoliczność, że się dzisiaj tutaj na nich natknąłem, nie dziwiła mnie wcale, gdyż dolina leżała w kierunku hacjendy del Arroyo. Jeżeli przypuszczałem słusznie, to należało się spodziewać, że w pobliżu znajduje się gromada wojowników Yuma, którą obydwaj, zbiegowie mogli sprowadzić nam na karki. Należało zatem, nie zwlekając, opuścić dolinę, ażeby jak najprędzej dostać się do hacjendy.

Indianie zdecydowali się towarzyszyć mi do hacjendy chociaż nie leżała na ich drodze; spodziewali się bowiem dostać tam jeszcze dwa konie, które im były niezbędne. *Squaw* dosiadła konia, którego jej podarowałem, ja jechałem na moim zwierzęciu, chłopcy musieli iść pieszo. Byłbym im chętnie odstąpił swojego konia, gdyby to się dało pogodzić z godnością „Old Shatterhanda”. Im również nie byłoby przyszło do głowy, nawet we śnie, przyjąć taką propozycję.

Jechałem na przodzie; oni postępowali za mną w pewnym oddaleniu. Byłoby mi przyjemniej z nimi rozmawiać, atoli psychika i obyczaje czerwonych absolutnie wykluczały fakt, ażeby wojownik tej miary, co ja, gwarzył z chłopcami! Wszyscy Mimbrenjowie załamaliby ze zdumienia ręce, gdyby się o tym dowiedzieli!

W Ures nie chciano mnie zapewne odstraszać, dlatego powiedziano, że do hacjendy jest dzień drogi; tymczasem dopiero dzisiaj, to jest drugiego dnia po południu, zobaczyliśmy przed sobą owe lesiste góry, które mi opisano. Niebawem wjechaliśmy w las. Chłód, który panował pod drzewami sprawił nam wielką ulgę po niesłychanym gorącu, w jakim po prostu smażyliśmy się przez całe przedpołudnie. Opis drogi, według której się kierowałem był rzeczywiście dobry, tylko czas podano mi o wiele krótszy. Na dwie godziny przed wieczorem

dotarliśmy do małego jeziora, do którego uchodził strumyk Arroyo. Tutaj znowu miałem sposobność widzieć jakie trudy potrafią znieść Indianie. Obydwaj chłopcy nie zostali ani razu w tyle i wcale nie można było po nich poznać, że są zmęczeni tak długą drogą przebytą pieszo. Chętnie bym zsiadł przy strumieniu, ażeby napić się orzeźwiającej, czystej jak kryształ wody, gdyby nie wstyd przed tymi pacholętami, które zdawały się nie widzieć fal błyszczących i nie słyszeć ich miłego szemrania.

Jezioro leżało u krańca doliny gęsto pokrytej lasem, niebawem wjechaliśmy na rozległe, bujne łąki, porośłe tu i ówdzie kwiecistymi krzakami. Tutaj pasły się liczne trzody bydła i koni, strzeżone przez pieszych i konnych pasterzy; zaraz z pierwszego rzutu oka zauważyłem, że mało było tych ludzi w stosunku do pasących się zwierząt. Podeszli do nas pozdrawiając przyjaźnie; dowiedziałem się od nich, że Melton ze swoją karawaną jeszcze nie przybył. Nie było w tym, zresztą nic dziwnego, gdyż mormon nie mógł się spieszyć z powodu ciężkich wozów i zwierząt jucznych.

Po pewnym czasie łąki ustąpiły miejsca polom uprawnym. Widziałem bawełnę i trzcinę cukrową, stojące w długich i szerokich rzędach; miejscami rosło indygo, kawa, kukurydza i pszenica, a wszędzie rzucał się w oczy brak robotników i co za tym idzie brak opieki nad roślinami. Wkrótce ujrzeliśmy ogromny sad, w którym znajdowały się prawie wszystkie drzewa owocowe Europy i Ameryki; na widok ich zdziwienia i wegetacji po prostu żal chwycił za serce. Skoro przejechaliśmy przez ten ogród, zobaczyliśmy wreszcie leżące przed nami zabudowania hacjendy.

W owych okolicach, z powodu niepewnych stosunków, stawia się najczęściej większe hacjendy i estancje na podobieństwo obronnych twierdz i fortów. Gdzie tylko pod dostatkiem kamieni, otacza się mieszkanie murem o takiej wysokości, ażeby ewentualni napastnicy nie mogli się nań wdrzeć. Jeżeli nie ma tego materiału zasadza się grube i gęste płoty z kaktusów i innych roślin kolczastych i pozwala się im rosnąć jak najwyżej; takie żywopłoty bywają zwykle uważane za wystarczającą ochronę; a jednak inteligentny napastnik nie uzna wcale takiego ogrodzenia za niewyciężoną przeszkodę.

Hacjenda del Arroyo leżała w górach, było zatem tyle kamieni do dyspozycji, że właściwie źle się wyraziłem mówiąc, iż zobaczyliśmy leżące przed nami zabudowania hacjendy. W rzeczywistości widzieliśmy tylko płaski dach głównego budynku; reszta była zakryta murem, wysokim przynajmniej na 5 metrów. Ściany tego wielkiego, regularnego czworoboku były zwrócone dokładnie na cztery strony świata. Czworobok przecinał strumyk wpływając pod murem północnym, a opuszczając dziedziniec stronę południową. Jednopiętrowy dom mieszkalny stał, jak później spostrzegłem, prawie w środku dziedzińca, tuż przy strumyku, przez który prowadził mostek w kierunku zachodnim, gdyż po tej stronie znajdowała się w murze wielka brama wjazdowa. Oprócz tego stały mniejsze domki w których mieszkała obecna służba; tam mieli również zamieszkać oczekiwani robotnicy; następnie długi, niski magazyn do przechowywania płodów rolnych i ogrodowych a wreszcie wiele otwartych stodół które składały się tylko, z dachów, spoczywających na drewnianych słupach. Przeznaczono je na pomieszczenie dla zwierząt wewnątrz murów, w razie ewentualnego napadu. Wielka brama wjazdowa sklecona z bardzo grubego drzewa, obita była z obu stron blachą żelazną.

W chwili naszego przybycia brama stała otwarta, więc nic nam nie przeszkadzało dostać się na dziedziniec. Pomimo budynków czynił on wrażenie sierocego pustkowia; był to właśnie skutek braku odpowiedniej ilości ludzi w hacjendzie. Nie zauważyliśmy na podwórzu żywej duszy.

Zsiedliśmy z siodła. Jeden z chłopców przytrzymał mojego konia, ja zaś zwróciłem się ku domostwu. W chwili gdy przechodziłem przez most otwarły się drzwi domu i ukazał się w nich człowiek, którego nabrzmiała i ospowata twarz nie budziła we mnie zachwyty. Nie mam bynajmniej uprzedzenia do ludzi, oszpeconych przez ospę, gdyż najlepszy nawet człowiek

może na ospę zapaść; tutaj jednak owe bliźny tworzyły ostatni ton w dysharmonii całego oblicza, które i bez nich byłoby odstrasżające. Człowiek ten spojrział na mnie z góry i krzyknął:

— Stój! Przez most wolno przechodzić tylko caballeros! Czego chcesz? Pomimo tych słów szedłem dalej. Gdy miałem już most poza sobą i stanąłem przed nim odpowiedziałem:

— Czy sennor Timoteo Pruchillo jest w domu?

— Sennor?! Jego się nazywa don! Zapamiętaj to sobie! Tytuł sennor mnie się należy. Jestem sennor Adolfo, majordomus z tej hacjendy. Wszystko tu podlega moim zarządzeniom!

— Czy hacjendero też?

W pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć; następnie rzucił mi spojrzenie, które miało być druzgocące i rzekł:

— Jestem jego prawą ręką, ujściem jego myśli i wcieleniem jego życzeń. Zatem on jest don, a ja sennor! Zrozumiano?!

Przyznaję, że miałem wielką ochotę odpowiedzieć grubiańsko, jedynie wzgląd na obecne stosunki i okoliczności oraz moja niepoprawna dobroduszość, zmusiły mnie do najuprzejmniejszego tonu:

— Według rozkazu, sennor! Więc czy będzie pan tak dobry i powie mi czy don Timoteo w domu?

— W domu!

— Więc zapewne można się z nim widzieć?

— Nie; z takimi ludźmi don nie rozmawia! Jeżeli masz jakąś prośbę to jedynie mnie możesz ją przedłożyć. Niechże się dowiem nareszcie czego chcesz!

— Proszę o przytułek na tę noc dla mnie i dla tych trojga Indian, z którymi tu przyszedłem.

— Przytułek?! Zapewne z jadłem i napojem. Tego by jeszcze brakowało! Tam, w polu, poza granicami hacjendy dość miejsca dla takiej hołoty; wynoście się stąd co żywo i to nie tylko poza obręb murów, ale poza granice hacjendy! Rozkażę jednemu z pasterzy iść za wami i zastrzelić was natychmiast, gdybyście okazali ochotę przenocować na obszarze naszej posiadłości!

— To zbytnia surowość, sennor. Niech pan pomyśli, że niebawem zapadnie wieczór i że my potem...

— Milczeć! — przerwał mi — jesteś wprawdzie białym, ale widać po tobie od razu jaki z ciebie ptaszek. A do tego jeszcze czerwoni. Nasza hacjenda nie jest gospodą dla band rozbójniczych.

— Dobrze, sennor, odchodzę! Nie wiedziałem, że posiadam twarz rozbójnika, a sennor Melton, który przyrzekł mi miejsce buchaltera w hacjendzie nie mniemał chyba, że będzie to dla was tak niebezpieczne!

Odwrociłem się i powoli wracałem mostem. On zaś zawołał za mną:

— Sennor Melton? Buchalter? Więc gdzież pan idzie, panie?! Zostań pan przecież! Chodź pan.

Mimo to szedłem dalej; — pobiegł za mną, chwycił za ramię, zatrzymał i zapewniał.

— Jeśli pana posyła sennor Melton to nie wolno mi pana odprawić z kwitkiem. Przyzna pan chyba, że pańskie ubranie nie może budzić zaufania, a gdyby pan zajrzał dokładnie w lustro, spostrzegłby na pewno, że pańskie oblicze różni się bardzo od oblicza uczciwego człowieka; wszelako suknie nie zawsze są miarodajne, a może się i to zdarzyć, że człowiek z twarzą złodzieja jeszcze nikogo nie okradł! Ponieważ przy tym posyła pana sennor Melton zachodzi przypuszczenie, że pan jest osobą, od której niekoniecznie trzeba stronić. — Więc zostań pan, zostań!

Co miałem sądzić o tym majordomusie? Czy był głupkowaty, czy miał, jak to powiadają, zajęczka w głowę. Miałem wrażenie, że tak nie jest. Wyraz jego twarzy był tak przebiegły, a spojrzenie tak podstępne, że nie mogło być tu mowy o szczególnej jakiejś manii. Nie zwracałem uwagi na to, że mnie przedtem nazywał „ty” i że cała jego perora była dla mnie obelgą. Zapytałem tak uprzejmie jak dotychczas:

— Czy pańskie zaproszenie odnosi się także do moich towarzyszy?

— Na to pytanie nie mogę jeszcze odpowiedzieć, ponieważ muszę się przedtem zapytać don Timotea.

— Ja myślę, że to jest zbyteczne, gdyż, według pańskich słów, do pana jedynie należy się zwracać w tej sprawie.

— Tak, gdy chodzi o odprawę. Skoro jednak kazałem panu zostać, a pan domaga się abyśmy zatrzymali tu także czerwonych muszę rozmówić się naprzód z hacjenderem. Niech pan zaczeka! Zaraz przyniosę panu odpowiedź.

Podczas rozmowy zawróciliśmy ku domowi; teraz staliśmy przed drzwiami. Majordomus chciał wejść do środka, a mnie zostawić na dziedzińcu. Tego było przecież za wiele! Potrząsnąłem głową i odparłem:

— Nie należę do ludzi, którym się każe wyczekiwać przed drzwiami. Idę z panem do środka, a nawet pozwoli mi pan wejść pierwszemu!

Otwarłem drzwi. On postąpił za mną nie mówiąc ani słowa; gdy obejrzałem się, wyczytałem w jego obliczu wyraz gniewu i zakłopotania.

Znaleźliśmy się w niskiej, lecz szerokiej sieni. Po obydwóch jej stronach zobaczyłem drzwi, zbite z białych, oheblowanych desek, bez śladu malowidła — proste drzwi stajenne, według naszych pojęć. Majordomus wskazał jedno z nich i zniknął za nimi; po chwili wrócił i dał mi do zrozumienia poruszeniem ręki, że mogę wejść.

Pokój, do którego drzwi prowadziły, wykazywał w umeblowaniu taką samą niewybredność jak sień. Posiadał dwa bardzo małe okna; tkwiły w nich szyby zabrudzone i prawie zupełnie zaprószone, jedyne zresztą jakie znajdowały się w tym domu. Przy jednej ze ścian stał stół powleczoney pokostem i trzy krzesła, grubo ciosane. W kącie wisiał hamak. Ściany były bielone wapnem; trzy z nich zupełnie puste; na czwartej wisiała broń różnego gatunku.

O ile urządzenie pokoju było więcej niż skromne, o tyle strój człowieka, który podniósł się przy moim wejściu i obserwował mnie ciemnymi oczami na poły ze zdziwieniem, na poły z ciekawością, po prostu mnie olśnił. Hacjendero był ubrany tak wykwintnie, że wystarczyłoby mu tylko wsiąść na konia, ażeby móc ukazać się w sławnych alejach spacerowych stolicy Meksyku.

O ile urządzenie pokoju było więcej niż skromne, o tyle strój człowieka, który podniósł się przy moim wejściu i obserwował mnie ciemnymi oczami na poły ze zdziwieniem, na poły z ciekawością, po prostu mnie olśnił. Hacjendero był ubrany tak wykwintnie, że wystarczyłoby mu tylko wsiąść na konia, ażeby móc pokazać się w sławnych alejach spacerowych stolicy Meksyku.

Odzienie jego, skrojone z ciemnego aksamitu, zdobiły na wszystkich szwach złote taśmy i frędzle. Spoza pasa, okrytego całkowicie szerokimi srebrnymi pierścieniami, wyglądały rękojeści noża i pistoletów — roboty drogiej i kunsztownej. Szeroki kapelusz, leżący przy nim na stole, był spleciony z najdelikatniejszych liści palmowych, a wreszcie ostrogi na stopach hacjendera posiadały kółka zrobione ze złotych dwudziestodolarówek.

Oczywiście, że wobec tak imponującego zjawiska musiałem wyglądać jak wagabunda. Dlatego nie zdziwiłem się wcale, gdy hacjendero, pogładziwszy białą brodę, gładką pielęgnowaną ręką i ściągnąwszy brwi, odezwał się, jakby nie do mnie, lecz do siebie w tonie wielkiego zdziwienia:

— Zameldowano mi tenedora de libros a oto... któż to wchodzi? Człowiek, który...

— Który potrafi godnie piastować to stanowisko, don Timoteo — dokończyłem.

Jego napuchnięty „sennor Adolfo” mógł popisywać się grubiaństwem, nie obrażając mnie; czy miałem jednak pozwolić ażeby właściciel hacjendy był dla mnie również niegrzeczny, dlatego wypowiedziałem te słowa dość ostro i z naciskiem. Don Timoteo odrzucił głowę wstecz z udanym przestachem i uśmiechnął się kpiąco:

— Ach, jest się obraźliwym. Kim i czym jest się więc właściwie?

— Tytułował mnie zaimkiem nieosobowym „się”. Czy miałem się z tego powodu bocyć? Hacjendero nie wyglądał mi na nadętego bogacza, raczej na jowialnego, dobrze usytuowanego caballera, który ma ochotę ubawić się nieco rozmową ze zwykłym, niżej od niego położonym indywiduum.

— Jest się wiele, o czym pan nie ma nawet pojęcia, don Timoteo — odpowiedziałem z takim samym uśmiechem, jaki on mi zademonstrował, — i można stać się dla pana tak niezbędną i ważną osobistością, że ma pan najsłuszniejsze powody okazać radość, że się do pana przybyło!

— Cielo! — zaśmiał się głośno. — Przychodzi się może, ażeby mnie zawiadomić, że zostałem obrany panującym całego Meksyku?

Wręcz przeciwnie! Przychodzę panu powiedzieć, że najprawdopodobniej w krótkim czasie nie będzie pan mógł już nawet w swojej małej hacjendzie rozkazywać.

— Pięknie! — śmiał się hacjendero, siadając i wskazując mi drugie krzesło. — Proszę siadać! Z jakiego powodu chce mnie strącić z tronu garstka moich poddanych?

— O tym później! Niech pan przeczyta teraz ten papier.

Podąłem mu legitymację, którą kazałem sobie wystawić meksykańskiemu konsulowi w San Francisco. Skoro ją przeczytał i oddał mi, zniknął humorystyczny obraz z jego oblicza

— Mam oczywiście uznać, że jest pan prawym posiadaczem tej legitymacji? — zapytał.

— Naturalnie! Niech pan porówna moją osobę z rysopisem!

— Zauważyłem już, że się zgadza, sennor! Ale co pana do mnie sprowadza! Dlaczego kazał się pan zameldować jako mój buchalter?

— Ponieważ Melton zapewnił mi to miejsce.

— O tym nic nie wiem! Przecież ja nie potrzebuję żadnego buchaltera. Te kilka kropel atramentu, które się tutaj zużywa wypisuję sam, własną rękę i własnym piórem.

— Ja też tak sądziłem!

— Mimo to przyszedł pan do mnie?

— Mimo to, a mianowicie z pewnego, bardzo ważnego powodu. Przede wszystkim muszę pana prosić, ażeby pan zachował w najgłębszej tajemnicy wszystko co teraz panu powiem.

— Sennor, to brzmi całkiem tak jakby mi groziło jakieś niebezpieczeństwo!

— Jestem rzeczywiście przekonany, że się zanoszą na coś podobnego!

— Więc mów pan, proszę, prędko!

— Naprzód pańskie słowo, że o tym, co panu powiem, nie dowie się nikt, przynajmniej przez czas najbliższy!

— Ręczę moim słowem caballera! Niech pan mówi!

— Pan polecił Meltonowi, ażeby sprowadził robotników z Europy?

— Tak.

— Kto to zaproponował? Pan sam, czy on?

— On! Zwrócił uwagę na wielkie korzyści jakie przyniosłaby mi praca wychodźców polskich, a ponieważ równocześnie obiecał, że sam się ich sprowadzeniem zajmie, więc udzieliłem mu na to mojego pełnomocnictwa.

— Czy znałeś go pan tak dobrze, że mogłeś to uczynić?

— Tak. Skąd to pytanie?

— Ponieważ chciałbym wiedzieć, czy go sennor uważa za człowieka uczciwego?

— Naturalnie, że tak! Przecież to człowiek honoru, a wyświadczył mi już znaczne usługi!

— Więc zna go pan już dłuższy czas?

— Od wielu lat! Poleciła mi go osoba, której każde słowo ma dla mnie wielką wagę; od tej chwili aż do dnia dzisiejszego posiadał Melton moje bezgraniczne zaufanie. Pan, jak się zdaje sądzi o nim inaczej?

— Zupełnie inaczej!

— Prawdopodobnie obraził pana nieopatrznie i ma pan do niego uprzedzenie?

— Nie! Przeciwnie, okazywał mi uprzejmość, niemal przyjaźń. Pozwól pan, że opowiem wszystko od początku!

Usadowił się wygodnie na swoim krześle z wyrazem wielkiego zaciekawienia, ja zaś opowiedziałem mu, co przeżyłem w Guamayas i w drodze do hacjendy, jakie poczyniłem spostrzeżenia i co z tego wszystkiemu wynioskowałem. Hacjendero przysłuchiwał się nie drgnąwszy nawet powieką i nie wypowiedziawszy ani jednego słowa. Natomiast gdy skończyłem zaśmiał się ironicznie i zapytał, patrząc niedowierzająco spode łba:

— Pan mi opowiada prawdziwe fakty?

— Ani słowa ponad to!

— Z legitymacji, którą mi sennor pokazał dowiedziałem się, że pan pisał czy też miał pisać sprawozdania do gazety. Czy pisał pan już kiedyś taką nowelę?

— Tak!

Na to zerwał się z krzesła i zawołał śmiejąc się głośno:

— Zaraz to sobie myślałem! Nie może być przecież inaczej! Taki powieściopisarz widzi wszędzie rzeczy, które istnieją tylko w jego fantazji! Melton, najlepszy, najszacowniejszy, ba, nawet najpobożniejszy caballero, jakiego znam, — Melton ma być łotrem! To rzeczywiście może twierdzić tylko człowiek, który żyje w niedosiętych dla zwykłych śmiertelników zaświatach! Sennor, pan mnie bawi! Zgotował mi pan wspaniałą rozrywkę.

Chodził po pokoju tam i z powrotem, zanosząc się od śmiechu, zachekałem, aż się nieco uspokoi i powiedziałem obojętnie:

— Nie mam nic przeciwko temu, że pana moje opowiadanie tak bawi i tylko życzę sennorowi, żeby chwilowa wesołość nie przyniosła mu później gorzkiego rozczarowania.

— Nie ma obawy; nie troszcz się pan o mnie, sennor! Pan widzi niebezpieczne słonie tam, gdzie nie ma nawet nieszkodliwej muchy!

— Jednak ów Weller, strażnik okrętowy?

— Nazywa się Weller i jest strażnikiem okrętowym, — nic więcej!

— A jego rozmowa z mormonem?

— Źle pan słyszał. Pańska fantazja nieziemskie ma uszy.

— A jego ojciec, z którym Melton rozmawiał w zaroślach?

— Istnieje również w pańskiej wyobraźni. Przecież sennor tylko przypuszcza, że to jest starszy Weller!

— A obecność wodza indiańskiego?

— Okaże się zupełnie zwykłym przypadkiem!

— Na koniec moje spotkanie z wodzem Indian Yuma i białym, którego karabin był oznaczony literami R. i W.?

— Nic a nic mnie nie obchodzi. Tysiące nazwisk zaczyna się na literę W. Dlaczego ma to być właśnie Weller? Po co w ogóle mieszał się pan do walki? Cała ta sprawa nie tyczyła pana? Niech pan dziękuje Bogu, że wyszedł pan z tego bez szwanku! Escritor nie jest człowiekiem zdolnym do walki z Indianami. To należy zostawić nam, ludziom mieszkającym w dzikiej okolicy, znającym czerwonych i umiejących obchodzić się z bronią!

Przypuszczałem że imię Old Shatterhanda nie było znane hacjendero, dlatego nie wymieniłem go podczas opowiadania. Teraz, skoro zostałem po prostu wyśmiany nie przyszło mi do głowy spróbować jeszcze tego środka, gdyż byłem pewien, że nawet wtedy by nie uwierzył. Pruchillo był cieleśnie okazałym, lecz duchowo bardzo przeciętnym człowiekiem. Moje zupełnie logiczne wnioski wydały mu się grą imaginacji. Widziałem, że mi się nie uda zachwiać jego zaufania do Meltona i że dopiero fakty, które odczuje na własnej skórze, przekonają go o słuszności moich przypuszczeń; wobec tego zrezygnowałem z wszelkich dalszych przekładań i ponowiłem tylko moją prośbę o zachowanie tajemnicy, na co hacjendero odpowiedział, śmiejąc się znowu:

— Co do tego, to może pan być spokojny, gdyż nie mam ochoty narażać się na wyśmianie! Sennor Melton musiałby mnie uważać za szalonego, gdybym mu zaczął opowiadać takie brednie. Będę więc milczał! Tylko o jednym muszę z panem omówić. Jak się przedstawia sprawa z pańskim stanowiskiem buchaltera? Czy Melton przyrzekł je panu rzeczywiście?

— Tak!

— Niemożliwe, nie do wiary po prostu! On wie przecież równie dobrze jak ja, że nie potrzeba mi żadnego buchaltera.

— Wobec tego miał tylko zamiar tutaj mnie zwabić!

— Po co? Co miałby pan tu robić? — Czyja wiem?

— A więc masz pan! Pan twierdzi tylko, ale nie wie nic pewnego. Przypuszczam, że ten buchalter istnieje także tylko w pańskiej wyobraźni!

— Więc pan uważa mnie za obłąkańca, don Timoteo?

— No, za obłąkańca pana nie uważam, ale to pewne, że któreś kółko w mechanizmie pańskiej głowy obraca się prędzej niż powinno; radzę panu dać się zbadać w jakimś zakładzie leczniczym; może jest jeszcze czas uratować pozostałe kółka!

— Dziękuję, don Timoteo! Rzecz naturalna, że jedna głowa pracuje prędzej niż druga i wobec tego może zająć sytuacja, że posiadacz drugiej głowy zarzuca posiadaczowi pierwszej — nadmiar fantazji, a pierwszy drugiemu zbyt dużą powolność myślenia. Ze stanowiska buchaltera rezygnuję; w ogóle od samego początku nic miałem na nie reflektować!

— To mnie cieszy sennor, gdyż widzę z tego, co pan mówi o powolności myślenia, że nie byłby pan dla mnie odpowiednim pracownikiem. Kiedy pan odjeżdża?

— Z pańskim pozwoleniem jutro rano.

— O, pozwolenie daję panu już dzisiaj, natychmiast!

— To znaczy, że mnie pan wyrzuca za bramę?

— Nie tylko za bramę, ale poza granice moich włości!

— Don Timoteo, ta surowość sprzeciwia się obyczajom kraju!

— Przykro mi bardzo! Pan sam temu winien! Ta pozorna surowość nie jest niczym innym tylko ostrożnością, która może panu udowodnić, że nie jestem tak powolny w myśleniu jak pan przypuszcza. Pan mnie ostrzegł przed napadem Indian, który istniał tylko w pańskiej wyobraźni; stałby się jednak rzeczywistością wtedy, gdybym zatrzymał u siebie sennora i pańskich towarzyszy. Pan zastrzelił syna wodza Yuma, więc wódz z pewnością będzie pana ścigał. Jeśli zatrzymam pana u siebie, to będę miał w najkrótszym czasie cały szczerp Yuma pod murami hacjendy! Widzi pan zatem, że muszę pana odprawić koniecznie!

— Jeśli pan przez to chce powiedzieć, że działa według swoich przypuszczeń, to rezygnuję i odchodzę.

— Do kogo należy koń na którym pan przyjechał?

— Melton dał mi go w Lobos do dyspozycji.

— Więc należy do mnie i musi go pan tutaj zostawić!

— Ponieważ sennor mówił poprzednio, że pańscy towarzysze tylko dlatego przybyli, że spodziewali się dostać konie, więc muszę panu oznajmić, że nie mogę im koni ofiarować. Dałbym im kilka zwierząt nawet bez pieniędzy bo zapewne ich nie mają; Mimbrenjowie są uczciwi i zwróciliby mi je wkrótce, albo zaproponowaliby zapłatę wymienną, ale w obecnych warunkach nie mogę ich wspierać, gdyż naraziłbym się Indianom Yuma.

— Pańska przezorność jest rzeczywiście godna pochwały, don Timoteo! Muszę jeszcze tylko zapytać którędy należy iść, aby się wydostać jak najprędzej poza granicę pańskiej posiadłości.

— Co się tego tyczy to dam panu przewodnika; inaczej mogłaby pana łatwo zmylić bujna imaginacja. Chyba widzi pan jak się o pana troszczę!

— Może będę miał kiedyś sposobność wziąć pana w opiekę. Uważam się za człowieka, który umie okazać wdzięczność!

— W tym wypadku jest to zbyt wiele. Rezygnuję z pańskiej wdzięczności, gdyż rzeczywiście nie mam pojęcia w jaki sposób taki biedak, który nie posiada nawet własnego konia, mógłby zwrócić na siebie uwagę tak bogatego hacjendera jakim ja jestem!

Pruchillo klasnął w dłonie. Majordomus ukazał się tak szybko, że musiał chyba stać za drzwiami i podsłuchiwać naszą rozmowę. Pruchillo polecił mu, ażeby kazał odprowadzić nas poza granicę posiadłości, zatrzymując jednak mojego konia. Skoro opuściliśmy pokój i znaleźliśmy się znowu na podwórzu zaśmiał się sennor Adolfo ordynarnie:

Więc nic z tenedora de libros?! Jesteś tym, za co cię uważałem od Początku, mianowicie waga...

— A tyś najokazalszym osłem jakiego kiedykolwiek widziałem; — przerwałem mu — za swoje przyjacielskie *hablarle de tu*, traktowanie per „ty” musisz otrzymać awans. Masz go tutaj!

Wymierzyłem mu potężny policzek, naprzód z lewej strony, tak, że zatoczył się na prawo, a potem z prawej, dwakroć silniejszy, tak, że runął na ziemię. Może nie byłbym tego uczynił, gdyby hacjendero nie stanął w otwartym oknie, ażeby widzieć mój odwrót; słyszał z pewnością obelżywe słowa majordomusa; toteż chciałem, żeby moja odpowiedź uczyniła na nim odpowiednie wrażenie. Sennor Adolfo zerwał się szybko, wyciągnął nóż, który w tych okolicach każdy nosi przy sobie i rzucił się na mnie rycząc:

— Drabie! Obdartusie! Na coś ty się ważył! Musisz za to odpokutować.

Odparowałem z łatwością jego pchnięcie wytrącając mu nóż z ręki; następnie chwyciłem go za biodra, podniosłem i wrzuciłem do strumyka; chociaż woda przykryła go, potok nie był tak głęboki, aby majordomus mógł się utopić. Ukazał się prędko znowu i wyszedł na brzeg kaszłąc i prychnając. Byłby mnie może zaczepiał raz jeszcze, gdyby nie przeszkodziło temu pokazanie się osoby, której się w tej chwili bynajmniej nie spodziewałem.

Gdy rzucałem majordomusa do strumienia musiałem obrócić się twarzą ku wejściu. Brama stała jeszcze otworem a przez nią wjeżdżał... Melton! Widząc co się stało popędził konia, zeskoczył przy nas na ziemię i zawołał:

— Co się tu dzieje? Bijatyka jak widzę? To z pewnością nieporozumienie! Spokój, rozważi, na Boga!

Ostatnie wyzwanie dotyczyło majordomusa. Potem zwrócił się do mnie:

— Szukaliśmy sennora na próżno. Jak pan tu się dostał?

— W najprostszym sposobie! Jak pan wie, koń mnie poniósł, uniósł mnie i przybiegł aż tutaj!

— To dziwne! Będzie mi sennor musiał później opowiedzieć o tej osobliwej jeździe!

— Na to nie ma czasu. Muszę odjeżdżać; wypędzono mnie!

— A pan z wdzięczności wrzuca ludzi do wody?

— Oczywiście! Jest to moja własność, od której nie mogę się absolutnie uwolnić!

— Muszę wiedzieć co tu zaszło; wtedy wszystko się wyjaśni! Niech pan zaczeka aż się rozmówię z hacjenderem. Niech pan jeszcze zostanie! Powrócę w tej chwili!

Wszedł do domu. Mokry majordomus pokulał za nim, nie rzuciwszy na mnie ani jednego spojrzenia. Jak miałem postąpić, zostać czy też pójść? Byłem stanowczo zdecydowany opuścić hacjendę, a równocześnie ciekaw, w jaki sposób mormon będzie usiłował mnie zatrzymać. Nie wyruszyłem więc natychmiast lecz podszedłem do konia, ażeby odwiązać od siodła paczkę z nowym ubraniem. Następnie zdjąłem strzelby, które wisiały na łęku siodła, i objaśniłem moich Indian:

— Moi młodzi bracia i moja siostra widzieli, że mnie przyjęto niezyczliwie. Hacjender nie chce nam dać przytułku, ponieważ boi się zemsty wodza Yuma. Pójdziemy zatem i będziemy tej nocy spać w lesie!

— Kim jest ów jeździec, który teraz przybył i rozmawiał z Old Shatterhandem? — pytał starszy z braci.

— Przyjaciel *Vete-Ya*, człowiek zły, przed którym musimy się mieć na baczności — odpowiedziałem.

Podczas rozmowy obładowaliśmy konia Indianki naszymi pakunkami, zostaliśmy więc skazani wszyscy czworo na pieszą wędrówkę. W tej chwili właśnie wyszedł z domu mormon i zbliżywszy się spieszenie do nas oświadczył:

— Sennor, sprawa jest załatwiona, zostanie pan na hacjendzie. Jak to?

— Don Timoteo, który dotychczas rzeczywiście nie potrzebował buchaltera nie pomyślał o tym, że po przybyciu takiej ilości robotników nie da sobie rady bez odpowiedniej pomocy. Będiesz sennor przyjęty i wolno panu tutaj zostać!

— Tak? Więc wolno mi, wolno?! To wyrażenie jest fałszywe. Nie idzie o to czy mi wolno, tylko o to czy ja chcę!

— Niech i tak będzie! Ale pan z pewnością zechce!

Nie, wręcz przeciwnie! Widzi pan, że jesteśmy przygotowani do drogi!

— Nie rób sennor głupstwa! — ostrzegął gorączkowo. — Pan wiesz w jakim beznadziejnym położeniu się znajdujesz. Tutaj czeka pana przyszłość, którą można nazwać wspania...

— Proszę tylko bez frazesów! — przerwałem. — Wiem, co mam o nich myśleć!

— Przypuszczam, żeś sennor przekonany o moich uczciwych zamiarach względem pana! Jeżeli zostaniesz, to będą mogli zostać również pańscy towarzysze, na których musisz przecież także mieć pan wzgląd.

— Więc pan myśli, że przyjmę posadę na lata całe po to, ażeby dać im przytułek na jedną, jedyną noc? To już chyba zbytek naiwności!

— Sennor, mówisz w gniewie, a gniew oślepia. Niech pan pomyśli o swoich współziomkach! Wyjechałem naprzód, ażeby zawiadomić hacjendera o ich Przybyciu. Oni wszyscy polubili pana bardzo i niepokoją się o los pański. Sennor stanie się tutaj ośrodkiem, koło którego będą gromadzić się wychodźcy! Niech pan sobie przedstawi rozczarowanie tych poczciwców, skoro się dowiedzą, że pan nie przyjął posady i odjechał nie pożegnawszy się z nimi!

W ten sposób wyszukiwał najrozmaitsze powody, jakie tylko wydały mu się odpowiednie do zatrzymania mnie, ale na próżno. Gdy się wreszcie przekonał, że jestem niewzruszony, uderzył w ton gniewu:

— Dobrze więc; jeśli pan chce koniecznie zdeptać nogami swoją dolę, to nie mam nic przeciwko temu; ale w każdym razie jest to po prostu bezgraniczna niewdzięczność z pańskiej strony względem mnie! Zająłem się sennorem i przywiozłem go za darmo aż tutaj, a pan teraz, gdy chcę widzieć owoce mojej dobroci, odchodzi sobie, jak gdybyś mi nic nie zawdzięczał!

Zapytałem go zimno i obojętnie:

— Czy sennor chce mnie zmusić do przyjęcia tego tak zwanego szczęścia?

— Nie! Mam tego dość. Możesz pan się wynosić do stu diabłów! Skoro jednak pan nie pozostajesz to będę mu towarzyszył kawałek drogi.

— Dlaczego?

— Hacjendero oświadczył, że jeśli pan nie zostaje to on nie ścierpi pana na swoim gruncie. Chciał przecież rozkazać parobkom, ażeby sennora wyprowadzili za granicę jego posiadłości. Ponieważ jednak już raz się panem zająłem, więc chcę ustrzec pana od tej hańby i sam będę sennorowi towarzyszył. Mam nadzieję, że przynajmniej przeciw temu nic pan nie masz.

— Zupełnie nic, przeciwnie, jestem uradowany zaszczytem, jaki mi sennor sprawisz! Zna pan więc okolicę tak dokładnie? Nawet granice obszaru, należącego do hacjendy?

— Znajdę granicę w ciemności!

— Najprawdopodobniej będzie też ciemno zanim ją osiągniemy. Zmierzcha już gwałtownie. Nie zwlekajmy więc z wyruszeniem!

Melton podszedł do swego konia stojącego jeszcze przy moście i wsiadł nań nie przeczuwając, że go przejrzałem. Nie bez celu pytałem go czy zna granicę. Skoro tak to był na

pewno dobrze obznajomiony z całą okolicą i nawet omackiem mógł znaleźć miejsce sprzyjające jego zamiarom.

Jakież to były zamiary? Teraz przypuszczenia moje nabrały pewności. Mormon wiedział kim byłem i czuł przede mną obawę. Był przekonany, że jego plan względem wychodźców mogłem jeżeli nie zniweczyć, to przynajmniej znacznie utrudnić. Wziął mnie ze sobą, ażeby mieć na oku i przy odpowiedniej sposobności postarać się, ażeby „zniknął”! Ponieważ nie chciałem zostać w hacjendzie musiał działać spiesznie. A sposobność do działania miał jedynie podczas drogi z hacjendy do granicy posiadłości Pruchilla; teraz miało się rozstrzygnąć.

Życie moje zawisło na włosku i wyruszyłem z przekonaniem, że śmierć będzie szła krok w krok obok mnie.

Czy wobec tego nie było z mojej strony szaleństwem brać go ze sobą? Przeciwnie. Rozum doradzał mi, abym zgodził się na jego towarzystwo.

Gdybym go odprawił poszedłby za nami potajemnie, aby mi posłać kulę i pierwszej lepszej kryjówki, której położenia nie znałbym wcale. Skoro jednak znajdował się przy nas, mogłem go obserwować, przewidzieć chwilę napadu, zniweczyć jego plany.

Opuściliśmy hacjendę i Melton poprowadził nas wzdłuż strumienia, w kierunku przeciwnym jego biegunowi. Po obu stronach rozpościerały się otwarte łąki, tu i ówdzie porosłe krzakami lub drzewinami. Nie był to odpowiedni teren do napadu. Ponieważ mormon nie mógł dokonać zbrodni przy świadkach więc przypuszczałem, że dopóki był z nami nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. To, co miało się później stać, przedstawiałem sobie w sposób następujący: Melton uda, że odjeżdża z powrotem; następnie zawróci, zatoczy łuk i wyprzedzi nas aż do miejsca nadającego się na zasadzkę; tam się ukryje, zaczeka na nas i pośle mi kulę. Kto będzie mógł potem świadczyć, że on jest mordercą? Najprawdopodobniej czyhał na mnie wódz Yuma, ażeby pomścić śmierć swego syna.

Melton jechał tak wolno, że mogłem iść obok niego trzymając rękę na grzbiecie konia. Znajdowałem się nieco poza nim i mogłem go bacznie obserwować. Nie mówiliśmy ani słowa. Indianie szli za nami, prowadząc objuczzonego konia.

Ściemniało się bardzo prędko i niebawem zapadła noc. Minęliśmy już dawno otwarte łąki, a strumień wił się pomiędzy zaroślami w miarę jak szliśmy, coraz gęściej sterczały drzewa. A więc zbliżaliśmy się znowu do lasu; wobec tego przewidywałem, że już niedługo wypadnie nam czekać na rozstrzygającą chwilę.

Jak przypuszczałem tak się stało. Po krótkim czasie ujrzeliśmy róg lasu, strumień zwracał się na prawo: skraj lasu biegł, jak się zdawało w prostej linii; wzdłuż niego ciągnął się niezbyt wąski pas otwartej łąki.

— Tutaj! — pomyślałem sobie. — Każe nam iść wzdłuż lasu, sam się wróci, po chwili zsiądzie, przywiąże konia do najbliższego drzewa i wyprzedziwszy nas, zaczai się brzegu gęstego lasu.

Zaledwie pomyślałem zatrzymał mormon konia wskazał ręką przed siebie i powiedział:

— Obszar należący do hacjendy sięga aż do tego lasu; zatem przeprowadziłem już pana za granicę posiadłości hacjendera. Chociaż właściwie nie powinienem troszczyć się więcej o pana, to jeszcze chcę sennorowi wskazać wyśmienite miejsce na obóz; skoro się raz kimś zajmę, chciałbym go wspierać dopóki się nie rozstaniemy. — Otóż jeśli pan pójdzie skrajem lasu natknie się pan po upływie kwadransa znowu na strumyk, który płynie tutaj Półkolem. Tam będzie pan miał czystą wodę do picia, wysoką, miękką trawę do snu i ścianę skalną, która daje osłonę przed chłodnym wiatrem nocnym. Czy pan posłucha mojej rady czy nie, to już mi zupełnie obojętne!

— Dziękuję panu i posłucham, sennor! — odpowiedziałem.

— Więc radzę panu jeszcze iść pomału. Wylewy wiosenne poryły tutaj rowy, w które łatwo wpaść można. Ja wracam! Pogardził pan szczęściem i jestem przekonany, że ono opuściło pana za zawsze!

— Niepotrzebne mi pańskie względy! Dowie się sennor wkrótce, że lepiej liczyć tylko na siebie samego!

— Nie zależy mi nic na tym, żeby kiedykolwiek usłyszeć o panu! Zawrócił konia i ruszył z powrotem. Skoro poszliśmy dalej, objaśniłem po cichu moich towarzyszy

— Ten człowiek wejdzie teraz w las, ażeby nas wyprzedzić. Chce mnie zastrzelić. Ja jednak udowodnię mu, że z Old Shatterhandem nie można żartować! Niech moi bracia nie idą brzegiem lasu, lecz niech się trzymają lewej strony tak, aby nie mógł rozpoznać, że mnie nie ma z wami. Weźcie także moje strzelby, żeby mi nie przeszkadzały. Jeśli was zaraz nie zawołam idźcie na miejsce, które nam Melton opisał i czekajcie tam na mnie!

Słowa moje były dla nich oczywiście wielką niespodzianką, jednakże przyjęli je w milczeniu i wzięwszy karabiny poszli powoli we wskazanym przeze mnie kierunku, podczas gdy ja, trzymając się w pobliżu drzew spieszyłem jak mogłem, ażeby wyprzedzić Meltona.

Szedłem prędko, gdyż ani mi się śniło wierzyć w przestrożę mormona. Bajkę o rowach zmyślił po to, abyśmy posuwali się powoli i ostrożnie, dali mu czas do osiągnięcia przed nami miejsca, obranego na zasadzkę.

Tymczasem zajaśniały na niebie gwiazdy; mogłem teraz widzieć na odległość trzydziestu kroków. Po dziesięciu minutach drogi zauważyłem ostry występ lasu, jakby wąski półwysep wcinający się w łąkę; gęsto ulistnione drzewa i krzaki stanowiły świetną kryjówkę. Jeżeli w ogóle nie pomyliłem się co do zamiarów Meltona to było pewne, że zechce je wykonać w tym właśnie miejscu. Tu można się było ukryć, a my musieliśmy przechodzić tak blisko zagajnika, że kula mormona nie mogłaby chybić. Poszukałem zarośla i z łatwością znalazłem dogodną kryjówkę, z której można było śledzić otoczenie. Stanowisko to musiał wybrać Melton jeśli nie chciał chybić. Wpełznąłem więc pod krzak pobliski; zakrywał mnie całkowicie, a był tak giętki i elastyczny, że nie obawiałem się zdradzieckiego szelestu, gdybym został zmuszony do nieprzewidzianych poruszeń.

Dlaczego właściwie zacząłem się tutaj, ażeby wroga przychwycić? Nie było to przecież bezpieczne przedsięwzięcie! Mógłbym unicestwić zamach, nie udając się w kierunku, wskazanym mi przez mormona. Melton czekałby wtenczas nadaremnie. Gdy dzisiaj zadaję sobie to pytanie, muszę otwarcie przyznać, że tylko próżność zniewoliła mnie do tak niebezpiecznego kroku; chciałem pokazać Meltonowi, że jestem roztropniejszy niż przypuszczał. Okoliczność, że narażałem przy tym życie rozważyłem dopiero po fakcie.

Skoro się usadowiłem w krzakach wygodnie, przyłożyłem ucho do ziemi i nasłuchiwałem. Przyjdzie czy nie? Czułem jak wzrasta we mnie napięcie oczekiwania. Naraz postyszałem kroki, szelest gałęzi, które nadchodzący potraçał, potykał się o wystające korzenie, zahaczał o sękate pnie, nie mogąc ich rozróżnić dokładnie w ciemności nocy. Zbliżał się szybko. Już słyszałem jego głośny oddech; widocznie pośpiech rozdał mu płuca. Teraz skreślił ku mnie, przecisnął się szybko przez krzaki i stanąwszy przed ostatnim drzewem wystawił głowę nasłuchując.

— Śmierć i diabli! — zaklął półgłosem z angielska. — Oddycham tak głośno, że nie mogę słysząc nic innego. Chyba ten łotr nie przeszedł jeszcze? Niemożliwe! Biegłem jak szalony, a oni idą powoli, ażeby nie wpaść w rowy. Hahahahaha! Ale cicho; zdaje mi się, że nadchodzą.

Przyklęknął na prawe kolano, na lewym oparł łokieć i przyłożył strzelbę do oka. Widziałem go pewnie i wyraźnie, gdyż klęczał przed wyrwą w gałęziach przez którą się wkradło światło gwiazd. Przypuszczałem, że się usadowi bardziej na lewo, musiałem przeto podpełzać nieco ku niemu. Nie przyszło mi to z trudem, gdyż całą jego uwagę do tego stopnia pochłonał skraj lasu, że nie mógł słyszeć lekkiego szmeru jaki wywołałem. Teraz postyszałem i ja, że Indianie nadchodzą.

— Do kata! — szepnął mormon. — Te psy trzymają się dalej niż myślałem. Trzeba dobrze celować.

Nie dziwiłem się wcale, że Melton mówił do siebie. Wiedziałem z własnego doświadczenia, że im bardziej człowiek jest podniecony, tym chętniej na głos wypowiada swoje myśli. Mormon składał się kilkakrotnie dla próby, gdy poczuł się już pewnym, wymierzył ostatecznie. Teraz musiałem działać, gdyż mógł wziąć któregoś z chłopców za mnie i zastrzelić. Wyprostowałem się za nim do połowy i chwyciwszy go za szyję przewróciłem wstecz. Melton wydał okrzyk przestachu i wypuścił z rąk strzelbę. Ponieważ leżał na wznak, głową zwróconą ku mnie, więc przycisnąłem mu kolanami piersi i równocześnie chwyciłem za ręce, którymi rzucał kurczowo na wszystkie strony; jedno naciśnięcie, trzask i okrzyk bólu, jeszcze jedno, trzask i wycie jeszcze mocniejsze i... Melton leżał przede mną zupełnie bezbronny, gdyż w czasie tej krótkiej walki złamałem mu obydwie ręce w przegubach. Mógł teraz tylko nogami kopać. Podnieść się nie potrafił, gdyż byłem za ciężki, ażeby mnie zrzucić. Poruszał wprawdzie ramionami, dłonie jednak wisały mu bezwładnie. Tym śmieiej pracował głosem; krzyczał jakby wbijany na pal; czy z wściekłości, czy z trwogi, czy z bólu, tego może sam nie wiedział.

Trzymając go, widziałem, że Indianie, pomimo jego wycia, szli dalej spokojnie przestrzegając mego zlecenia i chcieli ominąć nas nie zatrzymując się wcale. Dlatego zawołałem do nich:

— Niech moi młodzi bracia przyjdą tutaj!

Zbliżyli się spiesznie i na moje wezwanie związali Meltonowi ręce i nogi. Potem wynieśliśmy go na łąkę gdzie mogliśmy widzieć dokładnie jego oblicze. On tymczasem przestał krzyzczeć i leżał spokojnie.

— Więc jakże, master Melton, — odezwałem się po angielsku, gdyż był to jego język ojczysty, — czy rzeczywiście zdeptałem moje szczęście i straciłem je dlatego na zawsze?

— Przeklęty łotrze! — zasyczał przez zęby.

— Czy nie jest tak właśnie jak wam powiedziałem? — ciągnąłem dalej. — Czy nie przekonaliście się w krótkim czasie, że mogę liczyć sam na siebie?! Świst kuli, którą chcieliście mi posłać, słyszałem już przed godziną. Wyobrażacie sobie, że wywiedziecie mnie w pole, a jesteście, pomimo waszego domniemanego sprytu, tak niezręczni, że zamiary wasze można odgadnąć z niezwykłą łatwością. Już w Guaymas przejrzałem was.

— Ja was także! — zgrzytnął. — Jesteście Old Shatterhand!

— Całkiem słusznie! Wiedziałem, że zostałem poznany, a jednak nie dałem tego zauważyć po sobie. Wy natomiast zachowywaliście się po prostu jak młodziak. Jeśli chcecie wystrychnąć Old Shatterhanda na dudka, to musicie sprytniej zabrać się do tego. Co zamierzacie począć z emigrantami?

— Nic!

— Naturalnie, żenię powiecie tego! Ja też nie przypuszczałem, że otrzymam żadaną odpowiedź; chciałem wam tylko zwrócić uwagę, że tych ludzi wzięłem pod swoją opiekę. Nie mam zamiaru opowiadać wam o tym co wiem i co myślę, ostrzegam was tylko, że każdy wasz postępek nieuczciwy względem nich przeciwko wam się obróci; za przykład może wam posłużyć ta właśnie chwila. Godziliście na moje życie, a teraz wasz los w moich spoczywa rękach. Niech to będzie dla was przestroga. Następnym razem nie będę was oszczędzał. Jak przeczułem waszą kulę, tak i teraz przeczuwam wiele innych rzeczy; wy jednak nie sięgacie myślą poza jutrzejszy poranek, gdyż zło jest zawsze krótkowzroczne.

Odwrociłem się od niego i skinąłem na chłopców żeby poszli za mną. Nie chciałem mianowicie, żeby jeniec słyszał, co im miałem teraz powiedzieć:

— Niech moi czerwoni bracia posłuchają, jest nas czworo, a mamy tylko jednego konia; musimy zdobyć jeszcze trzy. Gdy rozmawiałem o tym z hacjenderem, odmówił mojej prośbie gdyż bał się wojowników Yuma. Muszę więc zabrać zwierzęta potajemnie i w tym celu wrócę teraz do hacjendy; niech moi bracia pilnują w tym czasie jeńca. Jestem wprawdzie o niego zupełnie spokojny, nie przypuszczam również, żeby tu ktoś przyszedł o tak później porze, a

jednak człowiek ostrożny powinien być na wszelką niespodziankę przygotowany. W każdym razie jeniec nie powinien być uwolniony przed moim przyjściem.

— Old Shatterhand może liczyć na nas, — zapewnił starszy chłopiec. — Spełnimy jego rozkaz, chociaż smuci nas to, że on idzie sam do hacjendy.

— Jak to?

— Mój sławny biały brat mówi przez to, że uważa nas za niedoświadczonych chłopców, którzy nie potrafią uprowadzić konia!

Znałem dosyć obyczaje i zapatrywania Indian, ażeby zrozumieć, że ci młodzi ludzie czuli się pokrzywdzeni. Obecne okoliczności zmuszały mnie wejść w ściślejszy kontakt ze szczepem Mimbrenjów, wobec tego uważałem za korzystne okazać im zaufanie. Dlatego odpowiedziałem:

— Widziałem, jak dzielnie broniliście się przeciw wrogom i uważam was za odważnych młodzieńców! Nie wątpię, że obok odwagi posiadacie także potrzebną zręczność i spryt; dlatego pytam was, czy chcecie podjąć się uprowadzenia koni.

— Chcemy! — zabrzmiała radosna odpowiedź.

— Dobrze! Zapewne nie potrzebuję was objaśniać dokąd macie się udać?

— Nie! Widzieliśmy gdzie są konie. Będzie bardzo łatwo dwa z nich dostać.

— Dwa? Nam potrzeba trzech!

— Przecież jeniec posiada jednego konia. Będzie musiał powiedzieć, gdzie go ukrył?!

— Tego konia nie weźmiemy. Melton jechał na nim od Lobos aż tutaj; zwierzę jest znużone a na pastwisku możemy znaleźć konie wypoczęte. Idźcie zatem; czekam was tutaj!

Bracia oddalili się natychmiast, ja zaś przyległem w trawie obok mormona, który leżał jak martwy. Duma nie pozwoliła mu wypowiedzieć słowa prośby chociaż bolały go zranione ręce. Chwilami oddychał ciężko i chrapliwie.

O moich Indian nie obawiałem się wcale; to co mieli wykonać, było zadaniem łatwym i mogło tylko przez szczególny zbieg okoliczności pociągnąć za sobą wielki trud czy też okazać się niemożliwością. W tym wypadku wróciliby z niczym; to było wszystko, czego się mogłem obawiać, gdyż nawet mi na myśl nie przyszło, żeby dali się pochwycić. Tak przeszły dwie godziny; wtem, najwyżej o cztery kroki przede mną, wyrosła z ziemi jakaś postać. Zerwałem się momentalnie aby pochwycić przybysza. Opuściłem jednak podniesioną już rękę, gdyż poznałem, że był to starszy z braci.

— Mój brat jest już z powrotem? — rzekłem. — Dlaczego przychodzi tak potajemnie?

— Ażeby pokazać Old Shatterhandowi, że nikt mnie nie zobaczy i nie usłyszy, gdy ja sobie tego nie życzę.

— Twój chód jest niedosłyszalny jak lot motyla; zostaniesz dzielnym wojownikiem! Gdzie twój brat?

— Wyprzedziłem go, ażeby ciebie zapytać, czy jeniec może widzieć przyprowadzone konie?

Zadał pytanie po cichu, ja zaś odrzekłem głośno.

— Niech twój brat przyprowadzi konie. Nie spostrzegł was nikt?

— Pasterze byli ślepi i głusi. Mieliśmy nawet czas wybrać spośród koni te, które nam się najbardziej podobały!

Powiedziawszy to gwizdnął; natychmiast posłyszałem odgłos kopyt zbliżających się koni. Chłopcy byli nadzwyczaj dumni, że im się udało przyprowadzić konie tak blisko bez zwrócenia mojej uwagi. Skoro obejrzałem zwierzęta, o ile oczywiście pozwalała na to noc, przekonałem się, że były niegorsze; zauważyłem przy tym, że jeden z nich miał na sobie siodło. Gdy zagadnąłem starszego z braci odpowiedział:

— Mój biały brat nie ma siodła, dlatego wyszukaliśmy konia jeńca i zdjeliśmy z niego siodło. Konia puściliśmy wolno; wszak jeniec nie może go dosiąść i kierować nim wywichniętymi rękami!

Postępek młodych Indian dowodził, że mogłem żądać od nich czynów, których inni w ich wieku nie byliby zdolni wykonać.

— Koniokrad! — zawołał teraz do mnie mormon z pogardą. — Sławny Old Shatterhand nie jest więc niczym tylko zwykłym opryszkiem!

Nie uraziłem się przeciwnie, rozwiązałem mu rzemienie i odparłem:

— Macie tu z powrotem waszą wolność, master skrytobójca! Zabierajcie się stąd i powiedzcie hacjenderowi, że tylko z konieczności pożyczyłem te konie od niego. Prawdopodobnie otrzyma je z powrotem, albo przynajmniej zapłatę za nie. Gdyby coś stanęło na przeszkodzie, niech przypisze sobie samemu tę małą stratę! Wam zaś radzę, żebyście kazali sobie jak najprędzej wprawić ramiona na swoje miejsce i owinęli je mocnymi bandażami bo może się łatwo zdarzyć, że nie odzyskacie nigdy swojej dawnej wprawy w rękach. Dla waszego dobra chciałbym żebyśmy się już nigdy nie zobaczyli, gdyż jestem przekonany, że spotkanie nasze miałyby złe skutki dla was.

— Raczej dla ciebie! Miej się przede mną na baczności i bądź przeklęty, łotrze!

Rzuciwszy mi te złowieszcze słowa odszedł spiesźnie. Gdybym go był nie oszczędzał, a wpakował w głowę ołów byłbym zapobiegł wielu nieszczęściom. Ale czy można zastrzelić człowieka niby dzikie zwierzę! — Broń i amunicję jego zabrałem, resztę zawartości kieszeni pozostawiłem oczywiście nietkniętą. Osiodłałiśmy konie, ażeby przede wszystkim opuścić to miejsce, gdzie można się było wkrótce spodziewać niezbyt miłych odwiedzin. Jechaliśmy wprost przed siebie nie zwracając uwagi na kierunek drogi, gdyż umyśliłem sobie pozostać w tej okolicy przez czas dłuższy. Po chwili milczenie zapytałem:

— W jakim czasie dotarliby moi czerwoni bracia do swoich czerwonych wojowników, gdyby jechali prędko nie mitrząc w drodze?

Po trzech dniach — odpowiedział starszy. Młodszy mówił tylko wtedy, gdy się zwracałem wprost do niego, albowiem Indianie przestrzegają bardzo skrupulatnie prawa pierwszeństwa starszych nad młodszymi. Posiadają nawet odrębne terminy na oznaczenie starszego i młodszego brata lub siostry. Również innym słowem nazywa syn ojca, a innym matkę. Tak na przykład w języku Nawajów „mój starszy brat” znaczy „szinai”; „mój młodszy brat” — „se tsela”; „mój syn” w ustach ojca „szijch”, w ustach matki — „se tse”; „starsza siostra” znaczy „sze la”, a „młodsza siostra” — „eteh”.

— Czy Nalgu Mokasi, wasz ojciec, bawi obecnie wśród swoich wojowników?

— Tak; ucieszy się bardzo, gdy zobaczy Old Shatterhanda.

— Niestety jednak nie mogę udać się do niego osobiście. Muszę go prosić, aby przybył do mnie. Niech jego dwaj dzielni synowie przekażą mu to, co im teraz powiem. Z mojej ojczyzny, spoza Wielkiej Wody, przybyli mężczyźni, kobiety i dzieci, ażeby pracować w hacjendzie del Arroyo. Ów biały, nazwiskiem Melton, który był teraz naszym jeńcem, zamierza coś złego przeciw nim; Niestety planu jego nie mogłem jeszcze przejrzeć. Najprawdopodobniej sprowadzi wodza Yuma, ażeby napaść na hacjendę. Przewidując to poszedłem do hacjendera i ostrzegłem go; ten jednak wyśmiał mnie. Spełniłem więc swój obowiązek i nie dbałbym więcej o niego, gdyby nie troska o moich białych braci i moje siostry. O własnej sile ich nie uratuje; nie mogą walczyć przeciw ze wszystkimi wojownikami Yuma; dlatego proszę waszego ojca, dzielnego wodza Mimbrenjów, ażeby mi przyszedł z pomocą i mam nadzieję, że nie odmówi mojemu życzeniu!

— Nasz ojciec przybędzie natychmiast, gdyż ma dwa ważne powody ku temu.

— Jakże? — zagadnąłem, chociaż wiedziałem co odpowie.

— Po pierwsze, palił z Old Shatterhandem fajkę przyjaźni i straciłby honor, gdyby nie poszedł natychmiast za jego wezwaniem. Drugim powodem będzie zemsta nad wodzem Yuma za napad na nas, który śmiercią przypłacilibyśmy, gdyby Old Shatterhand nas nie uratował. Przyjaźń i zemsta będą przyświecały naszemu dzielnemu ojcu w tej wyprawie.

— Więc przypuszczasz, że może stanąć w tej okolicy za sześć dni?

— Tak, trzy dni tam i trzy z powrotem. Ilu wojowników ma przyprowadzić?

— Nie wiem, jaką siłą zgromadzą Yuma, ale do napadu na osiedle tej wielkości co hacjenda del Arroyo potrzeba mniej więcej stu ludzi; liczbą wasi wojownicy powinni im przynajmniej dorównywać. Niech się zaopatrzą w suszone mięso; tutaj nie będą mieli czasu na polowanie.

— Gdzie się mają spotkać z Old Shatterhandem?

— Nie byłem jeszcze w tej okolicy, więc nie mogę wybrać natychmiast odpowiedniego miejsca. Poszukamy jednak zanim się rozstaniemy. Poza tym mam jeszcze jedno polecenie. Umówiłem się z moim bratem krwi wodzem Apaczów Winnetou, że się spotkamy w oznaczonym miejscu; teraz nie mogę się tam stawić punktualnie, bo muszę pozostać w pobliżu hacjendy. Proszę więc twojego ojca, ażeby posłał do Winnetou odpowiedniego posłańca z wyjaśnieniem, dlaczego nie mogę dotrzymać słowa.

— Jeśli mi Old Shatterhand opiszę miejsce spotkania, to sławny wódz Apaczów zostanie niezawodnie zawiadomiony. Mój młodszy brat i nasza siostra niech słuchają także, ażeby mogli naszemu ojcu wszystko dokładnie powtórzyć.

— Oni? Więc ty nie? Dlaczego?

Zwlekał chwilę z odpowiedzią, następnie chrząknął kłopotliwie i rzekł:

— Mój młodszy brat i siostra odnajdą szczep, ja jednak zostanę tutaj!

— W jakim celu?

— Chcę odszukać i śledzić wodza Yuma, ażeby później zawiadomić naszych wojowników, gdzie go można znaleźć.

— To wszystko przecież ja biorę na siebie!

— Wiem o tym! Old Shatterhand jest wielkim wojownikiem, a ja chłopcem bez imienia; dlatego muszę postąpić jak mi Old Shatterhand każe. Jeśli mnie wyśle, to pójdę; ale serce moje będzie bardzo tym zasmucone, gdyż chcę zostać na śladach Vete-ya, dopóki nie pomszczę się na nim, chcę zdobyć sobie imię, chcę powrócić do namiotów naszego szczepu jako wojownik! Niech mi więc mój wielki brat pozwoli zostać! Wprawdzie nie śmiem spodziewać się, że moja prosta zostanie wysłuchana, gdyż Old Shatterhand nie potrzebuje pomocy; gdyby jednak pozwolił mi iść w swoim cieniu, to mógłbym przynajmniej czuwać przy jego koniu, skoro ten będzie mu zbyt cenny albo będzie krępował swobodę ruchów!

Mówił nieśmiało, z zażenowaniem. Życzenie jego było rzeczywiście niezwykle, każdy Indianin, nawet starszy wojownik, czekałby aż zawezwałbym go sam do pozostania ze mną; a właśnie okoliczność, że ten chłopiec odważył się na prośbę podniosła go w moich oczach. Rozumiałem dobrze jak bardzo musiało mu na tym zależeć; gdybym, spełnił jego życzenie, zazdrościliby mu zapewne wszyscy Mimbrenjowie. Mnie zaś wiele powodów skłaniało, aby mu nie odmówić. Przede wszystkim podobał mi się; następnie ojciec jego był moim przyjacielem, to już chyba wystarczy, abym przychylił się do jego prośby. Poza tym mógłby mi się rzeczywiście przydać. Wiedziałem, że będę musiał skradać się do hacjendy na zwiady. Oczywiście te kryjome wycieczki mogły pochłaniać całego godziny, a nawet dni. O ile koń pozwalał mi prędko się przenosić z miejsca na miejsce, o tyle podczas takiego podsłuchiwania byłby nie tylko zbyt cenny, lecz mógłby mnie nawet zdradzić. W takim wypadku chłopiec okazałby mi wielkie usługi. Sam zresztą zwrócił mi na to uwagę. Ponieważ jednak zwlekałem z odpowiedzią, dorzucił po chwili:

— Mój sławny biały brat gniewa się na mnie. Wiem, że każdy wódz byłby dumny, gdyby mógł przy nim pozostać, a ja nie jestem przecież niczym innym tylko robakiem, na którego nikt nie zważa; lecz pragnę gorąco otrzymać imię i stanąć w szeregach wojowników, a wiem, że w pobliżu Old Shatterhanda znalazłbym najprędzej do tego sposobność. Jeśli rozgniewałem go, to niech mnie odpędzi, odejdę natychmiast!

Na to wyciągnąłem do niego rękę i odpowiedziałem:

— Jak mógłbym się gniewać na takiego młodzieńca! Podobasz mi się, a twój ojciec będzie rad, skoro się dowie, że cię zatrzymał. Pozwalam więc; mogę mieć z ciebie wiele pożytku. O

nikim nie należy z góry przesądzać, że nie wyświadczy drugiemu cennej przysługi, choćby nawet przypadkiem. Wiele z tego co słyszałeś o mnie i o Winnetou zdołaliśmy dokazać tylko z pomocą innych ludzi, których nikt nie zna. O nas się opowiada, o nich nie. Oby się spełniła twoja nadzieja, że przy moim boku znajdziesz w krótkim czasie imię. A okoliczności do tego zdają się być odpowiednie!

Można sobie wyobrazić z jaką radością przyjął moją zgodę i serdeczne życzenia. Nie powiedział jednak ani słowa; bratu młodszemu wyrwało się pełne zachwytu: uff, a siostra klasnęła wesoło w dłonie.

— Czy jednak twój brat i siostra odnajdą szczęśliwie swój szczerp — dowiadywałem się — skoro ciebie przy nich nie będzie? Od tego zależy wiele, a może nawet wszystko!

Na to odpowiedział młodszy Mimbrenjo głosem skromnym, lecz pewnym siebie:

— Nic się nam stać nie może; skoro mam strzelbę w rękę nie boję się żadnego wroga!

W tej chwili natknęliśmy się znowu na strumień; było to więc miejsce, które zalecał Melton na nocleg. Oczywiście minęliśmy je nie zatrzymując się wcale. Jechaliśmy aż do północy, gdyż musieliśmy się tak oddalić od miejsca napadu, ażeby ślady zupełnie znikły już następnego ranka.

Nareszcie znaleźliśmy się na terenie skalistym, gdzie kopyta koni nie zostawiały żadnego tropu; księżyc, który ukazał się na niebie, rozjaśnił ciemność na tyle, że mogliśmy zauważyć las rozciągający się po stronie północnej horyzontu. Skoro zbliżaliśmy się ku niemu, rozeznałem na jego skraju potężne drzewo, wyrastające koroną ponad wszystkie inne.

— Uff! — odezwał się starszy brat. — Oto przybyliśmy znowu do znanej okolicy. Jest to las Wielkiego Dębu Życia. Teraz mój brat będzie wiedział dokładnie, jak ma jechać; omylić się nie można absolutnie.

Dobrze! — odpowiedziałem. — Więc tutaj się rozłączymy, a ten Dąb Życia niech będzie także miejscem naszego spotkania. Po sześciu dniach będę tu oczekiwał waszego ojca i jego wojowników!

Następnie udzieliłem młodszemu bratu jeszcze raz wyczerpującej instrukcji, dokładnie opisałem miejsce, w którym miałem spotkać się z Winnetou. Na koniec dałem mu broń odebraną mormonowi, ażeby ją wręczył ojcu jako podarunek ode mnie. Zapewnili mnie oboje, że będą jechać bez przerwy aż do wieczora dnia następnego. Kusili się bowiem o przebycie leżącej przed nimi drogi nie w trzech, a w dwóch dniach.

Wszyscy troje byli zaopatrzeni w suszone mięso; teraz podzieliliśmy prowianty; ja i starszy Mimbrenio otrzymaliśmy zapas żywności na dwa dni co było mi bardzo na rękę, gdyż polowanie mogłoby nas zdradzić i tracilibyśmy na nie czas tak cenny. Po odjeździe naszych gońców położyliśmy się do snu, gdyż nie mogliśmy wiedzieć, czy jutrzejszej nocy znajdziemy czas na spoczynek. Tutaj zaś byliśmy tak bezpieczni, że żaden z nas nie potrzebował czuwać.

Obudziwszy się następnego poranka stanęliśmy przed podwójnym zadaniem. Po pierwsze, należało znaleźć obóz Yuma; temu odpowiadała pora dnia; po drugie, chciałem zakraść się do hacjendy, ażeby popatrzeć co się dzieje z emigrantami i, o ile to leżało w mojej mocy, rozmówić się z Herkulesem. Do tego musiałem oczywiście oczekiwać wieczora.

Aby spełnić pierwsze zadania postanowiłem udać się na miejsce, na którym *Vete-Ya* dokonał napadu na moich towarzyszy. Jak już nadmieniłem, wrócił tam na pewno, ażeby się przekonać jaki los spotkał jego syna; mogłem więc przypuszczać, że znajdę tam ślady, które mi wskażą, gdzie się później udał.

Oczywiście nie pojechaliśmy najkrótszą drogą obok hacjendy, lecz zboczyliśmy i przybyliśmy do celu zupełnie z innej strony, nie spotkawszy na drodze nikogo. Trzy trupy końskie leżały tam jeszcze. Kilkanaście sępów obdzierało mięso z kości i użerało się o strzępy. Posłałem chłopca na górę, gdzie leżał zastrzelony syn wodza Yuma; wróciwszy odpowiedział, że ciało zostało odsunięte daleko od krawędzi skały i nakryte wysokim kopcem kamieni. Mieliśmy więc dowód, że ci, których szukaliśmy, byli tutaj.

Na próżno usiłowałem odnaleźć ślady Yuma; dolina wykrojona była w całkowicie gładkiej, twardej skale. Czy wąty trop, który zdradzało parę kamyków poruszonych z miejsca kopytem końskim pochodził od Indian, czy od nas samych z ubiegłego dnia? Nie znalazłszy nic pewniejszego i dokładniejszego towarzysz mój zawołał wreszcie zniechęcony:

Oni byli tutaj, to rzecz pewna! A jednak nie można nic wykryć! Moje oczy są dzisiaj jakby ślepotą rażone; niech Old Shatterhand nie myśli przecie, że tak jest zawsze!

Pociesz się tym, że oczy Old Shatterhanda, które są bardziej wyćwiczone, nie wiele więcej mogą odkryć. Ale są oczy ciała i ducha. Gdy jedno zawodzi trzeba uciec się do drugich!

— Oczy mojego ducha nie widzą więcej niż oczy ciała!

Ponieważ zwracasz je najprawdopodobniej w fałszywym kierunku.

— Więc niech mi Old Shatterhand powie, dokąd zwrócić mam myśli!

— Naturalnie za wodzem Yuma!

— To czyniłem przecież dotychczas, a jednak bez powodzenia.

— Ponieważ snujesz je wyłącznie od dzisiaj. Zaczynaj od dnia wczorajszego! Gdy obydwaj napastnicy uciekali starałeś przecież na występie skalnym i mogłeś lepiej widzieć niż ja. Pojechali prosto wzdłuż doliny. Kiedy obraliśmy ten sam kierunek, podczas całej drogi nie zauważyliśmy ani ich samych, ani ich śladów. O czym to może świadczyć?

— Prawdopodobnie opuścili dolinę, jak mogli najprędzej.

— Ja także tak sądzę! Zbocza doliny są strome. Czy jeździec może się po nich wydostać na górę?

— Nie! Musieli skrócić w jeden z wąwozów, wpadających do doliny.

— Tak! Widzę, że mój młodszy brat umie korzystać z oczu swego ducha! Oni oczywiście nie brali na los szczęścia pierwszego lepszego wąwozu.

Nie; jechali do tego wąwozu w którym czekali ich wojownicy!

Całkiem słusznie! Do tego samego rezultatu można dojść także inną drogą. Jeżeli przypuścimy, że Yuma chcą napaść na hacjendę i oczekują tylko chwili oznaczonej, to stąd wniosek, że muszą czaić się w ukryciu. Ponieważ dolina leży po drodze do hacjendy i często bywa nawiedzana, więc Yuma ukryli się w jednym z bocznych wąwozów. Oczywiście muszą być oddaleni od głównej doliny przynajmniej o godzinę drogi konno. Niech mój brat teraz, powie, jak powinien wyglądać wąwóz, w którym się zatrzymali?

— Musi być porośły drzewami, żeby się można było za nimi ukryć i musi mieć trawę jako paszę dla koni.

Bardzo słusznie! Teraz może mój młody brat przypomina sobie, że przechodzi li śmy wczoraj obok ujścia trzech wąwozów. Jak daleko stąd leżał wylot pierwszego?

— O pół godziny drogi!

— A następnych?

— Drugi jeszcze o kwadrans dalej; a trzeci — daleko, bardzo daleko stąd!

— Tak jest; tak daleko, że wcale nie może wchodzić w rachubę. — Niech mój brat przypomni sobie jeszcze, jakie były te dwa pierwsze ujścia? Czy wskazywały, że jest to początek wąwozu, który ciągnie się przynajmniej kilka kilometrów w góry?

— Nie, — odpowiedział bez namysłu, dając dowód, że posiadał dobry zmysł orientacyjny. — Pierwszy zdawał się być krótki i wąski. Natomiast ujście drugiego było bardzo szerokie.

— Wobec tego należy prawdopodobnie szukać Yuma w drugim wąwozie. O tym możemy się prawie upewnić, jeśli zobaczymy, że rosną tam drzewa. — Nie traćmy zatem czasu!

Dosiadłem konia. Chłopiec poszedł za moim przykładem i odezwał się przy tym z młodzieńczą powagą:

— Ale musimy dbać o ostrożność, gdyż poza drzewami mogą czyhać wojownicy Yuma!

— Tego sobie właśnie życzę, — zaśmiałem się; smuciłbym się, gdyby ich tam nie było!

Ale wtedy i oni nas zobaczą!

Już my się postaramy o to, aby nas nie zauważyli! Moja poufałość ośmieliła go do uwagi:

Niech mój sławny biały brat pomyśli, że wąwóz to nie otwarta równina! Tu nie można zauważyć lasu na większą odległość, gdyż wąwóz posiada zakręty. Kto odkryje las ten stoi właśnie tuż przed nim, a jeśli w lesie jest nieprzyjaciel, to może łatwo się zdarzyć, że nie będzie już czasu zawrócić!

— Mój mały brat mówi jak stary, doświadczony poszukiwacz śladów. Może jednak zechce uprzytomnić sobie, że zakręty wąwozu, poza którymi rzeczywiście grozi niebezpieczeństwo, dają właśnie osłonę ostrożnemu wywiadowcy! Skręt, za którym ukrywa się nieprzyjaciel, jemu także przeszkadza mnie spostrzec. Kto zaś chce odkryć ogień, temu wystarczy poszukać dymu, albo światła ogniska; po co wkładać weń rękę, ażeby dopiero na własnej skórze przekonać się o jego obecności? My też nie przekroczymy wcale drugiego wąwozu, w którym usadowił się nieprzyjaciel!

Indianin rozumiejąc, że go karcę zwiesił głowę i milczał. Jechaliśmy tą samą drogą co wczoraj; starałem się, żeby konie szły ciągle po gruncie skalistym nie pozostawiając śladów. Niezbyt bezpieczna była to jazda, skoro u każdej chwili mogliśmy natknąć się na któregoś z Yuma, albo nawet na cały ich oddział. Na szczęście jednak obeszło się bez przygodnych spotkań. Po upływie mniej więcej pół godziny dostaliśmy się do ujścia pierwszego wąwozu, który podobnie jak drugi, prowadził na lewo. Mając już plan gotowy, skręciłem i wjechałem do wąwozu. Indianin wahał się przez chwilę, podążył jednak za mną nie mówiąc ani słowa. Nie mógł mnie zrozumieć, ale milczał, obawiając się, że znowu go skarcę. Po co wjechaliśmy do pierwszego wąwozu, skoro mieliśmy szukać Yuma w drugim? Odpowiedź otrzymał wkrótce.

Pierwszy wąwóz był taki, jak przypuszczaliśmy: wąski i płytki. Wznosił się szybko i mniej więcej po dziesięciu minutach dotarliśmy do wylotu; tutaj leżała równina; pusta i bezdrzewna, ciągnęła się aż po widnokrąg. Na wschodzie widniały w oddali góry, na północnym zachodzie, w niezbyt wielkiej odległości, zauważyłem ciemne pasmo. Wskazując ręką w tym kierunku zapytałem towarzysza:

— Co się może znajdować za tą linią? Las!

— Nie, gdyż linia jest właśnie lasem. Otacza on brzegi, a zapewne i zbocza drugiego wąwozu, którego szukamy. Mój młody brat zrozumie teraz, dlaczego zboczyliśmy nie tam, lecz tutaj, do pierwszego wąwozu. Tam groziłoby nam niebezpieczeństwo; tutaj zaś odkryliśmy las, a mimo to nieprzyjaciele nie mogą nas widzieć. Jeżeli Yuma rzeczywiście zatrzymali się w wąwozie, to zapewne rozstawili strażę tylko od strony głównej doliny, gdyż jedynie stamtąd mogą się spodziewać przybycia kogoś obcego. Możemy zatem jechać otwarcie do lasu, bez obawy, że można odszukać ogień, nie parząc sobie palców!

— Niech Old Shatterhand nie gniewa się na mnie! — odpowiedział pokornie mój młody towarzysz. — Pojedziemy tam?

— Tak; muszę koniecznie sprawdzić, czy moje przypuszczenia są słuszne! Czy mój młody brat chce tutaj zostać i czekać na mnie?

— Jadę choćbym miał spotkać cały szczep Yuma! — odpowiedział żywo. — Jeśli jednak Old Shatterhand rozkaże, tu muszę zostać!

— Jedź ze mną; mam nadzieję, że nie popełnisz żadnego błędu. Wiesz Przecież jak niebezpiecznie skradać się w biały dzień do nieprzyjacielskiego obozu!

Ruszyliśmy galopem, ażeby o ile można skrócić czas, podczas którego mogliby nas jednak przypadkiem spostrzec Indianie. Przybywszy do celu zsiadliśmy z koni i przywiązawszy je do drzewa przeszukaliśmy skraj lasu na odpowiedniej przestrzeni. Nie znaleźliśmy nic podejrzanego; następnie zaszliśmy konie w takiej gęstwinie, że nawet bystre oko niełatwo by je odkryło.

— Czy mój brat będzie strzec koni, czy pójdzie ze mną? — zapytałem.

— Idę!

— A może wolisz sam działać? Gdy się rozdzielimy, dojdziemy do celu w połowie czasu.

— Jeśli Old Shatterhand żywi do mnie zaufanie, to niech powie co mam uczynić. Błędu nie popełnię żadnego!

— Więc chodź! Musimy wyszukać naprzód brzeg wąwozu. Weszliśmy głębiej w las i wkrótce przybyliśmy na upragnione miejsce; grunt opadał tu stromo w dół. Schodziliśmy tak długo, aż rozchyliło się przed nami dno wąwozu; porastało trawą i przepływał przez nie mały strumyczek. Na zboczach rósł gęsty las.

— Teraz się rozdzielimy, — rzekłem. — Ja będę szedł kwadrans drogi w dół ku głównej dolinie; ty idź przez ten czas w górę, potem wrócimy tutaj. — Jeśli nic nie zauważymy to będziemy szukać dalej, dopóki nie przetrząśnie — my całego wąwozu. Nie daj się tylko skusić do jakiejś nieostrożności, przede wszystkim do strzału!

Ostrzegałem go, gdyż nie byłem zupełnie pewny, czy potrafi opanować żądzę zemsty, gdyby zobaczył *Vete-Ya*.

Przeszedłem oznaczoną przestrzeń nie spostrzegając nic osobliwego. Co prawda środkiem doliny przebiegała przez trawę ciemna pręga, którą uważałem za trop; mógł on jednak pochodzić zarówno od zwierzęcia jak i człowieka; ostrożność nie pozwalała mi zejść na dół, aby go zbadać.

Wróciłem na miejsce, z którego rozeszliśmy się, prędzej niż Indianin, niedługo wszakże na niego czekałem.

— Nie widziałem nikogo, — rzekł — a jednak przez trawę przebiega trop.

— To samo ja zauważyłem!

— Nos mój widział dalej niż oczy; czułem woń dymu.

— Czy może również zapach pieczonego mięsa?

— Nie, tylko dymu! Powyżej miejsca, z którego zawróciłem z pewnością płonie ogień.

— Więc chodźmy się przekonać!

Posuwaliśmy się cicho i ostrożnie patrząc bystro naprzód, ażeby w razie, gdyby się ktoś przed nami znajdował, spostrzec go zawczasu. W pewnej chwili młody Mimbrenjo stanął, wciągnął powietrze w nozdrza i spojrzał na mnie z oczekiwaniem. Skinąłem głową i poszedłem dalej; rzeczywiście, było tu czuć woń dymu, która wzmagająca się szybko. Po pewnym czasie Mimbrenjo stanął znowu i zapytał szeptem:

— Czyżby to byli biali?

— Bardzo wątpię!

— Przecież czuć woń habu!

— Fasolę jadają również Indianie. Chodźmy dalej!

Wkrótce i ja wyczułem zapach gotowanej fasoli. Fasola to ulubiona potrawa Meksykan, a także Indianie mieszkający w Meksyku jedzą ją chętnie. Że jednak tutaj, w dzikim lesie gotowano fasolę, to było po prostu zdumiewające! Fasola jako zapas żywności na wyprawie wojennej Indian! Do tego potrzeba przecież kotłów, garnków... był to dowód, że w tej wyprawie brali udział nie tylko czerwonoskórzy!

Niebawem podeszliśmy tak blisko, że nie dość iż czuliśmy zapach, ale ujrzeliśmy na własne oczy fasolę w sześciu kotłach żelaznych wiszących nad ogniskiem; dookoła było dwadzieścia mniej więcej namiotów sporządzonych z grubego mocnego płótna; namiot wodza wyróżniał się trzema piórami orlimi zatkniętymi na wierzchołku. Natomiast niższy stojący nieco na uboczu, zdawał się służyć za spiżarnię. Czerwoni leżeli lub siedzieli, już to pojedynczo, już to w grupach, koło namiotów. Kilkunastu z nich mieszało w kotłach, żeby fasola się nie przypaliła. Przyznaję, że byłem zaskoczony; spodziewałem się ujrzeć oddział Indian w każdej chwili gotów do wyruszenia, a tymczasem znalazłem obozowisko ze wszystkimi wygodami, na jakie sobie Indianin pozwala, gdy czuje się bezpieczny!

— Otóż oni! — szepnął chłopiec. — Zupełnie tak jak Old Shatterhand przypuszczał. — Są w drugim wąwozie! Czy mam ich policzyć?

— Nie policzysz ich teraz, ponieważ wielu siedzi w namiotach, ale możesz zrachować konie! Stoją w każdym razie jeszcze dalej w górę wąwozu, bo dotąd ich nie napotkaliśmy.

— Czy mam iść?

— Tak, lecz miej się na ostrożności!

Puściłem go samego, gdyż sprawiało mu to wielkie zadowolenie, że mógł działać na własną rękę i że doznawał zaufania, jakim obdarza się tylko doświadczonego wojownika. Gdy po jakimś czasie wrócił, otworzył i zamknął dwukrotnie dłonie, aby mi uwydatnić liczbę koni i powiedział:

— Widziałem dwa razy pięć razy dziesięć koni i jeszcze trzy do tego! Indianin nie zna wielkich liczb. U niektórych szczepów na wyższą miarą jest dziesięć, u innych nawet tylko pięć, stąd osobliwy sposób wyrażania się mojego towarzysza. Naliczył więc sto trzy konie. Ponieważ wchodziła w to pewna liczba juczych, można było wnioskować, że Indian jest około dziewięćdziesięciu. Kobiet nie było; obozowali tu jedynie wojownicy i to jak się zdawało uzbrojeni wyłącznie w broń palną.

Pomimo znacznej liczby ludzi panowała w obozie zupełna cisza. Indianie czuli się wprawdzie zupełnie bezpiecznie, nie zaniebdywali jednak środków ostrożności. W pewnej chwili zobaczyłem jak jeden z czerwonych wszedł do namiotu wodza; zawiadomił go prawdopodobnie, że fasola ugotowana bo załedwie wyszedł, klasnął kilka razy w dłonie i zawołał głośno: *Miuszyam, ma* — chodźcie, posiłek gotowy!

Obóz zakipiał życiem; jedni wychodzili z namiotów z naczyniami w rękach, inni spieszyli do nich po swoje miski — wszyscy garnęli się do ognisk; — tylko dwaj pozostali obojętni. Byli to *Vete-Ya* i jakiś biały. Wyszli z namiotu wodza i stali przed nim, obserwując ożywiony ruch obozowy. Nie mogłem z miejsca rozpoznać, kim był ów biały; wszakże po chwili, skoro się obrócił do mnie twarzą, ujrzałem... młodego Wellera, dawniejszego strażnika okrętowego.

Więc przypuszczenia moje okazały się ze wszech miar słuszne; teraz zachodziło jeszcze pytanie, gdzie znajdował się ojciec Wellera. W każdym razie nie tutaj, gdyż byłby wyszedł razem z nimi. Posiłek trwał kilka minut; potem rozpanoszyło się poprzednie próżnowanie i włóczęga z miejsca na miejsce. Obserwowaliśmy obozowisko jeszcze dłuższy czas nie spostrzegając nic co by zapowiadało jakieś zamysły na dzisiaj, poza tym, że na skinienie białego przyprowadzono konia; widać było, że Weller ma zamiar opuścić obóz.

— Chodź, szepnąłem do Indianina. — Musimy jechać.

— Dokąd?

— Tego jeszcze nie wiem, prawdopodobnie do hacjendy!

Pospieszyłem z powrotem tą samą drogą, którą przyszliśmy tutaj; zanim wydostaliśmy się z lasu zobaczyłem Wellera jadącego w dół wąwozu. Niebawem dotarliśmy do naszych koni; wyprowadziwszy je z gęstwiny co tchu popędziliśmy do pierwszego wąwozu, aby ukryć się za skałą, przy jego ujściu do głównej doliny. Jeśli Weller pojechał w dół doliny to musieliśmy go zobaczyć; jeśli zaś nie ukaże się, to znaczy, że celem jego jazdy była hacjenda.

Czekaliśmy mniej więcej kwadrans; Weller nie nadjeżdżał, wobec tego postanowiłem go śledzić. Przychodziły mi do głowy rozmaite przypuszczenia. Przede wszystkim roztrząsałem, czy Weller pokaże się otwarcie, czy też uda się do hacjendy potajemnie. Przychylałem się do drugiego przypuszczenia, gdyż był on na pewno pośrednikiem między wodzem a mormonem. Jeśli rozumowałem słusznie to musiał się zejść z Meltonem w jakimś odosobnionym miejscu. Gdybym znał to miejsce, mógłbym ich podsłuchać i dowiedzieć się być może o całym planie! Czy można było odszukać miejsce ich spotkania? Tak, ale do tego trzeba pośpiechu. Nie tracąc więc czasu na dalsze rozmyślenia, ruszyliśmy tak szybko jak tylko droga pozwalała; dopiero gdy dostaliśmy się na grunt miękki, mogliśmy zwolnić nieco, bo zauważyłem po tropie, który tu był bardzo wyraźny, że Weller jechał powoli. Należało czuwać bacznie, gdyż za każdym zakrętem mogliśmy natknąć się niespodziewanie na niego. I słusznie! Jeszcze zanim osiągnęliśmy trzeci boczny wąwóz, wyglądając ostrożnie spoza zakrętu doliny ujrzeliśmy go

jadącego najwyżej trzysta kroków przed nami. Teraz nie było już żadnej wątpliwości, chciał się dostać do hacjendy! Mimbrenjo, który towarzyszył mi dotychczas w milczeniu, zapytał:

— Dlaczego jedziemy za tą bladą twarzą? Czy mogę dowiedzieć się o tym od Old Shatterhanda?

— Śledzę go, gdyż jest to wysłannik *Vete-Ya!*

— Do kogo?

— Przypuszczam, że do Meltona; prawdopodobnie zejdą się gdzieś potajemnie i omówią sprawę napadu, który ja chcę udaremnić. Przy tym mogę się także dowiedzieć co zamierzają właściwie zrobić z emigrantami.

— Mój wielki biały brat chce ich podsłuchać?

— Tak!

— Ale przecież nie zna miejsca, gdzie ci dwaj będą rozmawiać.

— Mam nadzieję, że się tego dowiem.

— Wobec tego musielibyśmy jechać jeszcze ciągle za białym i nie spuszczać go z oczu. Tymczasem on skoro się tylko odwróci musi nas spostrzec!

— Pojedziemy za nim dopiero kiedy się ściemni. Potem wyprzedzimy go łukiem.

W takim razie zobaczy nasze ślady!

— Będzie je uważał za ślady dwóch pasterzy z hacjendy, a być może nie zobaczy ich wcale z powodu ciemności. Znamy drogę, którą musi jechać. Przebyliśmy ją już wczoraj. Pojedzie prawdopodobnie aż do jeziora, do którego wpada strumień Arroyo. Tam będziemy go oczekiwać. Zadanie mamy tym łatwiejsze, że właśnie mrok zapadnie zanim do Arroyo dotrzemy!

— A w jaki sposób wyprzedzimy go?

Tego jeszcze nie wiem, bo nie znam dokładnie okolicy. — Skręcimy w trzeci wąwóz i przekonamy się dokąd nas zaprowadzi.

— Ja mogę to Old Shatterhandowi powiedzieć. Jest to właściwa droga, którą mieliśmy z bratem i siostrą wracać do naszego szczepu. Zboczyliśmy spodziewając się, że w hacjendzie dostaniemy konie!

— Więc dokąd zajedziemy tym wąwozem?

— Na wielką równinę z rzadka usianą wzgórzami.

— Równina? Nie ma więc tam przeszkód dla prędkiej jazdy.

— Nie ma! Jeśli jechać prosto to natrafi się na las Dębu Życia, gdzie mamy się spotkać z naszymi wojownikami, do hacjendy trzeba zmierzać na prawo; wiem to dokładnie; jaka jest to jednak droga, nie mam pojęcia, bo nie jechałem nią jeszcze nigdy!

— Wystarcza mi to w zupełności, coś mi powiedział. Wiem teraz, że do jeziora dotrzemy w odpowiednim czasie.

— Jedziemy zatem dalej!

Podczas tej krótkiej rozmowy Weller zniknął nam z oczu; mogliśmy więc ruszyć w dalszą drogę. Z początku jechaliśmy powoli, ażeby się zanadto do niego nie zbliżyć. Później, w bocznym wąwozie ruszyliśmy szybciej, a wreszcie, dostawszy się na równinę pogналиśmy galopem dając koniom tylko od czasu do czasu odpoczynek; popuściliśmy wodze dopiero wtedy, gdy można się było obawiać, że zajedziemy nad jezioro o wiele za wcześniej; nie należało się bowiem pokazywać tam za dnia.

Właśnie, gdy słońce zniknęło na zachodzie, zobaczyliśmy na wschodnim horyzoncie wynurzający się las.

— Będą to zapewne drzewa nad doliną jeziora Arroyo — odezwał się Mimbrenio.

Byłem tegoż zdania i zdążyłem wprost ku lasowi. Zmierzchało właśnie, gdy dotarliśmy do niego. Zsiadliśmy i poprowadziliśmy konie za uzdy. Drzewa nie rosły gęsto; z łatwością mogliśmy posuwać się naprzód, aż grunt zaczął się obniżać, a po lewej stronie ujrzeliśmy zwierciadło wody. Jeśli Weller miał w ogóle przybyć to na pewno ze strony prawej. Należało

więc przede wszystkim ukryć konie w takim miejscu, żeby zabezpieczyć je przed wzrokiem obcych, a równocześnie, żeby miały trawy i wody pod dostatkiem. Znaleźliśmy wkrótce ustronie odpowiednie; Indianin został przy koniach; dałem mu obie strzelby, które by mi tylko przeszkadzały. Nakazałem przy tym, żeby się nie oddalał z kryjówki pod żadnym pozorem. Następnie udałem się na drugą stronę jeziora, na miejsce, obok którego Weller musiał przechodzić. Położywszy się w trawie poza kilkoma krzakami, oczekiwałem jego przybycia, które według mego obliczenia musiało nastąpić w krótkim czasie.

Noc już zapadła; wokoło zapanowała głęboka cisza, przerywana tylko delikatnym szmerem liści, więc choćby najłżejszy szelest nie zrodzony z nocnego życia lasu, nie mógł ujść mojej uwadze.

Po upływie mniej więcej pół godziny usłyszałem ciche kroki zbliżające się z tej strony, z której miał nadejść steward. Jeszcze chwila, a ujrzałem go. Szedł pieszo, konia więc zapewne ukrył podobnie jak my. Chwilami przystawał, nasłuchując; to pozwalało mi iść za nim niepostrzeżenie. Gdyby szedł prędzej, chcąc mu nadażyć mógłbym się zdradzić jakimś przypadkowym szelestem. A jednak podążałem za nim, gdy postępował naprzód; stawałem, gdy kroki jego cichły, a szedłem dalej, gdy znowu szeleściły. W ten sposób przeszliśmy ćwierć obwodu jeziora i znaleźliśmy się przy ujściu strumienia Arroyo.

Mniej więcej pięćdziesiąt kroków powyżej ujścia rośla, tuż przy brzegu, wysoka, rozłożysta olcha; w pobliżu nie było żadnych zarośli; otaczała ją polanka o średnicy kilku metrów. Za ostatnim krzakiem stanąłem, ponieważ kroki umilkły; Weller zapewne zatrzymał się pod olchą. Nasłuchiwałem z natężeniem przez dłuższą chwilę, a jednak nawet najłżejszy szmer nie doszedł moich uszu, należało więc przypuszczać, że było to umówione miejsce spotkania. Okoliczność ta uniemożliwiała po prostu moje zadanie! Przez polankę nie mogłem przejść absolutnie; spostrzeżono by mnie natychmiast, zwłaszcza, że miałem na sobie dawne, jasne ubranie. Jednak to właśnie naprowadziło mnie na pomysł, jedyny, który mógł posłużyć mojemu zamiarowi. Brzegi strumienia były dość wysokie, tak, że mogłem dotrzeć do olchy wpływ nie potrzebując się obawiać iż mnie spostrzegą. Gdybym miał na sobie nowe ubranie nie przyszłoby mi do głowy przemoczyć go do ostatniej nitki.

Wypróżniłem więc kieszenie, odłożyłem pas ze wszystkim co się w nim znajdowało i ukrywając te rekwizyty za krzakiem, zszedłem cicho do wody. Tutaj w pobliżu ujścia do jeziora strumień był tak głęboki, że woda sięgała mi ramion. Pochylony nieco zanurzyłem się po usta, ażeby nie spostrzeżono mnie z brzegu, który był wysoki więcej niż na łokieć, więc mógł mnie zauważyć tylko ten, kto rozmyślnie obserwował powierzchnię strumienia.

Posuwałem się naprzód powoli, krok za krokiem, ażeby nie wywołać tal. Im dalej tym ostrożniej się poruszałem, tym głębiej zanurzałem głowę. Chwilami stawałem nasłuchując, Tak; słyszałem głosy! Na brzegu rozmawiali ludzie, prawie szeptem. Po pewnym czasie dosięgnąłem drzewa, nie spostrzeżony przez nikogo; teraz się czułem bezpiecznie; kto mógł w cieniu jego rozłożystych konarów dostrzec twarz moją?

Chwyciłem się mocno krawędzi brzegu i podciągnąłem powoli w górę, aż oczy moje znalazły się na równej wysokości z brzegiem. Zobaczyłem dwóch ludzi, siedzących pod pniem drzewa i słyszałem również co mówili; był to strażnik okrętowy i jego ojciec, który właśnie w tej chwili się odezwał:

— Oczywiście, hacjenderowi nie przyszło nawet na myśl zgodzić się na moją propozycję!

— Dałeś za mało? — zapytał syn.

— Nie; nie doszło nawet do targu, gdyż hacjendero z miejsca oświadczył, że nie ma zamiaru ani żadnego powodu sprzedawać swojej posiadłości. Skoro jednak pokażą się tutaj Indianie, zaśpiewa inaczej! Gdyby nawet miał ochotę do sprzedaży to ofiarowałbym tak niską cenę, że do zgody nie doszłoby na pewno. Nie widzę powodu, dla którego miałbym dać teraz trzy czwarte wartości hacjendy, skoro mogę później cały ten kram dostać za jedną czwartą.

— Tak tanio chyba nie!

— Przecież hacjenda będzie ruiną, a kapitału na odbudowanie hacjendero nie posiada. — Jeśli nie chce iść z torbami to musi ją sprzedać!

— A jeśli mu ktoś pożyczy pieniędzy na odbudowę?!

— O tym nawet nie będzie marzył! Żadnemu meksykańskiemu bogaczowi nie wpadnie do głowy narażać swe piękne pieniądze; na to są za mało obrotni! Z nami sprawa stoi inaczej. Prędzej czy później będziemy musieli wynieść się ze Stanów Zjednoczonych. Utah stracone dla nas na zawsze, a piękne miasto nad słonym jeziorem wpadnie już wkrótce w ręce naszych nieprzyjaciół! Wieloleźstwo sprzeciwia się moralności chrześcijańskiej i ustawom unii, której adherenci mają być przecież najmoralniejsi; my jednak nie zgodzimy się na to, więc musi przyjść do opuszczenia Stanów, do wędrówki, która oczywiście nie będzie miała w historii świata nic sobie równego! Czymże było wyjście synów Izraela z Egiptu wobec olbrzymiej wędrówki ludów, która nastąpi, skoro święci ostatnich dni z żonami i z dziećmi, z całym dobytkiem — wyruszą ze Stanów Zjednoczonych?! — Pytano dokąd? Na północ, do Kanady? Nie, gdyż Kanada jest angielska, a Anglia, tak pobożna, a przecież tak grzeszna, również : nie cierpi wieloleźstwa! Na wschód, albo na zachód, a więc przez ocean? — Także nie! A zatem na południe! Tam leży Meksyk ze swoimi olbrzymi rozłogami, ugór, który czeka na kulturę; ustawy Meksyku nie wspominają o wieloleźstwie; nie jest więc zakazane, czyli jest dozwolone! — Gdy rządy Meksyku dostaną się na czas dłuższy w silne ręce, rozszerzy się on daleko na południe — i zostanie wielkim, środkowo amerykańskim, światowym mocarstwem, które nie ścierpi żadnej ingerencji ze strony Stanów Zjednoczonych. Tutaj jest miejsce dla nas, tutaj będą rozsiane siedziby naszych potomków, którzy się rozmnożą, jak piasek w oceanie! Musimy więc zawczasu stanąć w tej okolicy silną stopą i dlatego wysuwamy naprzód macki, żeby wybadać w jakich się znajdziemy stosunkach! Potrzeba nam hacjendy! Posiadłość ta opływa w bogactwa i tak dogodnie leży nam na drodze! Nie wolno jej ominąć, a skoro właściciel nie chce sprzedać dobrowolnie, zmusimy go do tego! To pierwszy krok nasz poza granicę; jeśli się uda — trumnice pójdą za nami inni bracia!

To był po prostu wykład o zamiarach, nadziejach i widokach mormonów na przyszłość! Obydwaj Wellerowie chcieli zmusić hacjendera do sprzedaży! — W jaki sposób? Jak się zdawało z pomocą Indian! Według słów starego Wellera posiadłość miano pozbawić wartości, a hacjendera doprowadzić do bankructwa. Chodziło tu najprawdopodobniej o napad, po którym nastąpi zniszczenie pięknego osiedla. Nie miałem czasu zajmować się dłużej tą myślą, gdyż Weller mówił dalej:

— Więc kości są już rzucone, a ciąg dalszy nastąpi! Wszystko składało się dobrze i byłoby poszło jak z płatka, gdyby nie wlaź nam w drogę ten przekłety Niemiec! Po prostu nie chce się wierzyć, a jednak ten jeden człowiek może zniszczyć cały nasz plan! Któż by pomyślał, że ten Old Shatterhand...

— Czy to rzeczywiście Old Shatterhand? — przerwał syn — to należałoby jeszcze udowodnić. Możemy się mylić!

— O pomyłce nie ma już mowy! Dowodów dostarczył wczoraj, gdyż sam przyznał, że jest Old Shatterhandem. Pomyśl, przyszło do walki między nim a Meltonem!

— Do stu piorunów! Jak mógł Melton do tego dopuścić! Powinien przecież powiedzieć sobie, że nie może się absolutnie z nim mierzyć skoro uważa go za Old Shatterhanda. Cóż więc doprowadziło go do otwarcia kart?

— Nie była to nieostrożność! Myślę, że ja na jego miejscu postąpiłbym tak samo. Niemiec przejrzał znaczną część naszych zamiarów. Odegrał komedię z koniem, aby dostać się do Ures. Co się potem stało, to wiesz! Uwolnił troje Mimbrenjów, których napadliśmy; zastrzelił przy tym syna *Vete-Ya!* Następnie pojechał do hacjendy ażeby ostrzec właściciela; mówił mu o napadzie Yuma na posiadłość i zarzucał Meltonowi oszustwo.

— To rzeczywiście niebezpieczny ptaszek! Dalej, dalej!

— Na szczęście hacjendero wyśmiał się z tego! Wiesz, że skoro Melton raz postanowił zdobyć sobie czyjeś zaufanie, to skutek pewny jak amen! Tak więc ten głupi Timoteo Pruchillo nie dał zachwiać swego dobrego zdania o Meltonie i powiedział Niemcowi po prostu, żeby hacjendę opuścił.

— Czy usłuchał?

— Tak! Chciał właśnie odejść, gdy Melton nadjechał. Ten zatrzymał go jeszcze na chwilę, poszedł do hacjendera i dowiedział się od niego słowo w słowo, co mówił Shatterhand. Należało działać! Drab musiał zniknąć! A więc Melton towarzyszył mu kawałek drogi, po czym, pożegnawszy się z nim wyprzedził go potajemnie, ażeby ukryć się w krzakach i wpaść mu kulę w łeb. Tymczasem skoro przyszedł na obrane miejsce zastał tam Old Shatterhand na czatach!

— Niemożliwe!

— Tak; i tam doszło do walki, w której ten łotr wykręcił Meltonowi obję ręce w przegubach! Naturalnie przez dłuższy czas nie będzie mógł włączyć broni.

— To okropne! O czymś podobnym jeszcze nikt nie słyszał! — Ale poza tym Meltonowi nic się nie stało?

— Nic! Drab puścił go, ostrzegając, że porzuci wprawdzie okolicę, ale ma niewzruszony zamiar powrócić!

— Dokąd mógł odjechać?

— W każdym razie do Mimbrenjów, żeby przyprowadzić ich na pomoc przeciw naszym Yuma.

— Niech go diabeł porwie! Jeśli ma rzeczywiście taki zamiar i jeśli go w czyn wprowadzi, nasz plan można uważać za stracony!

— Nie tak pochopnie! Czy musimy czekać, aż przybędzie ze swoimi Indianami? Uważa się za najrozumnie szego człowieka pod słońcem, a przecież tak głupio postąpił, wyjawiając, że zna nasze plany. Ja na jego miejscu byłbym zdmuchnął Meltona. Miał do tego najzupełniejsze prawo, a teraz, chociaż Melton nie może osobiście brać udziału w walce, to przecież bezwładne ręce nie przeszkodzą mu w wydawaniu rozkazów i objęciu dowództwa!

— O walce nie będzie prawdopodobnie mowy! Poczciwym emigrantom, którzy tak pięknie weszli w naszą pułapkę nie przyjdzie nawet do głowy bronić się, zwłaszcza, gdy zobaczą, że ich życiu nic nie grozi! A gdyby tych kilku pastuchów z hacjendy chciało stawić opór, to zdmuchnie się ich w oka mgnieniu. — Ale pospieszyc się musimy!

— To samo właśnie myślę i Melton zgadza się ze mną! Nie możemy czekać tak długo jak pierwotnie zamierzaliśmy; musimy akcję rozpocząć jak najprędzej. Jednego dnia napad, drugiego ugoda z hacjenderem, trzeciego jazda do Ures, ażeby zawrzeć prawny kontrakt kupna. Wtedy może przyjść ten wybawca ze swoimi Mimbrenjami; nie będzie nam mógł nic zrobić i zostanie wyśmiany!

— Należy więc oznaczyć czas i godzinę. Czy mam donieść wodzowi coś dokładnego?

— Nie; bez niego nie możemy nic postanowić. Rozmówię się z nim sam i razem zdecydujemy o terminie napadu. Powiedz mu zatem, że jutro na krótko przed zmierzchem przyjdę do obozu.

— Czy możesz oddalić się od hacjendy nie zwracając niczyjej uwagi?

— Co tam! Wyjeżdżam na polowanie; są zresztą jeszcze inne preteksty.

— A skoro nie wrócisz tego samego wieczora?

— To powiem następnego dnia, że zbłądziłem i byłem zmuszony nocować w lesie. Daleko prędzej może kogo zadziwić, że się teraz oddaliłem. Dlatego chciałbym już wracać. — Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

— Nie!

— Jesteśmy więc gotowi. Dobranoc mój chłopcze!

— Dobranoc ojczec. Życz Meltonowi ode mnie rychłego powrotu do sił.

Po tych słowach rozeszli się. Ojciec ruszył w górę strumienia ku hacjendzie, syn wzdłuż jeziora do swojego konia. Ja również wyszedłem z wody i zabrawszy rzeczy zwróciłem się w tę samą stronę co młody Weller, ażeby powiedzieć swojemu towarzyszowi, iż szczęście mi sprzyjało i muszę się teraz udać do hacjendy.

Chodziło zatem rzeczywiście o napad indiański. Zamierzano przeprowadzić go później, a dziś z mojego powodu postanowiono przyspieszyć. Trzeba więc było ostrzec moich ziomeków, chociaż z tego co słyszałem wynikało, że nie zawisła nad nimi śmierć.

Tego właśnie nie rozumiałem! Dlaczego, jak się wyraził Weller życiu ich nic nie groziło? Dlaczego mieli zostać „zdmuchnięci” tylko pasterze w razie, gdyby się bronili? — Był to ciemny punkt, którego nie rozumiałem i nie mogłem wyjaśnić, pomimo, że wyteżałem całą bystrość umysłu, na jaką stać mnie było.

Rozstawszy się z Indianinem poszedłem znowu w górę strumienia, ku hacjendzie, unikając wszelkiego szmeru, ażeby przypadkiem nie spostrzegł mnie żaden z pasterzy. Nie było bowiem jeszcze bardzo późno. Miałem zatem nadzieję, że zastanę jeszcze bramę otwartą. W tym wypadku nie byłoby mi trudno widzieć się z Herkulesem. Do nikogo innego zwracać się nie miałem ochoty. Herkules znał już poniekąd moje zapatrywania i chociaż nie mogłem mu wyjawić wszystkiego, to przecież uważałem go za pewniejszego od innych, a co najważniejsze, byłem przekonany, że się nie wygada przed nikim.

Niestety bramę zastałem zamkniętą. Poza murami znajdowali się tylko pasterze, do których nie mogłem zwrócić się o pomoc; musiałem sam sobie dać radę! Prowadziła tam jedna, jedyna droga, mianowicie strumień, który jak wiadomo przepływał przez podwórze hacjendy, przechodząc pod murami pomocnym i południowym. Zaskodzić mi woda nie mogła; byłem już przecież do nitki przemoknięty, co zresztą sprawiało mi ulgę po całodziennej spiekocie.

Zawróciłem do miejsca, gdzie strumień zataczał łuk na polanę i pogрузyłem się w wodzie. Obeszło się nawet bez przepływania pod murem, przejście bowiem było tak wygodne, że wystarczyło drobne skłonienie głowy i wnet znalazłem się w obwodzie hacjendy, ciągle jednak stojąc w potoku.

Po drugiej stronie muru było widno jak w dzień. Przy ogniskach emigranci przyrządzali kolację. Na sznurach przecigniętych przez żerdzie, suszyły się połcie mięsa. Zarżnięto, jak skonstatowałem, większą ilość bydła i wieprzy, by przygotować potrzebny zapas żywności. Zbyt silne światło nie sprzyjało moim zamiarom, choć tylko dzięki niemu mogłem od razu znaleźć Herkulesa. Jak zwykle stronił od reszty robotników i spacerował znacznie ode mnie oddalony z cygarem w ustach. Niepodobna było zbliżyć się teraz do niego; musiałem więc uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Wychodźcom dopisywał humor, zaczęli głośno i wesoło śpiewać. Jakub Silbermann pomagał im również z całego gardła. Atoli córki jego Judyty nie było na podwórzu.

Nawet śpiew nie pociągał naszego Goliata, oddalił się jeszcze bardziej, a więc zbliżył do mnie. Ruchy szybkie i nieregularne nadawały mu wygląd człowieka o zszarpanych nerwach. Czyżby znowu denerwowało go postępowanie Judyty? Hacjendera nie było widać, Meltona i Wellera juniora również. Tylko pękaty sennor Adolfo przechodził od czasu do czasu przez podwórze. — Herkules zmienił wreszcie kierunek przechadzki; zbliżył się do strumienia i stanął nad wodą oddalony ode mnie już tylko o jakieś piętnaście kroków. Teraz nastąpiła chwila działania; siłacza wielka przestrzeń dzieliła od towarzyszy, więc nie obawiałem się, że zaskoczony moją niespodziewaną obecnością zdradzi mnie niechcący. Zawołałem na niego półgłosem po imieniu. Drgnął, lecz widocznie nie dowierzał sobie, gdyż głowy nie odwracał, pewien, że jest sam. Znowu wymieniłem jego imię przyłączywszy wszy swoje i wyszeptalem:

— Nie bój się pan! Stoję tutaj w wodzie i czatuję, aby pomówić z wami. Chodźcie prędzej!

Ociągając się posłuchał mojego wezwania. Głos dochodzący z fal, przstraszył go. Wyprostowałem się, ażeby blask ogniska padł na twarz moją. Poznał mnie i rzekł naturalnie szeptem:

— Czy to doprawdy pan? Czy to możliwe? Albo zamieniłeś się w rusałkę, albo też łowisz ryby w mętnej wodzie?

— Ani jedno, ani drugie! Siadaj pan na trawie! Stać nie możesz; zwróciłoby to uwagę!

Herkules usiadł i rzekł:

— Ma pan prawdopodobnie doniosłe powody, aby się skradać potajemnie. Gdyby pana zobaczono, nie chciałbym siedzieć w pańskiej skórce, a to z powodu Meltona.

— Jak to?

— Napadłeś pan go przecież z ukrycia i obrabowałeś. Zabrano mu pieniądze i broń. Tylko z trudem zdołał uciec; w drodze spotkało go nowe nieszczęście: wskutek ciemności runął z koniem i złamał rękę.

— Ach, tak!

— Tak, tak! A w dodatku skradł pan konie!

— To prawda; przyznaję, chociaż nie ja właściwie to uczyniłem. Namówiłem tylko do tej kradzieży!

— Pyszny z pana jegomość! Ale żarty na bok — gdzie się pan podziewał cały czas i co się stało z posadą buchaltera?

— Nie dostałem jej, bo nie chciałem przyjąć; a podziewanie się, — byłem tam, gdzie prawdopodobnie włóczyć się będę jeszcze przez dłuższy czas, mianowicie w okolicach hacjendy.

— Po co? W jakim celu? Czy ciągle dręczą pana podejrzania?

— Moja nieufność okazała się uzasadniona. Hacjenda zostanie napadnięta przez Indian.

— Proszę bardzo! Już ja ich przyjmę! Widzę tych czerwonoskórych pod moimi pięściami!

— Niech pan tego tak nie lekceważy! Mówię poważnie! Czy nie przybył tu niejaki Weller?

— Tak! Przybył dzisiaj po południu.

— W jakim celu?

— Hm! Słyszałem, że chce kupić hacjendę. Ale don Timoteo ani myśli jej sprzedać!

— Czy ci dwaj znali się dawniej?

— Myślę, że nie!

— Czy nie widział pan Meltona razem z Wellerem?

— Nie, z bardzo prostego powodu. Melton w ogóle się nie pokazuje. Podobno leży w łóżku, gdyż ma gorączkę. Niech ją diabli porwą!

— Co takiego? Tylko gorączkę, a chorego nie?

— Właściwie mogliby jego również porwać! Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby i pana zabrali!

— Jestem mocno zobowiązany! Co złego panu wyrządziłem, że obdarzasz mnie tak pobożnym życzeniem?

— Pyta pan o to jeszcze? Pękam prawie z wściekłości, a ten pyta mnie spokojnie, co mi zrobi! Czy wie pan gdzie jest Judyta?!

— Nie! Skąd mogę wiedzieć! A dlaczego pan o to pyta? Czy jej tu nie ma?

— Nie ma jej?! — Ależ jest, nawet za bardzo!

— Nie rozumiem ani słowa; mów pan jaśniej! Gdzie jest i co robi?

— Gdzie jest...? — zgrzytnął. — Tam, u Meltona! — Co robi? — Pielęguje go! — Co się z nią w ogóle stało? — W ogóle już... krzyżyk! — Pomyśl pan, ona jest pielęgniarką! Tego łajdaka!!!

— Dlaczegoż nie? Czy nie nadaje się na samarytanę?

— Nadaje się w ogóle do wszystkiego, a najbardziej do tego, by zawracać mężczyznom głowy! Zawracać do szaleństwa!

— To i pan prawdopodobnie oszalał?

— I obawiam się, że w szaleństwie zrobię coś, czego się nie robi tak łatwo! — Mianowicie ukręcę Meltonowi ten czarny łeb!

— Lękam się, że z kolei pójdzie precz pański!

— A niech tam! Swój własny dawno już zatracilem. — Widzisz pan, że mam słuszne powody do urazy! Gdybyś pozostawił pan Meltona w spokoju nie zachorowałby i nie potrzebowałby pielęgniarki!

— Czy mogę odpowiadać za to, że ta Żydówka ma dobre serce? Po cóż ofiarowała swe usługi?

— Na złość mnie! A ojciec pozwolił jej na to, aby przypodobać się Meltonowi! Chciałbym, żeby pańscy Indianie istnieli w rzeczywistości! Bodajby już raz przyszli i wycięli w pień tę całą hołotę!

— Wraz z panem! Czyż nie prawda? Zresztą nie powinien się pan obawiać, bo to humanitarne życzenie spełni się wkrótce. Indianie przybędą, są już nawet niedaleko!

— Żartuje pan?!

— Nie! Widziałem i obserwowałem ich. Z nimi jest nasz były steward.

— Do licha! Miał pan rację wtedy! Naturalnie. Posłuchajże pan!

Opowiedziałem mu o wszystkim, co widziałem i słyszałem, a właściwie tylko tyle, ile uważałem za stosowne. Z satysfakcją zauważyłem, że jego wątpliwości znikły. Począł całą sprawę brać na serio i rzekł, gdy skończyłem:

— Dziwny człowiek! — myślałem pierwotnie, że przyroda uposażyła pana w nadmierną fantazję, dzięki której roją się panu smoki i inne bestie apokalipsy, a w najlepszym razie mucha wyrasta na słońca! Teraz jednak muszę zmienić zdanie, gdyż przekonałem się, że myślisz i działasz pan logicznie, a nawet planowo. Wszystko co mam na świecie, moje pięści, są od dziś na pańskie rozkazy!

— Dobrze! Przydadzą mi się! Myśleć będę za wszystkich, lecz, gdy przyjdzie do czynu, liczę i na pana!

— Tak! Licz pan na mnie! A teraz co mam robić?

— Teraz — zupełnie nic!

— Nic? Czy towarzyszą mi powieści, co ich oczekuje?

— Nie. Wszystko, co opowiedziałem musi pozostać w tajemnicy. Jeśli ktoś to zdradzi, zmieniliby mormon swój plan i zabiegi nasze poszłyby na marne. Teraz sądzi, że jestem gdzieś z dala od hacjendy i czuje się bezpiecznie. Jedno tylko ma pan zadanie — zważać baczenie nawet na lada drobnostki w hacjendzie, Wszystko, co będzie miało jakiś związek z naszą sprawą, zda mi pan natychmiast!

— Ale gdzie? Przecież nie może pan przybyć tutaj otwarcie.

— Przyjdzie pan wieczorem, przed północą do tego strumienia i przechadzać się będzie kilkakrotnie tam i z powrotem. Będę czekał w tym samym miejscu jeśli zechcę z panem rozmawiać!

— A jeśli pan będzie mógł przyjść dopiero po północy? Śpimy tam w barakach przy koszarach, gdzie jeden przy drugim leży tak gęsto, że nie można wejść po ciemku nie potraciwszy przy tym z pół tuzina nóg. Trzeba więc będzie wynaleźć jakiś powód, by mi pozwolono spać na otwartym powietrzu. Nie wiem jeszcze gdzie, lecz postaram się, abyś mógł mnie pan z łatwością znaleźć!

— Pięknie! Więc palec na ustach. Zawiadomię pańskich ziomków, gdy nadejdzie pora ku temu. Teraz musimy być ostrożni.

— Bądź pan więc również ostrożny i nie kradnij koni. Zaraz wpadliby na myśl, że się jeszcze wałęsasz po okolicy. Poza tym takie środki uważam w najwyższym stopniu za niemoralne!

Uśmiechnął się z lekka. Odparłem również żartobliwie:

— Bardzo mi więc przykro, że pański brak moralności jest nie mniejszy od mojego. Ukradniesz również!

— Nigdy!

— Doprawdy? A jednak ukradniesz pan mięso i to jeszcze dziś.

— Ach, rozumiem! Dla kogo?

— Dla mnie i mego małego Indianina. Nie mam czasu na polowanie, a zresztą zdradziłyby mnie strzały; a jeść niestety muszę! U was zarżnięto dzisiaj dość bydła, aby i dla nas znalazł się jakiś kąsek. Tam oto wisi mięso na sznurach. Jeśli...

— Głowę masz nie tylko do kapelusza, to ściągniesz dla mnie kawałek, — przerwał mi; — nieprawdaż, to właśnie chciał pan powiedzieć?

— Tak jest! Muszę obserwować Indian Yuma, a więc powinienem być zawsze w ich pobliżu; uniemożliwi mi to jednak polowanie. Idź więc pan i postaraj się o tyle prowiantu, ile tylko będziesz mógł niepostrzeżenie unieść!

Wstał i poszedł z wolna jakby się dalej przechadzał. Przystanął w najciemniejszym miejscu podwórza, gdzie wisało mięso. Obserwowałem go, a jednak nic nie mogłem zauważyć. Dopiero po chwili, gdy już powracał, spostrzegłem, że dźwiga kilka skrawów mięsa. Słowa nie wyrzekłszy, rzucił je na brzeg potoku. Potem zawrócił do ogniska i przyniósł trochę czekolady.

Ponieważ nie mieliśmy już nic ważnego do omówienia, pożegnaliśmy się i ruszyłem w drogę powrotną, unosząc ze dwadzieścia funtów żywności; zapas powinien był wystarczyć najmniej na cztery dni. Mogliśmy więc przez cały ten czas śledzić bezustannie Indian. Zależało mi bardzo na tym, by stanąć u obozu indiańskiego przed wschodem słońca. Dlatego też podążyliśmy natychmiast przez boczny wąwóz.

Gdyśmy dotarli do obozu szarzał poranek. Naprzód poszukaliśmy odpowiedniego ukrycia dla koni. Musiało być obszerniejsze od wczorajszego i dostarczać większej ilości paszy. Znalazłszy niebawem odpowiedni zakątek, przywiązaliśmy wierzchowce do drzew. Mimbrenjo ułożył się do spoczynku, a ja zająłem wczorajszy posterunek, gdzie pozostałem aż do południa. Nie spostrzegłem nic godnego uwagi, stwierdziłem tylko, że młody Weller znowu znajdował się w obozie.

Po południu uczułem znużenie; powinienem był również nieco wypocząć i pokrzepić się snem. Wróciwszy do naszej kryjówki dałem mojemu młodemu towarzyszkowi potrzebne wskazówki. Oddalił się, a ja leżałem w trawie. Dla wygody opróżniłem wszystkie kieszenie; pas z zatkniętą za nim bronią położyłem obok na trawie. Zmrużyłem powieki i po chwili zapadłem w głęboki sen, na który po wysiłkach długiego dnia rzetelnie zasłużyłem.

Wtem... przeraźliwy krzyk, krzyk ścinający krew w żyłach spędził mi sen z powiek! Skoczyłem na równe nogi. Krzyk się powtórzył; słyszałem triumfalne wycie wojownika indiańskiego. Po nim nowy krzyk, lecz już nie radosny ryk dzikiego lecz błagalny jęk, wzywający pomocy! Pochodził ze strony w której czuwał Mimbrenjo!

Zawisło nad nim niebezpieczeństwo! — Nie tracąc ani sekundy nawet na podniesienie broni, pobiegłem jak strzała w kierunku skąd rozległ się krzyk. Gdy tam dotarłem, nie było już nikogo. Usłyszałem tylko odgłos walki, która prawdopodobnie toczyła się na trawie i w krzakach. Widocznie nieostrożny chłopiec nie pozostał na wyznaczonym miejscu, lecz odważył się na szaleńczy czyn dotarcia do samego obozu. Naturalnie spostrzeżono go i napadnięto. — Musiałem ratować syna przyjaciela, w przeciwnym razie czekała go okrutna śmierć! Dlatego skoczyłem bez namysłu do kotliny;... wtem... zaczępiłem ostrogami o korzeń, straciłem równowagę i runąłem jak kłoda! Zanim zdążyłem się podnieść, rozległ się w około szelest rozsuwanych krzaków i... pięciu, sześciu, piętnastu czerwonych mnie opadło. Próbowałem się bronić, lecz nie mogłem oswobodzić nogi, oplataną korzeniami. To mnie zgubiło! Gdybym zdołał rozluźnić przeklętą ostrogę może bym się przebił. Korzeń jednak trzymał mnie mocno, aby wydać w ręce wroga! Naturalnie broniłem się co sił używając jedynie pięści, gdyż strzelby zostawiłem w kryjówce; przewaga była po stronie Indian i musiałem w końcu ulec! Skrępowano mnie mocno rzemieniami.

Teraz przybyli inni czerwoni i oglądali mnie z zadowoleniem. Jeden z nich zawołał, pomalowaną twarz wykrzywając w grymas radości:

— Tave szala! Old Shatterhand!

— Tave szala, tave szala, zabrzmiało w około; z ust do ust szła ta radosna wiadomość, póki echo nie odbiło triumfalnych okrzyków o zbocza doliny. Indian opanował bezgraniczny szaf. Ryczeli i wrzeszczeli bez wytchnienia; potrzęsali mi nad głową strzelbami i tomahawkami; bardziej zagorzali rozpoczęli nawet dookoła tan wojenny. Przybiegli wszyscy z wyjątkiem dwóch, wodza i młodego Wellera. Pierwszy był zbyt dumny, by oglądać mnie, kiedy dostałem się w jego ręce. Drugi zapewne nie posiadał się z radości, pozostał jednak przy wodzu. Wreszcie rozluźniono mi więzy na nogach o tyle, abym mógł stąpać drobnym krokiem; zaprowadzono mnie do obozu, gdzie zobaczyłem obydwu — wodza i Wellera — siedzących przed namiotem.

Zastrzeliłem Wielkim Ustom syna; oczekiwała mnie więc śmierć męczeńska, lecz w tej chwili nie obchodziło mnie to zupełnie; myślałem o młodym Mimbrenjo i cieszyłem się z tego, że go tu nie ma. Prawdopodobnie zdołał zbiec. Szczęśliwym trafem zdjąłem poprzednio wszystko, nawet kamizelkę, w której nosiłem zegarek. W kieszeni pozostał co prawda worek z pieniędzmi, ale było ich tak mało, że z łatwością mogłem się ze stratą pogodzić.

Groziło mi niebezpieczeństwo i to dość duże, chwilowo jednak nie zawisło jeszcze nad moją głową. Indianie bowiem, jak wiadomo, wziętym do niewoli wrogom, śmierć zadawali przy palu męczeńskim. Nader rzadko jednak odbywa się ta procedura w obozie, zwykle wloką jeńców do swoich siedzib, by członkowie całego szczepu mogli wziąć udział w akcji zemsty. Okoliczność ta jest dość pomyślna dla jeńców, bo zwłoka może posłużyć do ucieczki, naturalnie jeśli są na to dość przebiegli. Bądź co bądź lepsza mitręga niż śmierć natychmiastowa od kuli!

Byłem mordercą Małych Ust; groziła mi okrutna i powolna śmierć; przy mękach moich jednak musiał być obecny cały szczep. Na razie więc nie obawiałem się o życie. Wiedziałem również, że czerwoni chwilowo oszczędzą mi udreki, abym mógł wytrzymać długą i uciążliwą jazdę do obozu rodzinnego Yuma. Podróż na tamten świat oczekiwała mnie w niedalekiej przyszłości; zostało jednak dość czasu na przysposobienie się do niej.

Zaprowadzono mnie przed oblicze wodza; w twarzy jego mogłem wyczytać wyraz śmiertelnej nienawiści i nieubłaganego głodu zemsty.

Plunął na mnie, prześwidrował na wskroś ponurym, kłującym wzrokiem nie mówiąc jednak ani słowa. Za to Weller odezwał się z ironią:

— *Welcome, sir!* Rad jestem, że widzę was znowu. W tak krótkim czasie, gdy niestety, nie było mi dane zaofiarować wam swych usług, przeobraziliście się w Old Shatterhanda, aby za wszelką cenę nam bruździć. Teraz unieszkodliwiono was i jestem ciekaw, co uczynicie, żeby ocalić swoje sławne imię i w jaki sposób wywiniecie się od pala męczeńskiego, który was czeka!

Nie wpadło mi nawet na myśl odpowiadać temu człowiekowi, chociaż chętnie bym mu wyjaśnił przez wzgląd na szyderstwa, którymi mnie obsypał, że stawki swojej nie uważam wcale za straconą. Niejednokrotnie zostałem już pojmany przez północnych Siouksów, południowych Komanczów, przez Kruków i Wężów; zawsze jednak udawało mi się wydostać z opałów. Wojownicy Yuma ustępują pod względem odwagi i chytrności szczepom północnym, musiałbym więc mieć po prostu szalonego pecha, gdybym zginąć miał w tej opresji. Harry Melton, święty dnia ostatniego, był daleko niebezpieczniejszy niż ci mizerni czerwonoskórzy. Gdyby wpadło mu na myśl zażądać mojego wydania i czerwoni zgodzili się na to, byłbym bezpowrotnie stracony! Sądziłem jednak, że wódz nie zechce oddać zdobyczy; wszak miał ze mną krwawy porachunek! Co się tyczy młodego Wellera, ten był dla mnie kompletnym zerem. Przemowa jego brzmiała bezczelnie i śmiesznie zarazem; wyczuł to nawet Wielkie Usta i skarcił tonem, którego nie można było nazwać wersalskim.

— Milcz! Twoja mowa jest jak kłos bez ziaren i jak woda bez ryb. Ciebie się jeniec złęknie! Trzeba stu takich ramion i oczu jak twoje, by go móc zatrzymać. Ale zbiec mu się nie uda, będzie wisiał tygodniami na palu męczeńskim, bo zamordował mi syna! Powiedziałem Howgh!

Weller mówił po angielski i zdziwiło mnie bardzo, że Wielkie Usta zrozumiał go, a nawet odpowiedział mieszaniną słów angielskich, hiszpańskich i indyjskich używanych nad Rio Grandę i Rio Pecos. — Następnie zwrócił się do swych ludzi, którzy otoczyli nas półkolem:

— Czy to Old Shatterhand podkraść się tak blisko naszego obozu?

— Nie! — odpowiedział jeden z wojowników.

— Jak to? Któż więc to uczynił?

— Indianin, młody chłopiec, nie mający zapewne jeszcze imienia!

— Opiszcie mi jego wygląd.

Czerwony określił mego młodego towarzysza.

— Uff! — zawołał wódz. — To jeden z młodych Mimbrenjów, którzy uciekli nam, gdy nadszedł Old Shatterhand. Musi również zginąć na palu! Przyprawdźcie go!

— Nie możemy, nie udało się nam go schwytać, — odpowiedział czerwony półgębkiem.

— Co?! — zapytał Wielkie Usta z gniewnym zdziwieniem. — Jesteście dorosłymi mężczyznami, zwiecie się wojownikami, liczebna przewaga była po waszej stronie, a szczenię tak młode i mdłe, że nawet imienia nie nosi, wyprowadziło was w pole?! Czy mam temu wierzyć?

Czerwony opuścił oczy ku ziemi i nie odpowiedział. Reszta stała w zakłopotaniu, milcząc również. Wódz ciągnął dalej:

— Uff! A więc to prawda! Stare squaw wyśmieją was, a dzieci będą wytykać palcami! Pomyślcie o drwinach wszystkich szczepów kiedy dowiedzą się o tym, że tylu wojowników Yuma nie było w stanie zatrzymać marnego Mimbrenja! Wszak to ten sam chłopiec, który poprzednio towarzyszył Old Shatterhandowi, a którego zmuszony byłem puścić wolno. Prawdopodobnie i brat jego i siostra, żona wodza Opatów są w pobliżu. Natychmiast ruszycie na poszukiwanie! Przetrząście cały las trzech, albo czterech wojowników wystarczy do pilnowania obozu!

Wyzначył wartę, reszta oddaliła się, aby wypełnić rozkaz. Weller naturalnie pozostał. Sądziłem, że teraz wódz rozpocznie rodzaj przesłuchania, lecz nic podobnego nie nastąpiło. Kazał mnie jeszcze mocniej skrepować i przywiązać do pała, ale od czasu do czasu spoglądał ku mnie po kryjomu.

Teraz nastąpiło dla mnie przykre, pełne niepokoju oczekiwanie. Można było postawić sto przeciw jednemu, że Mimbreja zostanie schwytany. Było ich tylu, tych psów gończych, że nie miałem nawet najmniejszej nadziei, aby niedoświadczonemu chłopcu udało się ukryć. Schwytanie jego pociągnęłoby niestety stratę moich nieocenionych strzelb, jedyną stratę, którą w tych okolicznościach gotów byłem uważać za niepowetowaną. Po pewnym czasie głośne krzyki objaśniły mi, że znaleziono ślad chłopca. Odgłosy rozlegały się w coraz większej odległości; Mimbreja ścigano. Upłynęło wiele czasu, więcej niż godzina. Powrócił wreszcie liczny oddział czerwonych. Ogarnęła mnie radość ogromna, Mimbrenja z nimi nie było! Wódz zawołał gniewnie:

— Nie sprowadziliście ich?! Czyście oślepli, że nie możecie zobaczyć tropu trojga ludzi?!

— Wojownicy Yuma nie są ślepi, — odparł jeden z czerwonych. — Znaleźliśmy ślady chłopca.

— Tak, ale jego samego nie umieliście schwytać. Gdzie jest ten pies?

— Zobaczysz go wkrótce. Trop szedł przez cały las a stamtąd na równinę.

— W jakim kierunku?

— Na południe.

— Upłynęło niewiele czasu i nie mógł was bardzo wyprzedzić! Czyście go widzieli, gdy uciekał przed wami?

— Chłopiec jest niepokąźny; postać jego niknie nawet w niedalekiej odległości. Za to siady były bardzo wyraźne i doprowadzą nas wkrótce do niego. Kilku wojowników wystarczy do schwytania młokosa, dlatego powróciliśmy.

Wódz odwrócił się w milczeniu i usiadł oczekując wiadomości. Wściekłość nim targała, starał się jednak opanować, rozumiejąc, że gniewne słowa nie mogą odmienić sytuacji, ani przyspieszyć rezultatu pościgu. Co do mnie, to moja nadzieja wzrastała z każdą chwilą, gdyż postępowanie chłopca było tak zręczne, że ja sam nie spisałbym się lepiej. Zostawił bowiem konie, strzelby i resztę przedmiotów na miejscu, a sam pobiegł spieszenie brzegiem lasu na równinę. W ten sposób zwrócił prześladowców na siebie odciągając ich od naszej kryjówki. Okazał również rozagę w wyborze kierunku, gdyż na południu teren skalisty nastęczał mnóstwo schronień, a ślady łatwiej się zacierały.

Minęło już południe i zapadł wieczór. Indianie zapalili kilka ognisk, by przygotować posiłek. Wódz ciągle jeszcze siedział na miejscu i milczał. Wszystko w nim wrzało. Weller poszedł na spacer do lasu, aby rozerwać się nieco. Teraz powrócił. Wódz zapytał go tonem, w którym przebijał zły humor:

— Gdzie podziewałeś się tak długo, czyś zapomniał, że już czas sprowadzić twego ojca!

Weller oddał się bez słowa; za niedługo powróciła reszta prześladowców z pustymi rękami. Gdy wódz zmiarkował, że Mimbrenja z nimi nie było, skoczył jak tygrys, schwycił jednego z wojowników, idących przedtem za ramię i począł trząść nim jak osiną:

— I wy wracacie z niczym? Jesteście robakami smrodnymi, które żrą brud i grzebią pod ziemią, a nie widzą tego co dzieje się na wierzchu. Odeślę was do domu, będziecie tam mogli włożyć spódnice i łatać namioty, co czyniły dotychczas tylko stare squaw, z których nie ma innego pożytku.

Była to największa obraza jaka mogła ich spotkać. Obelgą przekroczył granicę swej władzy. Wódz indiański nie posiada bowiem większej władzy ponad tą, jaką mu nadał szczep, a właściwie rada starszych. Władza w każdej chwili może mu być odebrana. Gdyby okazał się niegodnym doznanego zaszczytu, lub przekroczył granicę swych uprawnień mogą natychmiast go pozbawić godności, a wtedy pozostaje na równi z innymi, członkiem plemienia, zwykłym wojownikiem. Czerwony, którego wódz obrzucił obelgami, wyrwał się naprzód i odpowiedział w strofującym tonie:

— Kto ci pozwolił poczynać sobie ze mną w taki sposób, lżyć i urągać?! Jeśli nie wypełniłem swoich obowiązków niech zbiją się starsi mojego szczepu na sąd, którego uchwałom poddam się bez szemrania; lecz kto mnie obraca, ten musi wyjąć swój nóż i walczyć ze mną na śmierć i życie! Niech Wielkie Usta rozważy, że mnie obrażając, upokorzył wszystkich wojowników, którzy byli ze mną.

Ci, o których wspomniał, przytaknęli jednogłośnie pomrukiem. Wódz spostrzegł, że przeholował w gniewie, więc rzekł pojednawczo:

— Niech mój brat uzna, że nie wypowiedziałem słów, które usłyszał; gniew mówił przez moje usta!

— Mężczyzna powinien miarkować swoje dąsy, lecz zgadzam się zapomnieć o twoich słowach! Wiem, że gdybyś sam udał się na poszukiwania chłopca też nic nie wskórałbyś!

— Ale nogi dziecka są przecież krótsze od nóg dorosłych ludzi. Nie rozumiem, dlaczego nie doścignęliście tego malca?!

— Biegliśmy co tchu w piersiach, a nie dojrzelismy go nawet! Znacznie nas wyprzedził! Potem ślady jego znikły na skalistym gruncie.

— Czy spostrzeegliście trop tylko jeden?

— Tylko jeden!

— W takim razie siostry, ani brata nie było już przy nim! Tylko Old Shatterhand mu towarzyszył; musi nam udzielić informacji!

Przystąpił do mnie i przemówił po raz pierwszy.

— W jaki sposób przybyłeś tutaj z chłopcem? Piesz czy konno?

— Dlaczego pytasz o to? — odpowiedziałem. — Zwiesz się wodzem, a żądasz wyjaśnień tam, gdzie nawet rozum dziecka wykryje prawdę! Udaj się o pomoc do swojego rozsądku, jeżeli miejsce przeznaczone nań nie jest doszczętnie puste w twojej głowie!

— Nie chcesz mi odpowiedzieć, psie! — ryknął.

— Szczekaj dowoli! Ode mnie się niczego nie dowiesz!

Wyraz szczekać rozsierdził go tak, że wyrwał nóż zza pasa; natychmiast się jednak pohamował. Nauka, udzielona mu poprzednio nie poszła w las; zatknął nóż z powrotem i rzekł, uraczywszy mnie kopniakiem:

— Milcz więc! Niedługo już poczniesz tak wyć i ryczeć, że usłyszą cię za górami!

— Na pewno nie z twojego powodu, tchórze, który porzuciłeś flintę i wzięłeś nogi za pas ze strachu przede mną!

— Milcz, bo zakłuję cię natychmiast!

— Zakłuj! Jeśli nawet zmusisz mnie do milczenia, wstyd twój i hańba będzie mówić za mnie! Strzelba twoja jest w rękach Mimbrenjów, wrogów twoich śmiertelnych. Jaką wielką sprawisz im uciechę, gdy się dowiedzą, że ty — wódz Yuma — porzuciłeś broń ze strachu i uciekaś jak płochy jelen! Drażniłem go umyślnie, by skłonić do mówienia. Nie chciałem dłużej czekać, wolałem dowiedzieć się natychmiast, czy zamierzają mnie zabić na miejscu, czy też odłożą to na później, gdy przybędą do rodzinnych wigwamów. Wódz rozwścieklił się tak, że podniósł rękę do ciosu; jednogłośny okrzyk ostrzegawczy wojowników zmusił go do opanowania swej porywczosci. Opuścił ramię i odpowiedział siląc się na ironiczny uśmiech:

— Rozumiem twój zamiar! Chcesz mnie rozdrażnić, bym cię zabił w gniewie, lecz zwdona to nadzieja! Teraz ci włos z głowy nie spadnie, gdyż musisz dojechać zdrów i cały do naszych wigwamów! Utyjesz, nabierzesz tłuszczu i siły, byś mógł wytrzymać przeznaczone ci męki! — Dajcie temu psu zarcia ile pomieści!

Rozkaz spełniono natychmiast. Jadło, składające się z mielonej fasoli warzonej na wodzie, było gotowe. Jakiś stary, brudny drab zamierzał mnie nakarmić, jak małe dziecko. Usiadł przy mnie z garnkiem pełnym zupy, zanurzył w niej rękę i chciał napchać mi kaszy do ust. Począłem się opierać; widząc to wódz rzekł:

— Ten pies jest za dumny, aby spożywać strawę czerwonych wojowników. Zwolnij mu jedną rękę i daj mięsa! Przyrzekłem, że nie zazna głodu; tym głośniej będzie później jęczał. Howgh!

Stary poszedł do namiotu służącego za spiżarnię i po chwili wrócił z dużym kawałem wołowiny. Odwiązano mi ramię; zjadłem z apetytem. Potem związano mnie znowu.

Właśnie gdy Indianie kończyli wieczerzę nadszedł z lasu stary Weller w towarzystwie syna. Przywitawszy się z wodzem podszedł ku mnie i rzekł na poły uprzejmie, na poły dobroduszenie, a w zupełności obłudnie:

— Dobry wieczór, sir! Jak szanowne zdroweczko, mister Shatterhand? Odwróciłem twarz i nie odpowiedziałem.

— Ach, dumny z was boy! Jestem widać dla was tak mizerną personą, że nie racycie odpowiedzieć na moje grzeczne pozdrowienie. Nauczycie się jeszcze u nas grzeczności! — Przedstawiam wam mojego syna; pyszny chłopak, poza tym doskonały aktor. W roli stewarda nawet i pana wyprowadził w pole! He?

Znów nie odpowiedziałem; stary ciągnął dalej:

— Ku niewymownej radości dowiedziałem się, jaki mieli połów czerwoni. Wsuwaliście nos, master, w sprawy, które was nie obchodzą; teraz musicie myśleć o własnym gardle; sam diabeł wam nie pomoże! Tak się właśnie dzieje z tymi, którzy nieproszeni ofiarują swe usługi w charakterze domorosłych adwokatów. Przegra pan proces i poniesie wszystkie koszty sądowe płacąc własną głową. — Smacznego!

Odwrócił się i poszedł do wodza, który obrał miejsce poza obrębem wigwamów, tak, że głos prowadzonej tam rozmowy nie dochodził do mnie. Syn poszedł za nim i wszyscy trzej zaczęli

debatować. Temat prawdopodobnie jak wnosiłem z gestów, był niebłahy. Po naradzie wstali i Wielkie Usta zawołał wojowników, by zaznajomić ich z decyzjami, powziętymi przed chwilą. Wellerowie, jakby mimowolnie, zbliżyli się do miejsca, na którym leżałem; słyszałem jak stary rzekł do syna:

— Teraz pójdę z powrotem, a ty pozostaniesz u Indian, którzy za niedługo wyruszą do hacjendy del Arroyo; macie kawał drogi; skoro jednak zaraz ruszycie, powinniście zdążyć przed wschodem słońca!

— Ale brama będzie zamknięta, — odpowiedział syn, a ja po tonacji poznałem, że idzie tylko o to bym ich słyszał.

— Nic nie szkodzi! Byłem na polowaniu, zbłądziłem; dlatego tak późno wracam i proszę majordomusa, ażeby mi otworzył.

— Ten wcale się nie zjawi. Mieszka w głównym budynku i nie usłyszy stukania!

— Usłyszają mnie wychodźcy i otworzą bramę! Co się was tyczy to znajdziecie już wrota otwarte!

— A cóż mamy począć jeśli jednak będą zamknięte?

— Dostaniecie się z łatwością wpław przez strumień, który przepływa pod murem na podwórzu. Co zaś do ciebie, to lepiej, żebyś się nie pokazywał z początku, gdyż się dowiedzą, że jesteś w zмовie z czerwonymi. Przyjdiesz dopiero po wszystkim!

Po wymienieniu jeszcze kilku uwag bez znaczenia, stary zwrócił się do mnie:

— Chcesz pewno wiedzieć, sir, dlaczego mówimy o wszystkim przy tobie? Czynimy to po pierwsze dlatego, że pracowałeś usilnie, by nam pokrzyżować plany; teraz zaś będziesz zgrzytać zębami, iż wszystkie twoje wysiłki poszły na marne.

Po wtóre, — pochwycił syn dajemy wam niezbity dowód, że jesteście zgubieni bez ratunku.

— Tak, tak jest, — potwierdził stary. — Gdybyśmy uważali, że istnieje najmniejsza bodaj szansa ocalenia, na pewno nie czynilibyśmy was świadkiem takiej rozmowy. Przygotujcie się, master, na śmierć najstraszniejszą jaka być może! Krzyżak na Old Shatterhhandzie! — Przetransportują was na pastwiska Yuma, byście zakosztowali pała męczarni, stosu, stryczka, czy też innych podobnych rozkoszy. Przedtem jednak złożą wam wizytę nasz przyjaciel Melton, by podziękować za okazaną mu braterską miłość. Wizyta jego będzie dla was prawdziwym świętem, gdyż z tej okazji pomacają ci również rączki, jak ty to z nim uczyniłeś! Bądź zdrow! Nie zobaczymy się, niestety, już nigdy!

A więc tak! Teraz dowiedziałem się wszystkiego! Może wyjawiliby mi jeszcze więcej, gdybym odpowiadał na zadawane mi pytania. Przyspieszono zatem, z niewiadomych mi powodów, napad mający odbyć się później. Byłem w strasznym położeniu! Wiedziałem o wszystkim nie mogąc pomóc moim ziomkom! Herkules czekał na wiadomości, a ja nie mogłem ich udzielić! Może spróbowałbym, pomimo, że byłem otoczony wrogami rozerwać krępujące rzemienie i przebić się pięściami, lecz więzy zbyt mocno wpijały się w ciało już teraz, zanim je począłem naciągać. Jedno mi tylko pozostawało, co też postanowiłem uczynić, — nie szcędzić życia, jeśli nadarzy się okoliczność sprzyjająca ucieczce!

Lecz i ta nikła nadzieja miała się rozwiązać, gdy młody Weller odszedł, zwinęli Indianie obóz, by ruszyć w kierunku hacjendy. Przywiązano mnie do konia tak mocno, że chyba cud uwolniłby mi z więzów choć mały palec! Ponadto dwóch czerwonych wzięło mnie pomiędzy siebie zwiąawszy razem wszystkie trzy konie. Chwilę przedtem miałem jeszcze słabą nadzieję, że uda mi się popędzić wierzchowca, by wyniósł mnie, chociaż związanego, pomiędzy hordy czerwonych; teraz nie mogłem już o tym myśleć!

Hacjenda była stracona!

WINNETOU

A więc hacjenda była stracona!

Czyżby rzeczywiście? — Był jeszcze jeden, jedyne ratunek, lecz tylko w wypadku, gdyby zaprowadzili mnie w jej pobliże, aby można tam było usłyszeć moje ostrzegawcze krzyki. Postanowiłem uczynić to, choćby groziła mi nawet śmierć.

Niestety Indianie odgadli mój zamiar, czy też zachowali niezwykle środki ostrożności, dość, że po kwadransie jazdy pięciu czerwonych zatrzymało się wraz ze mną, podczas gdy reszta ruszyła dalej. Staliśmy w szczerym polu. Gdyby przynajmniej ocieniały nas drzewa, może udałoby mi się umknąć pomimo krępujących więzów. Tutaj nie mogłem marzyć o ucieczce! Nie bacząc na to czerwoni strzegli mnie w wyrafinowany zaiste sposób; ręce i nogi miałem przywiązane do wbitych w ziemię kołków, a więc byłem po prostu rozkrzyżowany.

Panowało głuche milczenie. Suszyłem mózg, by wymyślić jakiś środek ratunku. Na próżno! Czas mijał; szarzała noc; nastawał poranek. Wtem usłyszałem jakiś niewyraźny, jakby metaliczny odgłos pochodzący z daleka. Poznałem — było to echo bojowego okrzyku Indian. Teraz za późno; gdybym nawet nie był skrupowany nie zdołałbym uratować ani jednego ludzkiego istnienia!

Nie mogę opisać co się ze mną działo. Owładnęła mną taka wściekłość, że musiałem całą siłą woli zapanować nad sobą, by nie zdradzić uczucia, które mi pierś rozsadzało. Twarze strażników wykrzywił szatański uśmiech; ach z jaką rozkoszą zdusiłbym tych drabów, chociaż zwykle niełatwo zadawałem śmierć! Nasłuchiwałem niemniej usilnie niż czerwoni. Wrzask się powtórzył! Była to zwycięska fanfara Indian. Widocznie nie stawiano oporu. Napad się udał!

Upłynęła godzina, jedna, druga, a nikt nie nadchodził. Zrozumiałem, że żaden z tych łotrów nie chce opuszczać hacjendy, gdzie zapewne rozpoczęło się już plądrowanie. Wreszcie po trzech godzinach zjawił się, a raczej nadbiegł jeden z wojowników. Opowiedział z radością, że wszystko poszło jak z płatka i polecił jechać do hacjendy. Osiodłano konie i ruszyliśmy. W lesie napotkaliśmy młodszą latorośl domu Wellerów; były steward pozostał tutaj nie chcąc się pokazywać w hacjendzie. Obrął sobie miejsce, z którego mógł wszystko widzieć i słyszeć. Leżał na trawie, przy nim stał koń przywiązany do drzewa. Zobaczywszy nas podniósł się i zawołał:

— Co teraz powiecie, master? Gdybyście poruszyli nawet niebo i ziemię nie zmienicie ani na jotę niemiłej dla was rzeczywistości! Hacjenda jest nasza, a dla was wybiła ostatnia godzina!

Miałem zamiar nie odpowiadać wcale, a jednak nie mogłem się powstrzymać i zawołałem:

— Raczej dla ciebie, łotrze! Dosięgnę cię, skoro tylko będę wolny; możesz w to nie wątpić!

— Zrób to, zrób to! — zaśmiał się. — Zostać zastrzelonym przez Old Shatterhanda to nie tylko zaszczyt, ale po prostu rozkosz. Przyjdź więc jak najprędzej! Będę cię oczekiwał z tęsknotą!

Ten człowiek śmiał się na umór; ja jednak, pomimo beznadziejnej sytuacji, miałem wrażenie, że obracam już na niego wylot swej strzelby, że słyszę jej krótki, ostry huk.

Wyjchawszy z lasu dostaliśmy się na owe łąki, wśród których widziałem dawniej trzody hacjendera. Trzody pały się i teraz; warty jednak trzymali przy nich czerwoni; pasterze zamordowani leżeli w trawie, żaden z nich nie uszedł z życiem.

Zatrzymaliśmy się przed hacjendą w odległości strzału. Leżeli tam na ziemi skrupowani wychodźcy, między nimi hacjendero. Ten, zobaczywszy mnie, zawołał:

— Pan tutaj, sennor? Skąd pan tu się wziął?

— Chciałem pana ratować, lecz niestety sam dostałem się w ręce morderców. Czy przynajmniej sennor teraz, że miałem słusność?

— Miał pan słuszość, ale przecież niezupełną. Napad sprawdził się, lecz Melton jest niewinny, jak się pan może sam o tym przekonać!

Wskazał głową w bok, gdzie leżeli Melton i Weller senior również związani. Była to oczywiście komedia, za pomocą której chciano udowodnić, że nie mieli oni nic wspólnego z dziełem czerwonoskórych. Zamierzałem objaśnić hacjenderowi, gdy w tej samej chwili porwali mnie strażnicy i uprowadzili tak daleko, że nie mogliśmy ze sobą rozmawiać.

Przede mną rozgrywała się dzika scena. Brama hacjendy stała szeroko otworem; Indianie przechodzili całymi gromadami tam i z powrotem, wynosząc z budynków wszystko co tylko dało się zabrać. Pozostały chyba jedynie futryny okien, drzwi, oraz gwoździe w ścianach. Czerwoni wyli z radości jak tygrysy. Uderzyło mnie, że nie składali łupów pod murem, lecz o wiele dalej; dało mi to powód do przypuszczenia, które niestety sprawdziło się później aż nadto dosłownie. Hacjendę miano spalić! Dlatego znoszono łupy w bezpieczne miejsce, ażeby iskry nie mogły ich dosięgnąć.

Ale po co to zniszczenie? Jaki cel miał w tym mormon, który był przecież sprawcą całego zamachu? To szatańskie wyrachowanie miało mi się wyjaśnić dopiero później.

Do niewoli dostał się tylko hacjendero i jego żona, nie spostrzegłem ani jednej z osób, które widziałem podczas mego pobytu w hacjendzie, „sennor Adolfo”, napuchnięty majordomus, zniknął bez śladu. Wszyscy, dosłownie wszyscy, jak się później dowiedziałem, zostali zamordowani; powód był mi wówczas jeszcze nieznanym.

Grabież trwała prawie do południa; potem spędzono trzody i zgromadzono je na wolnej przestrzeni na pomoc od hacjendy; mieli ich pilnować Indianie. Skoro się przy tym uporano, przy wleczono ciała zabitych pasterzy do domu, ażeby spłonęły razem z całym osiedlem. Wkrótce podniosły się gęste kłęby dymu, naprzód z głównego budynku, potem z małych domków stojących na podwórzu. Słyszałem jak hacjendero krzyczał z przerażeniem, żona wtórowała mu głośnym biadaniem.

A miało spaść na niego jeszcze gorsze nieszczęście. Trzydziestu, czterdziestu czerwonych wsiadło na konie i pojechało w różnych kierunkach. W jakim celu, tego nie mogłem się domyślić. Po upływie pół godziny zobaczyłem na wzgórzach, po stronie wschodniej, wznoszący się w powietrzu dym, następnie zauważyłem to samo na południu, a wnet na północy. Ku zachodowi nie mogłem patrzeć, gdyż leżałem zwrócony głową w tym kierunku. Nie było żadnej wątpliwości, czerwoni podpalili las! Wyschnięta trawa posłużyła za hubkę, którą ogień pożerał z przerażającą szybkością, od niej zajęły się suche gałęzie i pożar wzmógł się wkrótce tak, że płomień dosięgał wierzchołków drzew. Hacjendero prosił, jęczał i kłął na przemian — bez skutku. Czerwoni podsycali ogień dopóki nie rozgorzał tak potężnie, że żadna siła ludzka nie mogła go powstrzymać i nie ulegało wątpliwości, że soczyste rośliny, wysuszone na jego skwarze, będą musiały paść pastwą płomieni.

Żar wzmagał się gwałtownie zmuszając Indian do szybkiego odwrotu. Nałożono koniom siodła juczne i obładowano je zdobytym łupem. Następnie uformował się pochód. Na czele jechał wódz; po nim następowałem ja z moimi pięcioma strażnikami; dalej znów kilku Indian, a za nimi emigranci z hacjenderem i jego żoną; wszyscy byli skrepowani i eskortowani z obydwóch stron przez czerwonoskórych. Za tymi ostatnimi pędzono na koniec zdobyte konie, bydło rogate, owce i świnie. Pochód nasz skierowano na północ, z początku wzdłuż strumienia; potem skoro ten zwrócił się łukiem na prawo, my zboczyliśmy na lewo i niebawem zatrzymano się, nie wiem czy umyślnie, czy przypadkowo, na tym samym miejscu, gdzie mormon chciał mnie zastrzelić, a gdzie został przeze mnie unieszkodliwiony. Unieszkodliwiony? Niestety nie! Żałowałem obecnie z całego serca, że nie wpakowałem mu kuli w łeb. Teraz jechał razem z Wellerem obok hacjendera związany tak samo jak jeńcy.

Strażnicy przywiązali mnie do drzewa stojącego na uboczu, był to dowód, że mi nie ufano. Mógłbym mieć więc słuszne powody do dumy wobec tego, że czerwoni jedynie po mnie spodziewali się niemiłego figla i przyznają wyteżalem cały swój umysł, aby im go spłatać;

przecież chodziło tu nie tylko o mnie, lecz także o uwolnienie wszystkich innych jeńców i odebranie Indianom łupu.

Nie należy myśleć, że nazbyt ufałem sobie. Najtrudniejszą sprawą było moje uwolnienie. Jeśliby się ono powiodło mogłem liczyć na pomoc Mimbrenjów, z którymi miałem się zejść przy Wielkim Dębie Życia.

Indianie zarznęli wołu, świnie, wiele owiec i mięso ich upiekli. Wieczерzę sprawili obfitą; nawet jeńcy nie mogli się uskarżać na głód; mnie się dostało tak sporo, że nie mogłem zjeść wszystkiego. Przy tym uwolniono mi znowu ręce na czas jedzenia; okoliczność ta, jeśliby tak zawsze czyniono, stać się mogła dla mnie środkiem ratunku, o ile nie nadarzyłoby się coś lepszego i łatwiejszego. Ten rodzaj ucieczki nastroczał niezwykle trudności i niebezpieczeństwa. Musiałem przed oczyma wszystkich rozwiązać rzemienie na nogach; jeślibym nie sprawił się błyskawicznie, Indianie znaleźliby czas na udaremnienie moich zamiarów; a wtedy mogłem być pewien, że nie uwolnią mi więcej rąk do jedzenia. A nawet, gdyby się udało, miałem za sobą tylu prześladowców, że złapałoby mnie na pewno po raz drugi. Oczywiście, sprawa przedstawiała się inaczej, gdyby moje członki dopisywały mi jak w normalnym stanie! Ale więzy, bardzo mocno zaciśnięte, przeszkadzały obiegowi krwi; skutkiem tego ręce i nogi cierpły, traciłem w nich czucie i było do przewidzenia, że przez jakiś czas po uwolnieniu z więzów nie panowałbym nad nimi. Żeby ulżyć sobie choć w części spróbowałem przy ponownym krępowaniu trzymać ręce w ten sposób, aby mi ich nie ściśnięto zbyt silnie; próba udała się w pewnej mierze; mogłem poruszać dłońmi, lecz daleko jeszcze było do tego, abym mógł więzy zsunąć, nawet razem ze skórą nie zeszyby. Znajdowałem się na razie w bezradnym położeniu, a przecież nie przyszło mi na myśl tracić nadziei; widziałem, że obecnie nic mi nie grozi; miałem więc sporo czasu przed sobą i droga do ratunku mogła się jeszcze znaleźć.

Nadszedł wieczór. Położono się wcześniej na spoczynek; strażnicy owinęli mnie w koc i tak obwiązali sznurami, że zostałem pozbawiony wszelkiego ruchu; mimo to spałem dosyć dobrze i na pewno nie byłbym się obudził wcześniej niż ranem, gdyby nie pewne wydarzenie, które stanęło temu na przeszkodzie. Mianowicie poczułem nagle szarpnięcie za włosy i skutkiem tego otworzyłem oczy. Wokoło panował półmrok, a pod drzewem było prawie zupełnie ciemno. W odległości niecałych dwóch łokci od moich stóp siedział jeden ze strażników paląc cygaro pochodzące zapewne z hacjendy; czterej inni leżeli naokoło mnie i spali.

Kto mnie dotknął? Z pewnością nie żaden z Yuma, z jakiego powodu miałby mnie w ten sposób budzić ze snu? A gdyby to uczynił, odezwałby się teraz, powiedziałby czego chce; tymczasem w około mnie panowała cisza. Pomyślałem natychmiast o moim małym Mimbrenju, oczywiście nie odezwałem się ani słowem, tylko poruszyłem kilka razy głową do góry i na dół, ażeby pokazać, że się obudziłem. Mój sprzymierzeniec musiał leżeć poza mną w trawie, której wysokość przenosiła stopę; dawała więc ona w ciemności nocnej wystarczającą osłonę zwinnemu chłopcu; nawet strażnik siedzący w pobliżu nie mógł go zauważyć. Ale mimo wszystko była podziwu godna śmiałość, że się odważył przekraść poprzez śpiących w około Indian i dotrzeć aż do mnie.

Skoro wykonałem znamienne ruchy głową postyszałem za sobą cichy, delikatny szmer, jakby się ktoś z największą ostrożnością czołgał; ów „ktoś” przysunął się tak blisko, że głowa jego znalazła się tuż obok mojej, przyłożył usta do mego ucha i szepnął ledwie słyszalnym głosem:

— Jestem Mimbrenjo! Jaki rozkaz ma Old Shatterhand dla mnie?

A więc to był rzeczywiście on! Uczułem głęboką radość. Ten chłopiec obok wielkiej odwagi posiadał bystrość i przebiegłość, która mu była potrzebna jako przyszłemu wojownikowi. Pragnął sobie zdobyć imię; był przekonany, że jego życzenie spełni się prędzej u mego boku, niż gdzie indziej; dobrze więc; jeśliby okazał dalej w tym stopniu co teraz zalety wojownika, to pragnienie jego mogło się ziścić w bardzo krótkim czasie.

Zanim mu odpowiedziałem, nasłuchiwałem kilka chwil, żeby się przekonać, czy przypadkiem ostatnie jego poruszenia nie zbudziły którego ze śpiących strażników; ponieważ nie zauważyłem nic podejrzanego, więc zwróciłem się ku niemu i szepnąłem, jak mogłem najciszej:

— Czy masz konie?

— Tak odpowiedział Indianin równie cicho.

— I wszystkie moje rzeczy?

— Wszystkie.

— Gdzie?

— Nieopodal hacjendy, umocowane na skale, gdzie nie można znaleźć śladów.

— Bardzo roztropnie. Jak przyszedłeś tutaj?

— Widziałem, że Old Shatterhand chciał mnie oswobodzić i że został wzięty do niewoli.

Przeczuwałem, że Yuma mnie będą szukać i znajdą konie. Chciałem odwieść od nich nieprzyjaciół i dlatego pospieszyłem przez równinę ku terenowi skalistemu, gdzie prześladowcy stracili mój trop. Szczep Mimbrenjów zna szybkość moich nóg; żaden Yuma nie mógł mnie dopędzić, zostali daleko w tyle. Skoro ślady się zatraciły pobiegłem łukiem, ażeby nie spotkać Yuma z powrotem ku dolinie, tam ległem, czatując. Widziałem ich wracających z niczym; obserwowałem obóz. Gdy wyruszyli zabrałem konie i pojechałem za nimi, ażeby uwolnić Old Shatterhanda. Oddam chętnie swoje życie, ponieważ Old Shatterhand został schwytyany z mojego powodu.

— Odważasz się na wiele, widzę jednak, że jesteś dosyć ostrożny i roztropny, ażeby wszystkiemu podołać. Myślę, że z twoją pomocą będę wolny.

— Wkrótce? Czemu nie zaraz? Mam nasze noże, więc rozetnę więzy.

— Nie! Skutek byłby taki, że i ty dostałbyś się do niewoli. A ty jednak musisz być wolny.

— Niech Old Shatterhand pomyśli, że wszyscy śpią i tylko ten jeden czuwa. Yuma jest ślepy, on mnie nie widzi.

— A ty pomyśl, co trzeba wykonać zanim mógłbym powstać. Musiałbyś rozciąć rzemień, którym mnie obwiązano na noc; to trwałoby całą godzinę, ponieważ trzeba działać ostrożnie i powoli; następnie musiałbym odwinąć koc, co mogłoby znowu zabrać pół godziny czasu; a wreszcie choćby się to wszystko powiodło pozostają jeszcze więzy na rękach i nogach.

— Toby już poszło prędko. W dwie godziny jesteśmy gotowi.

— Bylibyśmy gotowi, ale niech mój młody brat policzy strażników. Jest ich pięciu; będą się zatem luzować. Każdy następny zanim obejmie straż, przekona się czy moje więzy są w porządku. Nie dowierzają mi. Widzisz więc, że tej nocy nie możesz absolutnie mnie uwolnić.

— Old Shatterhand ma słuszość; przyjdę więc następnej nocy.

— Znalazłbyś mnie tak samo skrupowanego i strzeżonego jak obecnie i musiałbyś znowu odejść z niczym.

— Więc kiedyż mam przyjść? Jak długo mam cię pozostawić w ich rękach? Jeśli cię zabiją nie będę mógł się więcej pokazać w naszych wigwamach, gdyż wszyscy wytykaliby mnie palcami i pluli na mnie, mówiąc że przez moją lekkomyślność dostał się do niewoli i zginął Old Shatterhand.

— Yuma mnie jeszcze teraz nie zabija; chcą Shatterhanda zachować do pała męczarni.

— Oddycham swobodniej! Ale jak mam cię uwolnić skoro nie mogę przyjść do ciebie?

— Ja się już sam uwolnię. Ponieważ jednak moje nogi są ściernięte od więzów i nie mógłbym biec daleko, więc życzę sobie żebyś był w pobliżu w chwili mojej ucieczki i trzymał konie gotowe do drogi.

— Pójdę tropem Yuma i skoro tylko rozłożą się obozem będę czekał na ciebie w ukryciu.

— Ale z największą ostrożnością! Muszę wiedzieć w jakim kierunku mam cię szukać. Postępuj zawsze z tyłu za obozem. Chciałbym jeszcze zbadać jak najdokładniej miejsce, w którym się będziesz zatrzymywał.

- Jak ma cię o tym zawiadomić skoro nie mogę się z tobą rozmówić?
- Czy umiesz naśladować głos jakiegoś ptaka?
- Kuglarz naszego szczepu umie naśladować głosy wszystkich zwierząt, a ja byłem jego uczniem. O jakim myślisz zwierzęciu czy też ptaku?
- Musimy wybrać takie zwierzę, które się odzywa we dnie i w nocy, gdyż nie wiem kiedy mi się nadarzy sposobność ucieczki. Słyszac, skąd nadchodzi ów głos będą wiedział gdzie jesteś.
- Zwierzę, którego głos rozbrzmiewa i w dzień i w nocy jest rzadkością. Czy nie byłoby lepiej wybrać dzienne i nocne zwierzę.
- Może być i tak jeśli ci to przyjdzie łatwiej. A przecież meksykańska zaba łakowa przebywa wszędzie, zarówno w lesie jak i na otwartym polu i odzywa się o każdej porze dnia i nocy. Jej głos byłby najodpowiedniejszy.
- Całkiem jak Old Shatterhand sobie życzy. Umie tak dobrze naśladować głos tej wielkiej zaby, że zmylę nawet najbystrzejsze ucho.
- To mnie cieszy, słuchaj więc, co ci teraz powiem! Prawdziwe szczęście, że przyniosłem z hacjendy tak dużo mięsa; masz jadła w bród i nie musisz odrywać się od swego zadania. Nie wiem, kiedy stąd wyruszymy i gdzie będziemy obozować. Masz iść za nami, oczywiście w odpowiednim oddaleniu, a skoro rozłożymy się obozem, wyszukasz sobie kryjówkę jak najbliżej, ale też zupełnie bezpieczną. Potem zaczekasz na spokojną chwilę w obozie i wydasz trzy razy krzyk zaby łakowej, nie raz po raz, gdyż to wzbudziłoby podejrzenie, tylko w odstępach, wynoszących mniej więcej kwadrans. Jeślibym przy pierwszym okrzyku miał wątpliwość co do miejsca w jakim się znajdujesz, to drugie i trzecie wołanie wskaże mi je dokładnie. Od trzeciego okrzyku musisz być przygotowany na natychmiastowy wyjazd ze mną.
- Będę tak pilnie czuwał, że zobaczę cię nadbiegającego i wyjadę na przeciw.
- Pięknie! Mój koń musi być gotów do jazdy; nie mogę tracić ani chwili, gdyż prześladowcy będą tuż za mną. Tak samo muszę mieć pod ręką sztucer, tę małą strzelbę, z której mogę mierzyć dużo razy bez ładowania. Masz go przecież?
- Mam go.
- Czy może próbowałaś strzelać?
- Nie, nie mógłbym się na to odważyć! Wszystko, co należy do Old Shatterhanda jest nietykalne.
- Wobec tego sztucer jest gotów do użycia. Trzymaj go w ręce, żebyś mógł mi podać, zanim jeszcze wsiądę na konia. Być może, iż będę musiał strzelać, gdyby prześladowcy zbliżyli się zanadto. Teraz wiesz już wszystko i musimy się rozstać. Jeszcze tylko na jedno muszę ci zwrócić uwagę. Przypuszczam, że inni jeńcy zostaną wypuszczeni na wolność, w tym wypadku powrócą prawdopodobnie do hacjendy. Niech cię to nie zmyli! Ja nie będę z nimi w żadnym wypadku. Yuma zatrzymają mnie u siebie na pewno; musisz więc iść za nimi.
- Moje oczy będą otwarte, ażeby uniknąć wszelkich błędów.
- Spodziewam się tego. Daj mi teraz nóż: wszak masz go przy sobie?
- Jak mogę dać ci nóż, skoro twe ręce są skrepowane? Czy wsunąć go w koc, którym jest owinięty?
- To niemożliwe, ponieważ koc jest zbyt silnie ściągnięty, a zresztą znalazłoby go zaraz, gdyż na dzień zdejmują ze mnie tę derkę. — Wetknij nóż w ziemię, w pobliżu mojego prawego łokcia tak, żeby rękojeść nieco wystawała: nie zobaczą jej, trawa jest zbyt gęsta.
- Czy potrafisz pomimo więzów wyciągnąć go i schować?
- Potrafię. A teraz idź! Za długo już rozmawiamy: zmiana warty może nastąpić w każdej chwili.
- Idę. Przedtem jednak ulżyj mojemu sercu! Popełniłem błąd nie do wybaczenia, a ty jesteś tak dobry, że nie powiedziałeś mi nawet słowa wyrzutu. Czy odmówisz mi przebaczenia?

— Nie! Byłeś zbyt śmiały, zbliżając się do Yuma, tak, że mogli Cię zobaczyć, ale tej właśnie odwadze mam do zawdzięczenia, że cię teraz widzę przy sobie. Wyrządziliśmy sobie jednakże przysługi i nie winniśmy wzajem nic: nie gniewam się na ciebie.

— Dziękuję ci! Moje życie należy do ciebie i będę zawsze myślał z dumą o tym, że Old Shatterhand powiedział do mnie „nie winniśmy sobie nic”.

Wetknął nóż w ziemię i cofnął się tak cichu, że nawet ja nie słyszałem tego, chociaż uważałem na wszystko. Po pewnym czasie rozbrzmiewał w oddali głuchy krzyk żaby łąkowej, który mi miał powiedzieć, że mały Mimbrenjo powrócił szczęśliwie.

Teraz byłem pewien, że ucieczka się uda. To przekonanie odjęło mi wszelką troskę i skutkiem tego zasnąłem na nowo tak spokojnie, jakbym był już na wolności.

Rankiem zbudziła mnie wrzawa życia obozowego. Strażnicy odwinęli ze mnie derkę, gdyż za dnia uważali tę ostrożność za zbyt dużą. Udałem, że sen mnie jeszcze chwytą, obróciłem się na bok i posunąłem niepostrzeżenie wstecz tak, że ręce moje znalazły się mniej więcej na równej linii z nożem tkwiącym w ziemi. Rąk już nie miałem tak silnie związanych jak poprzednio. Palcami mogłem poruszać. Toteż, skoro po chwili obróciłem się powtórnie i położyłem na brzuchu, spieszenie zacząłem domacywać się rękojeści noża; musiałem jednak szukać przynajmniej dziesięć minut, zanim wyczułem jej koniuszek, wystający z ziemi najwyżej na dwa centymetry. Jeszcze dłużej trwało wydobywanie noża z ziemi, gdyż nie mogłem podźwignąć tułowia i wyciągnąć ostrza pionowo. Gdy już tego dokonałem wiele musiałem zużyć trudu i czasu zanim udało mi się wsunąć go nieporadnymi końcami palców pod kamizelkę i nadać mu tam takie położenie, aby nie mógł wypaść.

Szczęśliwym trafem nie wcześniej, aż to wykonałem, odwrócono mnie, ażeby rozwiązać mi ręce do jedzenia. Urządzono znowu obfite śniadanie, ponieważ jak się wkrótce przekonałem mieliśmy wyruszać w drogę do wsi Yuma. Trzody popędzono naprzód; wojownicy, którzy nie byli tym zajęci pozostali jeszcze jakiś czas w obozie, gdyż nietrudno było im później dopędzić powoli idące zwierzęta. Po trzech godzinach drogi rozdzielono pochód na dwa oddziały. Mniejszy rozbił obóz na nowo i miał strzec jeńców jeszcze przez dwa dni, a potem wypuścić ich. Zarządzono tak dlatego, ażeby hacjendero nie znalazł czasu na sprowadzenie pomocy i dopędzenie Yuma z trzodami zanim ci znajdą się w bezpiecznym oddaleniu. Drugi oddział, prowadzony przez *Vete-Ya*, wyruszył w dalszą drogę zabierając mnie oczywiście ze sobą. Ażeby zaś czujność straży nie osłabła przydano mi pięciu nowych wartowników. Gdy odjeżdżaliśmy postyszałem głos wołającego za mną mormona.

— Farewell, master! Pozdrówcie ode mnie diabła, gdy po kilku dniach powie wam „dzień dobry”!

Udało mu się niestety wprowadzić w czyn szatański zamach na hacjendę, a teraz był przekonany, że uwalnia się ode mnie na zawsze.

Wszakże mnie odwożono do pała męczeństwa. Pochód sunął w znanym mi dobrze kierunku, mianowicie wprost ku lasowi Wielkiego Dębu Życia. Z początku okoliczność ta wydawała mi się pocieszająca, ponieważ mogliśmy łatwo spotkać się z Mimbrenjami, którzy mieli właśnie w tych dniach do lasu przybyć. Rozważywszy jednak dokładnie sytuację zmiarkowałem, że nie powinienem życzyć sobie tego spotkania, gdyż groziłoby mi ono wielkim niebezpieczeństwem. Przewidywałem bowiem, że w razie napadu Yuma zabiliby mnie raczej niż mieliby pozwolić, ażeby Mimbrenjowie mnie uwolnili. Niebawem jednak okazało się, że obawy były płonne. W lesie zawróciliśmy się na prawo, podczas gdy moi sprzymierzeńcy mieli nadjechać z lewej strony. Od tej więc chwili mogłem uważać spotkanie za wykluczone.

Las rozciągał się bardzo szeroko; wieczór nadszedł, a jeszcze nie dotarliśmy do jego kresu. Oczywiście trzody zrabowane nie pozwalały na szybki pochód. Powolność, która winnym wypadku zniecierpliwiałaby mnie, w obecnej chwili podwajała czas jaki mogłem wykorzystać do ucieczki.

Czekałem na znak Mimbrenja. Niestety głos żaby łąkowej rozbrzmiał dopiero wtedy, gdyśmy już zjedli i gdy byłem znów owinięty w derkę. Dzisiaj więc nie mogłem uciec; jednak świadomość, że pomoc jest w pobliżu i że sprzymierzeniec dokładnie trzyma się moich wskazówek była dla mnie wielkim uspokojeniem. Mimbrenjo znajdował się, jak to rozpoznałem po okrzyku, bardzo blisko obozu, na miejscu jednak bezpiecznym, gdyż las dawał mu pewną i niezawodną osłonę. Następnego dnia wyruszyliśmy w dalszą drogę. Wodzowi cknęła się zapewne tak powolna jazda; postanowił wyjechać naprzód, a na przybycie trzód czekać przy wieczornym ognisku. Wziął ze sobą połowę wojowników i mnie ze strażnikami. Niebawem trzody zniknęły nam z oczu. Krok ten pokrzyżował mi plany zupełnie. Mimbrenjo mógł jedynie z wolna podążać za trzodami i zbliżyć się do obozu dopiero po ich przybyciu, a wtedy znowu owinięty w straszliwą derkę i bezwładny jak niemowlę nie będę mógł nawet myśleć o ucieczce. Jak przypuszczałem, tak się stało. Po kilku godzinach drogi skończył się las, jechaliśmy jeszcze jakiś czas przez kraj miejscami pustynny, gdzieś znowu o charakterze stepowym i wreszcie zatrzymaliśmy się, gdy nadeszła pora popołudniowego posiłku. Ręce mi rozwiązano; mogłem spróbować ucieczki; jak daleko jednak mogłem uciec? Albo może wskoczyć na jednego z pasących się koni? Także nie. Pasły się bez dozoru, rozproszone na wszystkie strony. Najbliższy był tak daleko, że wprawdzie mógłbym dobiec do niego zanim pochwyconoby mnie, ale miałbym wnet na karku wszystkich Indian uzbrojonych od stóp do głów podczas gdy ja byłem zaopatrzony jedynie w nóż, ponadto nie mogłem przypuszczać, że dosiędę właśnie najszybszego konia. Nie; musiałem zrezygnować z próby, która łatwo mogła mi zgotować śmierć.

Po południu jechaliśmy przez taką samą równinę, wieczorem rozbiliśmy obóz na szerokiej, otwartej łące. Po kolacji owinięto mnie w derkę. Trzody nadeszły dopiero, gdy noc już zapadła, a wkrótce potem usłyszałem trzykrotne skrzekanie żaby łąkowej. Jak przewidziałem Mimbrenjo przyszedł za późno. O ucieczce nie było mowy. Czułem litość nad biedakiem, że wyrzekął się snu nadaremnie. Przyszedł dzień następny, a po nim czwarty. Gdy nadarzyła się sposobność do ucieczki nie było mojego towarzysza, a gdy dawał mi znak, że jest w pobliżu, chwila przychylna była już za mną. Jednakże piąty dzień miał przynieść zmianę. Droga prowadziła od samego poranka przez skaliste wzgórza, doliny wąskie i ciemne wąwozy. Tutaj nie mogli się czerwoni rozdzielać, gdyż często konieczna była podwójna liczba poganiaczy. Obudziło się we mnie przeczucie, że dzisiaj nastąpi rozstrzygnięcie. Przy spoczynku południowym nie zawijano mnie nigdy w koc, a ukształtowanie okolicy pozwalało mojemu towarzyszowi postępować tak blisko za nami jak tylko mogłem sobie życzyć. Na krótko przed południem przeszliśmy przez dziki, wijący się licznym zakrętami wąwóz; naraz oczom naszym ukazała się duża polana, pokryta wysoką trawą; sterczały na niej z rzadka rozsiane krzaki. Bydła nie można było powstrzymać; ruszyło pędem z wąwozu na łąkę wabiącą zielenią i rozpierchło się w przeciagu kilku minut po całym jej obszarze. Czerwonoskórzy poganiacze zadali sobie wiele trudu zanim spędzili je znowu w gromadkę. Wódz natychmiast rozkazał, ażeby mnie odwiązano od konia i położono na ziemi. Strażnicy usiedli przy mnie. Dookoła rozbito obóz w odległości mniej więcej czterystu kroków od ujścia wąwozu.

Z rozkazów, wydawanych przez wodza, domyśliłem się, że dzisiaj nie pojedziemy dalej. Zrabowane trzody były tak wyczerpane marszem ostatnich czterech dni, że musiano im dać wypoczynek przynajmniej do jutrzejszego poranka, ażeby mogły wytrzymać trudy dalszej drogi. Rozbito namioty; podczas gdy wojownicy byli tym zajęci, podszedł wódz do miejsca na którym leżałem i usiadł na ziemi w odległości kilku kroków ode mnie. Właśnie w tej chwili zabrzmiał pierwszy krzyk żaby łąkowej, na który jednak żaden Yuma nie zwrócił uwagi.

Vete-Ya założył stopę jedną na drugą, skrzyżował ręce na piersiach i zatopił we mnie kłujący, przenikliwy wzrok. Domyśliłem się, że rozpocznie teraz coś w rodzaju przesłuchania, podczas gdy dotychczas nie zaszczycił mnie jeszcze rozmową. Strażnicy z okiem ku ziemi nie patrzyli ani na mnie ani na niego; było to pełne szacunku oczekiwanie chwili, w której ich wódz

zmierzy się przynajmniej w słowach z Old Shatterhan — dem. Dumne milczenie mogłoby tylko pogorszyć sytuację, a charakter mój prostolinijny nie pozwalał ustąpić temu człowiekowi choćby tylko w słowach, postanowiłem więc potraktować go tak jak na to zasługiwał. Po chwili rozpoczął od niezbyt wybrednego pytania:

— Jesteś bladą twarzą, czy tak?

— Tak, — odpowiedziałem, — czy nie rozróżniasz barw, że uważasz mnie za Indianina.

Omijając moje pytanie wódz ciągnął dalej:

— I nazywasz się Old Shatterhand?

— Nie ja się tak nazywam, lecz zarówno sławni biali, jak wojownicy i wodzowie czerwoni nadali mi to imię.

— Nadali je niesłusznie! Twoje imię jest kłamstwem. Twoja ręka jest związana, nie potrafi zdruzgotać ani chrząszcza, ani robaka, a tym mniej człowieka. Popatrz jak szacuję twoje imię.

Powiedziawszy ostatnie słowa splunął na mnie. Ja zaś odpowiedziałem obojętnie:

— Jeśli moje imię jest kłamstwem, to twoje zawiera tym więcej prawdy. Nazywają cię „Wielka Gęba” i rzeczywiście posiadasz pysk tak rozdziawiony, że na próżno by podobnego szukać; ja na twoim miejscu nie byłbym z tego dumny. Nie jest chwałą i bohaterstwem pluć na jeńca, kiedy ten nie może się zemścić, ponieważ jest całkowicie bezbronny i skrepowany. Wykaż prawdziwą odwagę: zdejm mi więzy i walcz ze mną, wtedy się przekonasz, kto kogo zdruzgotuje, ty mnie, czy ja ciebie.

— Milcz! — huknął na mnie. — Jesteś jak ta żaba, która tam z tyłu rechocze. Jej skrzeczeniem gardzę.

Właśnie w tej chwili zabrzmiał drugi krzyk żaby łąkowej. Słowa wodza pozwoliły mi spojrzeć otwarcie ku ujściu wąwozu, bez obawy, że wzbudzę tym podejrzenia strażników. Krzyk pochodził z tak niewielkiej odległości, że Mimbrenjo musiał się chyba ukryć tuż za najbliższym występem skalnym. Podniosłem głowę jeszcze wyżej, ażeby mu pokazać, że patrzę w tym kierunku i rzeczywiście ujrzałem jak mała brunatna ręka chłopca wysuwa się z poza krawędzi skały aby zniknąć natychmiast. Ktoby nie wiedział z góry, że tam znajduje się człowiek nie dostrzegłby ręki wcale.

Teraz byłem już stanowczo zdecydowany uciec. W przeciągu kwadransa, a najwyżej pół godziny musiałem odzyskać wolność, albo legnąć trupem. W tej myśli dałem wodzowi odpowiedź, która inaczej byłaby bardzo śmieszna:

— Nie pogardzam tym skrzeczeniem, ale się cieszę z niego. Znasz głosy zwierząt?

— Znam je wszystkie.

— Pytanie moje rozumiałem inaczej: mianowicie, czy rozumiesz mowę zwierząt?

— Żaden człowiek jej nie rozumie!

— Ja ją przecież rozumiem. Czy mam powiedzieć, jakiej wiadomości udziela ci ta żaba?

— Powiedz! — odparł śmiejąc się pogardliwie.

— Żaba powiada, że poniesiesz dzisiaj stratę i skutkiem tego powrócisz tą samą drogą, którą tu przyjechałeś.

— Wielki duch pomieszał ci zmysły.

— Nie; wyćwiczył je i zaostrzył. Słyszę huk padających strzałów; słyszę tętent waszych koni i wycie wściekłości waszych wojowników. Będziecie walczyli z dwoma ludźmi, jednym dużym i jednym małym i nie będziecie mogli ich zwyciężyć. Hańba was okryje, a ci, z których szydziście, wyśmieją was!

Wódz otworzył już usta do gniewnej odpowiedzi, rozmyślił się jednak; opuścił ramiona i wparł we mnie poważny zamyślony wzrok.

— Czy rozumiem cię dobrze? Old Shatterhand nie mówi nigdy jak szaleniec. Jego mowa ma zawsze sens, nawet wtedy gdy się jej nie rozumie. Co chcesz wyrazić tymi słowami? O jakiej hańbie mówisz?

— Pomyśl nad tym, może się dowiesz, a jeśli nie to zaczekaj; wkrótce stanie się to o czym mówię.

Vete–Ya myślał przez chwilę tak gorliwie, że aż oczy w słupek postawił; następnie zawołał:

— Znalazłem: wiem już! Hańba tutaj, a potem pojedziemy z powrotem? Ty myślisz, że będziesz mógł uciec i że będziemy cię ścigać aż do owej doliny poza hacjendą, gdzie ten młody pies Mimbrenjów ciągle jeszcze czeka na ciebie. Przypuszczasz dalej, że będziemy tam z tobą walczyć i nie zwyciężymy. Teraz dopiero wierzę naprawdę, że Wielki Duch pomieszał ci rozum. Tęsknisz za wolnością i śniesz nawet o niej na jawie: mówisz, nieświadom nawet własnych słów. Twój umysł ucierpiał i...

Przerwał w połowie zdania: przyszło mu bowiem na myśl to, co sam uprzednio powiedział, mianowicie, że Old Shatterhand nie mówi nigdy niedorzeczności. Podeszedł bliżej i zbadał moje więzy własnymi rękami. Znalazłszy je w porządku, usiadł z powrotem i rzekł, uśmiechając się:

— Teraz wiem, jaka jest prawda. Old Shatterhand chce mnie rozgniewać, ażeby móc się śmiać ze mnie, jak z dziecka; zawiódł się jednak. Chce nas wtrącić w niepewność, abyśmy, dzięki niej popełnili jakiś błąd. Tak jest; Old Shatterhand nie czyni nic bez namysłu, ale tym razem się przerachuje!

— Uff, uff! — zawołali strażnicy na znak, że są tego zdania. Wódz ciągnął dalej:

— Old Shatterhand zabił mojego syna, *Gaty–ya*, i musi umrzeć. Jest jednak dzielnym człowiekiem i słyszałem, że był zawsze przyjacielem czerwonych mężów; dlatego okażę mu łaskę i pozwolę, aby sam wybrał rodzaj śmierci, jaką chce zginąć. Chce zostać zastrzelony?

Wiedziałem, że jego słowa zawierały ironię, jak się to wkrótce pokazało, i dlatego odpowiedziałem: Nie.

Na to zapytał z kolei, czy wolę, aby mnie zakłuto, zabito maczugą, spalono, lub wreszcie zaduszono, — ja ciągle zaprzeczałem.

— Old Shatterhand stale odpowiada nie; niech mi więc sam powie, na jaki rodzaj śmierci się zdecydował!

— Chciałbym dożyć wieku dziewięć razy po dziewięć, lub dziewięć razy po dziewięć lat, a potem usnąć spokojnie i obudzić się do nowego, nieziemskiego życia. — odrzekłem.

— To śmierć odpowiednia dla tchórzów; Old Shatterhand jest godzien innej śmierci. Taki człowiek, jak on, musi poznać każdy rodzaj śmierci, jeden po drugim, nie drgnąwszy przy tym nawet powieką; ten przywilej, tę sławę znajdzie Old Shatterhand u nas. Przed wszystkim wykręcimy mu ręce i nogi, tak jak on to uczynił mojemu białemu przyjacielowi, Meltonowi.

Spojrzał ku mnie badawczo, ażeby zaobserwować, jaki wrażenie uczyni na mnie ta wiadomość.

— Słusznie! — odpowiedziałem, skinąwszy głową z uśmiechem.

— Następnie przekłujemy muskuły rąk i nóg i wyrwiemy mu paznokcie ze wszystkich palców!

— Na to cieszę się już naprzód!

— Potem oskalpujemy go żywcem!

— Bardzo słusznie, bo gdybym nie żył nie czułbym tego.

— Pozwolimy się ranom zagoić, żeby Old Shaterhand mógł wytrwać nowe męczarnie.

— Z tego jestem zadowolony, gdyż inaczej nie zniósłbym ich do końca.

— Nie szydź! Ochota do kpin cię odbiegnie skoro się dowiesz, że odetniemy ci ręce!

— Czy obydwie?

— Tak. Potem wytniemy ci powieki tak, że nie będziesz mógł spać.

— Dalej!

— Wetkniemy twoje nogi w ogień i będziemy trzymać tak długo aż upieczone mięso odejdzie od kości. Powiesimy cię za nogi; będziemy rzucać w ciebie nożami, następnie...

— Przestań, — przerwałem mu śmiejąc się głośno, ażeby go rozgniewać. — Z tego wszystkiego nie wykonacie nic, zupełnie nic. Gdybyście mieli nawet tysiąc wojowników

byłoby was za mało, aby wyrządzić szkodę Old Shatterhandowi. Do tego potrzeba zupełnie innych ludzi. Porównałeś mnie poprzednio do żaby, którą słyszeliśmy, ja zaś zamiast lżyć was w podobny sposób powiem tylko, że raczej wy powinniście się mnie bać, a niżeli ja was. W tej chwili dał Mimbrenjo trzeci znak. *Vete-Ya* odpowiedział z wściekłością, gdyż poznał, że nie szydę, lecz mówię z całą powagą i świadomością.

— Czy słyszysz, jak znowu skrzeczy? Tak samo skrzeczysz i ty. Odtąd będę surowszy, żeby ci odjąć nadzieję i ochotę ratunku. Jak prawdą jest, że słyszysz głos tej żaby, tak prawdą jest, żeś już zgubiony.

— Mylisz się; jak prawdą jest, że słyszę skrzeczenie, tak prawdą jest, że nie możecie mi nic złego uczynić!

— Dobrze więc, udowodnię ci to! Odtąd będziesz stale owinięty derką, na każdym obozowisku, skoro tylko zdejmą cię z konia. Wtedy przekonasz się, czy potrafisz uciec! Rozwiążcie ręce, — zwrócił się do moich strażników, — potem zawinę go w koc. Od dzisiaj będę to sam zawsze czynił, żeby temu psu odebrać nawet cień nadziei.

Teraz porwał go naprawdę gniew, że byłem tak spokojny i skrępowany więzami, a nie uznawałem jednak jego przemocy. Właściwie podjąłem bardzo ryzykowną grę mówiąc tak otwarcie o ucieczce. Ale cóż? Byłem niezawodnie przekonany, że partię wygram.

Jeden ze strażników przyniósł mięso, inni zdjęli mi rzemienie z rąk. Chwila działania rozstrzygająca o moim losi była już blisko. Mimo to, okazywałem i w duchu czułem zupełny spokój. Tak być musi. Kto w tej chwili drży i traci pewność siebie, temu nie łatwo uda się przeżyć ją szczęśliwie. Porcję suszonego mięsa pocięto mi na długie, cienkie skrawki, które mogłem z łatwością rozgryzać zębami. Żułem je tak powoli i niewinnie, jak gdybym poza apetytem do niczego na świecie nie przykładał wagi; podniosłem się przy tym i przeciągnąłem trzymając nogi i stopy w ten sposób, że mogłem jednym ruchem rozciąć wszystkie więzy i rzemienie, którymi byłem skrępowany. Dwa cięcia wymagały już za wiele czasu, chociaż różnica wynosiła jedno mgnienie oka. Życie moje zawisło od ułamków sekundy.

Wódz obserwował mnie z ponurym wyrazem twarzy; gniewała go moja powolność i wygodnictwo w jedzeniu. Prawdopodobnie postanowił ukarać mnie później przez zaciśnięcie więzów na członkach.

— Kończ prędzej! — rozkazał. — Nie myślę tak długo na ciebie czekać! Ażeby uzyskać czas potrzebny do pochylenia się naprzód i wyciągnięcia noża udając przestrach wobec nagłego i ostrego rozkazu wypuściłem mięso z rąk. Nikogo więc nie zdziwiło, że się pochyliłem, ażeby je podnieść. Wyciągnąłem po nie lewą rękę. Podczas gdy oczy wszystkich były zwrócone na mięso i dłoń lewą, sięgnąłem prawą pod kamizelkę odpowiadając:

— Pędzej? Dobrze. Niech się więc zaraz stanie. Uważaj!

Przy ostatnim słowie miałem już ostrą klingę noża między ciałem, a rzemieniem. Jedno cięcie — zerwałem się, postawiłem wodzowi prawą nogę na ramieniu i przeskoczywszy przez niego popędziłem wprost przed siebie, ku ujściu wąwozu. Muszę przyznać, że gdy po skoku przez głowę wodza dotknąłem nogami ziemi, odniosłem wrażenie jakby to nogi załamały się pode mną. Musiałem jednak biec dalej, więc biegłem; mus podsyca siły. W pierwszej chwili, gdy przelatywałem nad trawą długimi susami, panowała za mną najgłębsza cisza, cisza wywołana niespodzianką i przestrachem. Wszyscy zgłupieli po prostu. Myśl niewiarygodna stała się tak nagle rzeczywistością. Potem jednak — gdy ubiegłem może sto kroków — rozwiął się czar i zabrzmiało z tyłu wycie, jakby chór tysięcy diabłów akompaniował mojemu popisowi. Nie oglądając się jednak pędziłem dalej; musiałem wyczerpać od razu wszystkie siły, aby dobiec do konia. W stanie, w jakim się znajdowałem, nie mógłbym wytrzymać takiego biegu nawet przez dwie minuty. Wtem ujrzałem mojego Mimbrenja wychodzącego spoza skały. Trzymając w prawej ręce swoją strzelbę; a w lewej mój sztucer, popędził naprzeciw mnie. Jeszcze z daleka zawołałem do niego:

— Czy konie są tutaj za skałą?

- Nie; poza pierwszym zakrętem.
- Ile kroków?
- Pięć razy po sto.

O biada! Jeszcze pięćset kroków w takim tempie! Nie, nie zdołałbym przebiec ich zdrętwiałymi nogami, dopędzono by mnie na pewno. Wobec tego nie mogłem oszczędzać Indian; krew musiała niestety popłynąć, chociaż jak zawsze, byłbym najchętniej uniknął jej rozlewu.

W biegu wyrwałem chłopcu sztucer z ręki i obmacałem zamek; wzorowy porządek w jakim był utrzymany tak pokrzepił moje siły, że stanąłem i obejrzałem się za prześladowcami. Byłem przekonany, że nie tracili czasu na szukanie broni palnej, lecz starali się dopędzić mnie jak najprędzej. Teraz okazało się, że tak było rzeczywiście. Biegli bezładną kupą krzycząc i machając rękami w powietrzu; na przodzie moi strażnicy i *Vete-Ya*.

— Stać! Bo strzelałem! — zawołałem do nich.

— Choć nie bardzo pewnie stałem na nogach przypuszczałem, że trafię. Przyłożyłem broń do oka. Yuma, nie zważając na przestrożę, zbliżyli się już mniej więcej na sto kroków; wobec tego dałem dwa strzały, dziewięćdziesiąt kroków; znowu dwa strzały, osiemdziesiąt, siedemdziesiąt, sześćdziesiąt kroków, po dwa strzały na każdą dziesiątkę. Było to razem dziesięć kul, z których każda utkwiała w biodrze jednego ze ścigających. Trafieni padali natychmiast, inni zobaczywszy to, stracili pewność siebie.

— Stać! — zawołałem powtórnie. — Powystrzelałem was do nogi!

Jeszcze dwie kule, obie celne. Dzielny Mimbrenjo stał przy mnie i strzelał także. Ja wrogów raniłem, jego kula niosła śmierć. Indianie stanęli; nie mieli ochoty narażać się na dalsze strzały. Wielu pobiegło z powrotem, ażeby przynieść strzelby. Jeden jednak pędził dalej zaślepiony gniewem. Był to *Vete-Ya*. Krzycząc ze wściekłości, jak dzikie zwierzę, wywijał nożem, jedyną bronią jaką posiadał w tej chwili; ścisnął nóż w lewej ręce, gdyż prawą miał bezwładną od czasu naszego pierwszego spotkania, gdy ratowałem moich Mimbrenjów od śmierci. Popęłniał po prostu szaleństwo goniąc za mną w ten sposób; nieostrożność tą mogło wytłumaczyć tylko nadzwyczajne podniecenie. Ponieważ nie chciałem okaleczyć mu i drugiej ręki, zdecydowałem się nie strzelać, lecz przyjąć go uderzeniem kolby w głowę. Był już blisko podnosząc wysoko nóż do pchnięcia, rzucił się na mnie; w tym jednak momencie uskokczyłem na bok i zamierzyłem się odwróconych sztucerem; klinga wodza przecięła powietrze, mój cios kolbą rozciągnął go nieprzytomnego na ziemię.

Wojownicy, którzy to widzieli podnieśli przeraźliwy wrzask przypuszczając, że ogłuszyłem wodza tylko po to, żeby go spokojnie zakłuć. Ci z nich, którzy pobiegli po strzelby, wracali teraz. Inni, przezorniejsi pędzili do swoich koni. Nie mogliśmy dłużej zwlekać. Pospieszaliśmy więc do wnętrza wąwozu, ażeby dosiąść wierzchowców.

Chłopiec wyprzedził mnie oczywiście tak, że zanim przebiegłem trzysta kroków zniknął już na zakręcie; po chwili ukazał się z powrotem siedząc na koniu i prowadząc mojego za uzdę. Podjechał galopem do mnie, w mig siedziałem w siodle, a był już najwyższy czas, bo właśnie w tej chwili ukazali się pierwsi Yuma uzbrojeni w karabiny. Wystrzelili, lecz chybili w pośpiechu. Obróciliśmy konie na miejscu i pocwałowaliśmy przez wąwóz tą samą drogą, którą Yuma przybyli tutaj ze mną przed południem.

Byłem więc wolny — od tej bowiem chwili mogłem uważać za wykluczone, aby czerwoni mieli mnie powtórnie chwycić, a jednak nie mogłem jeszcze zająć się swoją osobą; musiałem naprzód myśleć o czymś innym. Hacjendro stracił wszystko i powinien był otrzymać z powrotem przynajmniej trzody. A odzyskać je mógł tylko wtedy, gdyby oczekiwani przez mnie Mimbrenjowie mieli czas na odebranie ich wojownikom Yuma. Niestety, nie wiedzieliśmy, ani ja, ani mój towarzysz, gdzie czerwoni mieli obecnie swoje wigwamy. Ponieważ postój, który urządza się zwykle w połowie podróży, nastąpił po czterech dniach drogi, więc przypuszczałem, że dopiero po czterech dniach następnych mogli Yuma dostać się do swoich

pastwisk. Był to za krótki przebieg czasu, ażeby ich Mimbrenjowie mogli dopędzić. Ale czy nie podobna znaleźć sposobu na powstrzymanie Yuma w pochodzie? O, był przecież i to bardzo prosty sposób, leżący w mojej władzy. Ja sam mianowicie powinienem ich zwabić jak najdalej za nami.

Byłem pewien, że nie będą szczędzić wysiłków, żeby mnie znowu schwytać, przede wszystkim dlatego, że mieli pomścić śmierć *Gaty-Ya*... Następnie — wszak uciekłem z niewoli w tak haniebnym dla nich sposób. Twardo trzymali mnie w rękach, sztychli ze mnie i dali mi pięciu strażników, chociaż byłem otoczony prawie setką Indian; ja zaś powiedziałem im, względnie ich wodzowi zupełnie otwarcie, że ucieknę i dokonałem tego nie w nocy pod osłoną ciemności, lecz w biały dzień, na oczach wszystkich wojowników. Przy tym okulałem dwunastu z nich na całe życie, a dwóch zastrzeliłem Mimbrenjo. Jaka hańba, nie tylko dla nich, ale dla całego szczepu. Hańba niezmyta, którą złagodzić mogli jedynie, biorąc mnie do niewoli po raz drugi i zadając śmierć. Z tych wszystkich powodów wnosilem, że będą mnie ścigać zaciekle i uparcie. Jeśli stu ludzi nie zdołało mnie zatrzymać, to ilu potrzeba aby mnie znowu schwytać. W każdym razie więcej, a tych nie było; przeciwnie, liczba Yuma zmalała do czternastu. Dwunastu zranionych musiano pielęgnować; nie mogli ruszyć w dalszą drogę, gdyż kula w biodrze jest raną bardzo niebezpieczną. Skąd więc miano wziąć ludzi do transportowania zrabowanych trzód?

Rozważywszy to wszystko doszedłem do przekonania, że *Vete-Ya*, gdy oprzytomniał wydał następujące zarządzenia: trzody muszą na razie pozostać na miejscu; ranni zostaną także, a z nimi tylu wojowników ile potrzeba dla ich opieki i dozoru nad zwierzętami. Wszyscy inni muszą wyruszyć, żeby dopędzić Old Shatterhanda i uratować honor szczepu. Prawdopodobnie miałem więc za sobą czterdziestu lub pięćdziesięciu prześladowców, których gorliwość była tym większa, że do dawnych porachunków przybył jeszcze jeden — dzisiejszy.

Mógłbym z łatwością uciec im natychmiast, gdybym skręcił w prawo lub na lewo; popełniłbym jednak błąd, bo straciwszy z oczu moje ślady i przekonawszy się o bezowocności dalszego pościgu powróciliby do trzód, aby na nowo podjąć przerwana jazdę do swojej wsi. Trzody byłyby dla Timotea stracone. Ponieważ chciałem właśnie zachować je dla niego, musiałem przykuć uwagę prześladowców do mojego tropu.

Należało pozostać na drodze do hacjendy, gdyż przypuszczali zapewne, że obiorę ten właśnie kierunek. Nie mogłem się zbyt śpieszyć; im bliżej ocierali się o moje plecy, tym bardziej rósł ich zapał, tym żywiej kusił ich pościg i nie pozwalał odsyłać wojowników do trzód. Jeślibym natomiast znalazł Mimbrenjów, czekających na mnie w lesie Dębu Życia mógłbym wówczas z ich pomocą wziąć do niewoli cały oddział Yuma i powrócić jeszcze raz, żeby zabrać zrabowane trzody i zwrócić je właścicielowi. Nie miałem bowiem żadnych wątpliwości, że pozbawiony ostatniej podpory zszedłby aa nędzarza; po spaleniu domostwa, pól i lasów, zostały mu tylko łąki, które bez bydła nie przyniosłyby ani grosza dochodu. Mówiono mi przecież w Ures, że już od dłuższego czasu stan jego majątku znacznie się pogorszył.

Kiedy podzieliłem się myślami z moim towarzyszem, przyjął je z pełnym zrozumieniem rzeczy i zapytał ze swą, znaną mi już, powagą:

— Więc Old Shatterhand myśli, że pogoni za nami pięćdziesięciu Yuma?

— Przynajmniej czterdziestu lub pięćdziesięciu, — powiedziałem.

— Tyle nie będzie mogło ruszyć natychmiast. Muszą czekać, aż wódz się obudzi z omdlenia, ażeby usłyszeć jego rozkazy.

— Słusznie; kilku udało się z pewnością zaraz za nami, żeby nie stracić naszych śladów dopóki inni nie nadjadą. Rozmówię się z tymi kilkoma.

— Rozmawiać? — zapytał ze zdumieniem. — Czy dobrze słyszałem? Old Shatterhand ma rzeczywiście rozmawiać z tymi psami gończymi, które chcą go rozszarpać? Na jakież niebezpieczeństwo brat mój naraża się przy tym!

— Na żadne. Daleko większe było niebezpieczeństwo, na które tyś się narażał, gdy przyszedłeś do mnie w ową noc po spaleniu hacjendy.

— Wtedy miałem wynagrodzić popełniony przez mnie błąd. Byłbym poszedł na śmierć, gdyby to było potrzebne.

— Wierzę, skoro cię teraz bliżej poznałem. Odzyskałem wolność tylko przez ciebie i odwdzięczę się za to.

— Old Shatterhand jest sławnym wojownikiem, byłby się uwolnił i bez mojej pomocy.

— Może, choć nie tak prędko i nie bez szwanku lub rany. Czy nie dłużył ci się czas, gdy czekałeś na mnie przez te cztery dni i nocę?

— Nawet najdłuższy czas nie jest za długi jeśli się ma cierpliwość, a młodzieniec, który chce zostać wojownikiem musi się ćwiczyć nie tylko w dzielności, ale przede wszystkim być cierpliwym.

— Przecież nie mogłeś spać; w dzień musiałeś iść za nami, a nocą trwać w czujnym pogotowiu, aby mi pomóc w ucieczce!

— Wojownik musi sen opanować. Zresztą miałem dość czasu na spanie, gdyż kładłem się na spoczynek z rana, gdy wyruszaliście w drogę i jechałem za wami dopiero po kilku godzinach. Trzody ciągnęły tak powoli, że mogłem je prędko dogonić.

— Co myślałeś, gdy czekałeś na mnie na próżno?

— Nie myślałem nad tym wcale, gdyż wiedziałem, że Old Shatterhand przyjdzie, gdy nastąpi czas.

— Odpowiedzi twoje świadczą, że będziesz kiedyś nie tylko dzielnym wojownikiem, ale roztropnym i przezornym doradcą w zgromadzeniu wodzów i najstarszych plemienia. Życzysz sobie mieć imię. Skoro usiądę z twoimi braćmi przy ognisku powitania, opowiem im, jak wyraźnie udowodniłeś, że jesteś godzien imienia.

— Uff, uff! — wykrzyknął z błyszczącymi radością oczami, przęcając się w siodle.

— Tak jest; proponuję im, żeby ci dali imię.

— Chciałbyś to zrobić rzeczywiście? Moja wdzięczność byłaby tak wielka, jak cała ziemia i trwałaby do końca mojego życia!

— Tak; już postanowiłem to sobie.

— Zapytają mnie, jakie imię pokazał mi Wielki Manitou i jaki lek znalazłem. A ja nie będę mógł dać im odpowiedzi!

Skoro młody Indianin dorośnie już i nauczy się wszystkiego, co musi znać i umieć, aby zostać wojownikiem, wówczas szuka sobie imienia; idzie wtedy na pustkowie, pości i myśli o wszystkim, co przystoi wojownikowi i w ogóle sławnemu człowiekowi; samotność, surowy post, rozmyślanie o sławnych czynach podniecają go, nerwy naprężają się gorączkowo i wywołują sny, albo halucynacje. Pierwszy przedmiot jaki mu się przyśni lub zjawi w halucynacji zostaje jego „lekiem”, jego świętością na całe życie. Wtenczas uzbraja się i oddala od swoich, aby nie wrócić dopóki owego przedmiotu nie zdobędzie, znajdzie, zrabuje lub nie dostanie w jakiś sposób. Przedmiot ów, który może być duży lub mały może posiadać najfantastyczniejszą formę czy postać, zostaje zaszyty w skórę i troskliwie przechowywany. Wojownik zabiera go ze sobą na wyprawy wojenne, zawiesza na włócznie tkwiącej w ziemi przed jego namiotem. Ten lek jest dla niego świętością, najkosztowniejszą ze wszystkiego co posiada; walczy o niego z prawdziwą rozpaczą i wyczeraniem wszystkich sił. Dlatego jest wielkim bohaterstwem zdobyć lek jakiegoś wojownika, jakiegoś wroga, albo kilku lub nawet wielu nieprzyjaciół. A tym większej doznaje — hańby — gdy straci swój lek, czy to w walce, czy z jakiejś innej przyczyny. Słowa: „ten człowiek nie ma leku” są najśmiertelniejszą obrazą jaką tylko można dotknąć Indianina. Tak pomiatany czerwonoskóry nie spocznie, dopóki nie zdobędzie leku jakiegoś wroga; wtedy zdobycz staje się jego lekiem; przywraca zwycięscy cześć i honor.

Młody Indianin przyjmuje najczęściej jako imię nazwę przedmiotu, o którym śnił, a więc nazwę swego leku. Dlatego trafia się często na najdziwniejsze imiona, jak na przykład: „Nieżywy Pająk”, „Rozdarty Liść”, „Długa Nitka”, itd. Nosiciele tych imion śnili właśnie, gdy szukali świętości o nieżywym pająku, rozdartym liściu, drugiej nici i dlatego noszą te przedmioty ze sobą jako leki. Bywa jednak, że gdy młodzieniec odznaczy się przez jakiś niezwykły czyn, otrzymuje imię zaszczytne, które ma ów czyn przypominać. Takie imię bywa daleko więcej cenione niż zwykle, wysnute z leku. Dlatego na ostatnie słowa mego młodego towarzysza rzekłem:

— Ja im dam odpowiedź jeśli zapytają.

— Ty?

— Tak, gdyż mam imię dla ciebie.

Na to pochylił głowę, ażeby opanować swoją radość. Chętnie byłby zapytał o to imię, gdyby nie sprzeciwiało się to wszelkim regułom grzeczności i skromności. Dlatego nie omieszkałem sam zaspokoić jego ciekawości.

— Czy domyślasz się jakie imię ci przeznaczyłem?

— Nie.

— Więc powiedz mi, jaki jest pierwszy czyn, którym się odznaczyłeś.

— Moim pierwszym czynem, — odpowiedział z westchnieniem — było wpędzenie Old Shatterhanda w ręce wrogów.

— To już naprawiłeś i o tym nie ma mowy; nie był to czyn, lecz nieroztropność, brak ostrożności zalecanej przeze mnie. Twoim pierwszym prawdziwym czynem, wykonanym z rozmysłem i samozaparciem się było moje uwolnienie. Jak myślisz, co na to powiedzą twoi wojownicy.

— Kto uwolnił Old Shatterhanda ten jest najszcześliwszym i najślawniejszym z wojowników i nie będzie nigdy potrzebował leku.

— Więc dobrze; ty pomogłeś mi w odzyskaniu wolności i zastrześliłeś przy tym dwóch Yuma; zaproponuje więc przy ognisku rady najstarszych twego plemienia, aby ci dali imię Yuma Shetar — Tępicieł Wojowników Yuma — jestem przekonany, że zgodzą się na tę propozycję.

— Z całą pewnością zgodzą się, z całą pewnością! — zawołał, raczej wykrzyknął głośno. Jest to przecież zaszczyt i sława dla całego szczepu Mimbrenjów otrzymać od Old Shatterhanda taką propozycję. O Manitou, Manitou! Wiedziałem dobrze, że przy Old Shatterhandzie znajdę daleko prędzej i daleko lepsze imię niż gdziekolwiek indziej! Nasi wojownicy będą mi zazdrościć; kobiety będą opowiadać o mnie, a przede wszystkim mój ojciec, Nalgu Mokaszi, przycisnie mnie do swego serca, a mój mały brat ucałuje mnie w usta. O, gdyby on mógł pozostać przy tobie! Przypuszczam, że zdobyłby sobie również imię podobne do mojego!

— Najprawdopodobniej! To może jeszcze nastąpić, gdyż jestem przekonany, że wkrótce zobaczę znowu twego brata. Jeśli jest podobny do ciebie nie tylko zewnątrz, to po przybyciu do swoich nie spocznie dopóki nie uzyska pozwolenia od ojca, aby mógł razem z nim ruszyć przeciw Yuma.

— Ja również tak sędzę. Mój ojciec, wielki wódz Mimbrenjów jest bardzo surowy; rzadko zważa na zwykłe życzenia swoich dzieci, ale ze spełnieniem takiej prośby, która musi go uradować z pewnością nie będzie zwlekał! Jakby to było wspaniale, jakby uroczystość nadanie imion mnie i mojemu bratu przypadła w jednym czasie!

Podczas tej rozmowy przebyliśmy nie tylko wąwóz, lecz również szeregi wijących się za nim dolin; na każdym zakręcie spoglądaliśmy w dół czy prześladowców jeszcze nie widać; nie zauważyliśmy ich dotychczas. Mimo to byłem przekonany, że są już niedaleko za nami.

Niebawem znaleźliśmy się na pewnego rodzaju małej prerii, szerokiej na kwadrans jazdy konnej. Po przeciwnej stronie rosły krzaki dające bardzo dobre ukrycie. Dojechawszy tam zatrzymałem wierzchowca i zeskoczyłem na ziemię.

— Czy Old Shatterhand chce już tutaj odpocząć?

— Nie; zatrzymamy się tylko na krótki czas, żebym mógł pomówić z wojownikami Yuma.

Chociaż zamiar mój wydawał mu się zapewne więcej niż dziwny, nie odezwał się słowem. Odwiązałem od siodła pakunek z nowym ubraniem, ażeby się nareszcie w nie przebrać, gdyż stare ucierpiało tyle podczas mojej niewoli, że już teraz mogłem ująć za włóczęgę i żebraka. Przy tej sposobności muszę nadmienić, że Indianie mieszkający na południu są o wiele wrażliwsi na strój człowieka niż ich północni bracia; Meksykanin również ubiera się daleko ozdobniej i wystawniej niż praktyczny Jankes. Północny Siouks albo Crow nie odmawia białemu myśliwcowi szacunku nawet gdy ten stanie przed nim w łachach, natomiast Pimo lub Yagui nie może się pogodzić z tym, że lichy ubraną osobę ma uważać za dzielnego człowieka. A przecież o stosunkach między ludźmi stanowi wrażenie pierwszej chwili. Gdybym nie był się pokazał w hacjendzie w moim starym ubraniu, Timoteo Pruchillo prawdopodobnie uwierzyłby mi prędzej i nie byłbym zmuszony wypoliczkować i wrzucić do strumienia jego oryginalnego majordomusa. Z tego widać, że nawet w tych odludnych okolicach sądzą ludzi po sukniach.

— Uff! — zawołał Mimbrenjo zdziwiony, gdy wyszedłem zza krzaków, za którymi się przebrałem. — Prawie, że nie mogę cię poznać, ale też takim przedstawialiśmy sobie z bratem Old Shatterhanda, gdy nam opowiadano o nim i o Winnetou.

Milczeniem zbyłem to otwarte wyznanie, które mnie trochę zakłopotало. Podałem mu niedźwiedziówkę mówiąc:

— Niech mój młody czerwony brat zostanie tutaj i weźmie tę strzelbę, której nie potrzebuję teraz. Skoro Yuma ukażą się wyjdę im naprzeciw i pomówię z nimi. Jeśli nadciągną z taką siłą, że odważą się mnie zaczepić będziemy się bronili spoza tych zarośli.

Stanąwszy tuż za pierwszymi krzakami obserwowałem drogę przez nas przebytą. Stało się tak, jak przypuszczałem; już po niedługim czasie zobaczyłem po przeciwnej stronie łąki trzech jeźdźców, którzy zbliżali się do nas klusem. Wyjechałem naprzeciw nich, przybrawszy postawę człowieka, który zupełnie spokojnie i bez troski udaje się w swoją drogę. Przy tym nachyliłem się nieco naprzód, jakbym był tak zmęczony, że nie zwracam wcale uwagi na leżącą przede mną okolicę.

Yuma dostrzegłszy mnie przystanęli na chwilę; nie widząc jednak nikogo więcej ruszyli dalej; nie obawiali się przecież człowieka jadącego samopas. Udawałem, że ich nie widzę. Sztucer trzymałem w poprzek siodła, żeby móc jednym ruchem złożyć się do strzału. Byłem przekonany, że nie poznają mnie, a przynajmniej nie z miejsca, przecież tak bardzo byłem przeinaczony dzięki nowemu ubraniu, ponadto owinałem twarz jaskrawą meksykańską chustą, zwaną gargantille, służącą do ochrony przed słońcem, ponieważ zaś szerokie sombrero zachodziło mi aż na oczy, więc z mojego oblicza widoczny był tylko nos.

Kiedyśmy się tak zbliżyli, musiałem słyszeć tętent ich koni, wyprostowałem się udając że spostrzegłem ich dopiero w tej chwili i zatrzymałem konia. Indianie stanęli w odległości mniej więcej dziesięciu kroków ode mnie; byli to trzej z moich pięciu strażników. Jeden z nich odezwał się w używanym tutaj żargonie hiszpańsko-indiańskim:

— Skąd przybywasz?

— Z hacjendy del Arroyo odpowiedziałem zmienionym głosem, co przyszło mi łatwo, gdyż szal zakrywał usta do połowy.

— Dokąd się udajesz?

— Do *Vete-Ya*, wodza dzielnych Indian Yuma.

— W jakim stanie znalazłeś hacjendę?

— Zburzoną, zniszczoną doszczętnie.

— Przez kogo?

— Przez Yuma.

— A ty jedziesz do nich? Czego chcesz od nich?

— Chcę pertraktować z nimi o trzody, które zabrali.

— Z czyjego polecenia?

— Jestem wysłańcem hacjendera; pragnie odkupić zwierzęta, więc polecił mi zapytać wodza o cenę.

— Jedziesz na próżno; wódz zwierząt nie sprzeda.

— Skąd wiecie o tym?

— Należymy do jego wojowników.

— Jeśli tak, to naturalnie znacie jego postanowienia; a jednak mimo to chciałbym się z nim widzieć, gdyż muszę spełnić wolę hacjendera.

— Zdaje się, że nie doceniasz niebezpieczeństwa. Wojownicy Yuma wykopali topór wojenny przeciw białym.

— Wiem o tym, nie obawiam się jednak, gdyż jako poseł jestem nietykalny. Gdzie rozbili obóz wojownicy Yuma, którzy byli w hacjendzie?

— Jeśli zaczekasz tutaj, albo pojedziesz powoli naszym śladem, to spotkasz w krótkim czasie wodza z pięćdziesięcioma wojownikami.

— Dziękuję wam. Bądźcie zdrowi!

Udałem, że chcę już pociągnąć za cugle, chociaż byłem pewien, że czerwoni zagadną mnie jeszcze o wiele rzeczy. Właśnie na tych pytaniach zależało mi najbardziej, ponieważ miałem nadzieję wyciągnąć z nich pożytek.

— Stój, zaczekaj jeszcze! — zabrzmiał ich rozkaz. Więc rozmawiałeś z hacjenderem?

— Naturalnie! Inaczej nie mógłbym zostać jego pełnomocnikiem!

— Hacjendero był w drodze do Ures w towarzystwie bladej twarzy, która nazywa się Melton?

— Nie widziałem białego, nazwiskiem Melton.

— Może widziałeś innego białego nazwiskiem Weller i jego syna?

— Nie widziałem.

— Więc zapewne natrafiłeś na oddział naszych wojowników, u których te blade twarze były przez dwa dni w niewoli?

— Nie. Widziałem tylko hacjendera i z nim tylko rozmawiałem.

— Gdzie?

— W ruinach jego domu. Przybyłem do hacjendy, żeby mu zwrócić pieniądze, jakie mu byłem winien. Za te pieniądze chce kupić z powrotem bydło i prosił mnie żebym podążył za Yuma i pertraktował z nimi.

— Kto ma pieniądze, ty czy on? On naturalnie.

Moi strażnicy spoglądali po sobie z zakłopotaniem. Ten, który dotychczas mówił, odezwał się po namyśle nie zważając na moją obecność:

— Musiało się tam stać coś niespodziewanego! Hacjendero wrócił, a reszty bladych twarzy nie ma przy nim! Nasi wojownicy nie pokazali się, chociaż powinni być już w drodze za nami. Hacjendero chce kupić z powrotem bydło; ma pieniądze! To może im pomieszać szyki! Gdzie wobec tego są owe blade twarze, które razem z żonami i dziećmi mają zaprowadzić w góry nasi wojownicy?

Dwaj jego towarzysze potrząsnęli głowami w milczeniu, on zaś zwrócił się znowu do mnie:

— Czy nie spotkałeś niedawno dwóch jeźdźców? Tak. Był to biały z młodym Indianinem.

— Jak był biały ubrany?

— Jak obdartus i włóczęga.

— Jaką miał broń?

— Widziałem dwie strzelby

— To się zgadza; ten pies Mimbrenjo je przyniósł!

Powiedział to jakby do siebie, albo do swoich towarzyszy, potem zwrócił się znowu do mnie:

— Czy jechali bardzo prędko?

— Nie, — odpowiedziałem, ściągnając ostrzej uzdę, ażeby cofnąć konia o kilka kroków. Zsiadli z koni.

— Gdzie?

— Tam za mną, w zaroślach.

— Uff! Musimy się więc cofnąć prędko, gdyż długi karabin białego sięga aż tutaj, a jego mała strzelba strzela bezustannie bez ładowania. Chodź z nami! Zawróćmy, aby połączyć się ze swoim oddziałem. Będziesz mógł pomówić z wodzem.

— Mamy czas na to. Zaczekajcie jeszcze chwilę! Chciałbym coś dostać od was.

— Co?

— Wasze strzelby i wasze konie.

— Dlaczego, po co? — zapytał, patrząc na mnie zdumiony.

— Dlatego! — odpowiedziałem zsuwając lewą ręką szal z twarzy, a prawą kierując na nich sztucer. Powiedzieliście sami, jak długo mogę strzelać z tej strzelby. Kto z was ruszy się z miejsca dostanie w jednej chwili kulą w łeb! A tym w zaroślach stoi Mimbrenjo z moją niedźwiedziówką, której kule sięgają dalej niż, do tego miejsca!

Trzej czerwoni skamienieli, nie tylko na skutek mojego rozkazu, lecz ze strachu przed lufą sztucera i patrzyli osłupiałymi oczami na moje odsłonięte oblicze.

— Uff! — wykrztusił ten, który ze mną rozmawiał. — To jest Old Shatterhand!

— Old Shatterhand, Old Shatterhand! — powtórzyli jego obydwaj towarzysze.

— Tak, Old Shatterhand, — powiedziałem. — Chcieliście mnie schwytać, a oto jesteście sami w niewoli. Puszczę was jednak wolno i pozwolę wrócić do waszego wodza. Rzućcie strzelby na ziemię!

Zwyczajem indiańskim trzymali strzelby w rękach, choć nie gotowe do strzału. Teraz nie odważyli wprawdzie zrobić z nich użytku, ale rozkazu również nie posłuchali.

— Prędko, bo strzelam! Nie czekam ani chwili! — huknąłem na nich. Raz, dwa...

Wypuścili karabiny z rąk, zanim jeszcze wypowiedziałem „trzy”.

— Zsiądźcie i ustąpcie na bok!

Usłuchali.

— Teraz uciekajcie. Który z was się obejrzy dopóki będę mógł go widzieć dostanie kulą!

Popędzili natychmiast co sił w lędźwiach. Ucieszny był to widok, kiedy umykali z takim zapałem. Dopóki mieli mnie w swoich rękach szydzili i wyśmiewali się ze mnie, teraz stulili uszy jak zające, kiedy dają drapaka.

Nie czekałem, aż znikną, gdyż byłem przekonany, że nie odważą się odwrócić. Zsiadłem, żeby podnieść ich strzelby i przytrzymać konie, które zaczęły się niepokoić, gdy ich panowie pierzchli.

Mimbrenjo nadjeżdżał już w pełnym galopie, żeby mi pomóc.

— Uff, uff! — wołał do mnie z daleka. — Old Shatterhand jest wielkim czarownikiem; jemu udają się wszystkie, nawet najtrudniejsze przedsięwzięcia.

— To nie było trudne.

— Bez walki rozbroić trzech wrogów i zabrać im jeszcze konie? To nie ma być trudne? Ktoby to przedtem pomyślał! Gdy powiedziałeś, że chcesz z nimi rozmawiać, bardzo się bałem o ciebie!

— Miałem sprzymierzeńca.

— Tak jest; miałeś, gdyż stałem z twoją niedźwiedziówką w rękach gotów strzelać natychmiast, gdyby okazali chęć do obrony. Twoja strzelba jest tak ciężka, że nie mogąc jej utrzymać musiałem oprzeć w rozwidleniu gałęzi, aby mierzyć z niej pewnie.

— Dzielnie postąpiłeś, chociaż bez potrzeby. Miałem na myśli innego sprzymierzeńca, mianowicie raptowne zaskoczenie ich. Niespodzianka podwoiła ich obawę przed moimi karabinami. Teraz jednak musimy odjechać; towarzysze ich mogą nadejść lada chwila.

Umocowaliśmy strzelby Yuma na łąkach siodeł zdobytych koni; Mimbrenjo wziął jednego za uzdę, ja dwa i niebawem ruszyliśmy z początku powoli, poprzez zarośla, a potem skoro dostaliśmy się na wolne pole, pełnym, galopem. Z tą szybkością pędziliśmy tak długo, dopóki groziło nam bezpośrednie niebezpieczeństwo. Skoro jednak krzaki wyglądały już tylko jak cienki pasek, zatrzymaliśmy konie znowu; wszak chciałem wodzić za sobą Yuma należało pokazywać im się od czasu do czasu, żeby ich energię wciąż na nowo podsycać.

W czasie tego postoju Mimbrenjo zwracał ku mnie nieśmiało spojrzenie, w których odczytywałem prośbę, domyśliłem się, że ciekaw był o czym rozmawiałem z Yuma. Opowiedziałem mu wszystko. Jako chłopiec niedoświadczony nie mógł oczekiwać takiej poufałości, więc tym bardziej był z niej dumny. Gdy skończyłem patrzył przez chwilę zamyślony w ziemię, poczym rzekł:

— Przy Old Shatterhandzie uczy się człowiek z godziny na godzinę. Poznawszy jakich podstępów musi używać wojownik dowiadywa się potem wkrótce, w jaki sposób wydobyć od kogoś wiadomość, której on nie chce lub nie powinien udzielić. Teraz wiemy już prawie wszystko!

— O, jeszcze daleko do tego! Głównej rzeczy nie udało mi się wykryć.

— Czy Old Shatterhand zechce mi powiedzieć co ma na myśli?

— Chętnie. Przede wszystkim wiemy, że mamy na piętach pięćdziesięciu prześladowców pod przewodnictwem samego *Vete-Ya*. Co można z tego wywnioskować?

— Ze trzody i ranni wojownicy nie wyruszyli dalej, a zostali w owej dolinie, z której uciekłeś.

— Słusznie! — Wiemy, że Melton, Wellerowie, hacjendero, a nawet i biali emigranci są wolni.

— Czy to nie wystarcza?

— Nie.

— Przecież zależało ci jedynie na tym, aby ich uratować! A teraz są oto wolni.

— Są wolni, ale gdzie się znajdują? Mają być zaprowadzeni przez Yuma w góry. To mi się wydaje podejrzane. Jakie góry sobie upatryli? Co mają tam robić emigranci? Przybyli tutaj żeby pracować na hacjendzie del Arroyo. Po co więc prowadzi się ich do nieznanych okolic i to w towarzystwie wrogich Indian?

— Tego nie potrafię powiedzieć — odparł Mimbrenjo.

— Pociesz się, że ja także nie wiem; nie spocznę przecież dopóki nie wyjaśnię tej sprawy. — Dalej: hacjendero miał jechać z Meltonem do Ures. W jakim celu? W innych okolicznościach nie uważałbym tej podróży za rzecz podejrzaną, lecz Melton sprowadził Yuma, zniszczył hacjendę, a teraz jedzie do Ures z jej właścicielem, którego obrócił po prostu w żebraka, podczas gdy robotnicy, straciwszy również całą chudobę wskutek napadu, zostali wywiezieni przez Indian w góry. Hacjendero powinien być tam gdzie oni; dlaczego więc ich rozdzielają?

— Czy będziesz mógł się o tym czegoś dowiedzieć?

Tak jest. Skoro tylko uratujemy trzody, pojedę do Ures. — A wreszcie, gdzie są Yuma, którzy strzegli pojmanych białych? Jeśli ci są na wolności, to ich strażnicy mogą podążyć za głównym oddziałem. Powinni już tutaj być; wszak jadą daleko prędzej niż my z trzodami.

— Możemy spotkać ich jeszcze dzisiaj!

— Dlatego musimy być ostrożni, abyśmy nie wpadli im w ręce. Ale patrz! Czy widzisz naszych prześladowców?

— Nadjeżdżają. Zatrzymują się przed krzakami. Czy sądzisz, że nas widzą?

— Tak. Jeśli my ich widzimy, to oni muszą nas również zauważyć. Ruszają galopem. Możemy jechać dalej, skoro nas widzą, nie przyjdzie im na myśl zawrócić. Najwyżej mogliby odesłać z powrotem tych trzech, którym zabraliśmy konie. W drogę więc!

Popędziliśmy dalej, przez równinę, potem dolinami i łańcuchami pagórków; wreszcie znaleźliśmy się znowu w okolicy płaskiej i nizinnej. Tutaj stał ów długi las, na skraju którego

obozowaliśmy przed kilkoma dniami; mogliśmy dojechać do niego jeszcze przed zapadnięciem nocy. Naturalnie przebiegaliśmy teraz tę przestrzeń o wiele szybciej niż poprzednio z trzodami, poruszającymi się jak ślimaki. Ślady naszej jazdy były jeszcze bardzo wyraźne; wydrążyły po prostu koleiny, które nawet ślepy mógł namacać.

Czas upływał; słońce zniżało się na zachodniej stronie nieba coraz bardziej; byliśmy już blisko lasu.

Słońce dotykało prawie horyzontu, gdy naraz mój towarzysz wyciągnął rękę i wskazując wprost przed siebie, zawołał:

— Patrz, tam nadjeżdżają byli strażnicy białych emigrantów, Yuma, z którymi nie chcieliśmy się spotkać!

Miał słuszną przynajmniej pod tym względem, że jeźdźcy się ukazali. Była ich spora gromada. Liczby sprecyzować nie mogłem z powodu znacznej odległości. Okoliczności przemawiały za tym, że mieliśmy przed sobą pozostałych w pobliżu hacjendy Yuma, podążających obecnie za swoim głównym oddziałem. Zboczyliśmy pod kątem prostym na prawo, żeby im zejść z drogi i ściągnęliśmy cugle.

Sądziłyśmy, że jeźdźcy nie spostrzegli nas jeszcze. Kiedy jednak obejrzałem się kilkakrotnie spostrzegłem maleńki punkt, który odłączył się od oddziału i zwrócił w naszym kierunku. Co prawda nie wziąłem w rachubę nisko stojącego słońca. Jego jaskrawe promienie oświetlały nas z przodu; dlatego nie uszliśmy uwagi jeźdźców zdążających na wschód. Jednakże uspokajała mnie okoliczność, że oddział nie zmienił kierunku, a wysłał tylko jednego człowieka, który według wszelkiego prawdopodobieństwa nie dopędzi nas.

Oddział zwolnił zapewne, aby ułatwić powrót owemu wysłańcowi; posuwał się z zachodu na wschód; my jechaliśmy z południa na północ. Drogi nasze tworzyły więc kąt prosty, albo dwa boki prostokąta, po którego przekątnej cwałował ów pojedynczy jeździec. Miał najdłuższą drogę do przebycia, a jednak jak szybko posuwał się naprzód! Nie przypuszczałem, aby mógł nas dopędzić, a tymczasem postać jego tak niespodziewanie rosła z chwili na chwilę, że musiałem uznać swoją pomyłkę. Punkt, z początku ledwie dostrzegalny, teraz nabrzmiał do wielkości dyni; jeszcze chwila, a mogliśmy rozróżnić kształt jeźdźca i konia. Ten miał naprzód wielkość małego pieska, później psa owczarskiego, charta, doga; rósł jeszcze, zbliżał się coraz bardziej, chociaż nie zmniejszaliśmy szybkości naszych zwierząt. Mojemu towarzyszowi wyrwało się wielokrotnie „uff”, a ja byłem niemal zdumiony tą trudną do uwierzenia chyżością rumaka.

W iifnych krajach i strefach nie tylko widziałem, ale sam jeździłem na szlachetnych, czystej krwi wierzchowcach; tutaj jednak w Ameryce Północnej były znane dwa tylko konie o takim rozpędzie, które można nazwać prawie lataniem; mianowicie obydwie karosze na których ja i Winne — tou przebiegaliśmy tak często przez prerie i sawanny.

Winnetou! Mimowolnie zatrzymałem konia i przysłoniłem oczy ręką, żeby lepiej widzieć. Koń był czarny, nogi migały tak szybko, że nie można było ich zobaczyć. Dookoła jeźdźca świeciło kolorem jasnym i czerwonym, ciemny welon powiewał za nim, a na strzelbie jego zauważyłem srebrne i złote iskry. Serce zabiło mi radośnie. Czerwony odblask pochodził od koca santillowego, który Winnetou nosił zawsze jako szarfę; ciemny welon tworzyły jego długie, czarne włosy, a iskrę krzeswały promienie zachodzącego słońca, odbijając się od błyszczących jasnych gwoździ, którymi była obita jego osławiona i groźna srebrna rusznica.

Winnetou nie poznał mnie jeszcze, gdyż nosiłem się po meksykańsku, a koń mój był po prostu chabetą w porównaniu z jego szlachetnym rumakiem. Ale był jeden sygnał, który mogłem mu rzucić. Głosy naszych strzelb znałyśmy tak dokładnie, że niejednokrotnie dzięki nim odnajdowaliśmy się nawzajem w dziewiczym lesie.

Winnetou był jeszcze tak daleko, że szczegółów jego wysokiej, smukłej postaci nie można było rozpoznać, gdy podniosłem niedźwiedziówkę i wypaliłem. Skutek był momentalny. Jeździec w największym pędzie zatrzymał konia, który stanął dęba tak wysoko, że się o mało

nie przewrócił wstecz, potem popędził dalej, podniósł się w strzemionach i zawołał pełnym radości głosem:

— *Szarlieh, Szarlieh!*

W ten sposób zwykł był wymawiać z angielska moje imię Karol.

— *Winnetou, Winnetou, n'szo, n'szo!* — Winnetou, Winnetou, jak dobrze, jak dobrze! — odpowiedziałem, jadąc naprzeciw.

Wódz Apaczów siedział na pędzącym karoszu ze strzelbą opartą na kolanie — dumny, wyprostowany; jego szlachetne oblicze o rysach prawie rzymskich promieniało z radości, oczy świeciły jasno. Zeskoczyłem z konia. Winnetou nie zadawał sobie wcale trudu, aby zatrzymać w biegu swego rumaka; spuścił strzelbę na ziemię i przelatując obok mnie zesunął się bokiem z siodła, padając w moje otwarte objęcia i przyciskając mnie do siebie całował raz po raz.

Niegdyś wrogowie śmiertelni byliśmy obecnie dozgonnymi przyjaciółmi. Jego życie należało do mnie, moje do niego — w tych słowach zawiera się wszystko. Tak długo nie widzieliśmy się, a oto teraz stał przede mną w swoim półindiańskim, dobrze mi znanym stroju, w którym wyglądał tak wspaniale. Długo pozostaliśmy we wzajemnym uścisku; gdy nareszcie ochłonąłem z pierwszego wybuchu radości, zobaczyłem jego konia, który zatoczywszy krótki łuk, powrócił do niego jak wierny pies; słysząc mój głos zarżał radośnie, potarł swoją małą, zgrabną głową o moje plecy i wreszcie wargami dotknął mojego policzka.

— Patrz! Poznaje cię i całuje! — uśmiechnął się Winnetou. — Old Shatterhand jest przyjacielem ludzi i zwierząt i dlatego nie zostaje przez nikogo zapomniany.

Po tych słowach spojrzałem na mojego konia i przez jego oblicze, zwykle tak poważne, przewiał wesoły uśmiech.

— Biedny Szarieh! — rzekł. — Gdzież byłeś, że się nie znalazło dla ciebie nic lepszego! Ale od dzisiaj będziesz jechał na godnym zwierzęciu.

— Co mówisz? — zapytałem prędko. — Masz ze sobą *Hatatitlę*, Błyskawicę? Takie imię nosił karosz, na którym jeździłem, podczas, gdy Winnetou nazwał swego ogiera Iliczi — Wiatr.

— Chowałem go dla ciebie — odpowiedział. — Jest jeszcze młody i ognisty, jak dawniej; wzięłem go ze sobą, ponieważ oczekiwałem twego przybycia.

— Wspaniale! Na tych koniach mamy przewagę nad wszystkimi wrogami. Ale jak dostałeś się tutaj do Sonory, skoro miałem cię spotkać wyżej, nad rzeką Rio Gila?

— Musiałem udać się do kilku plemion Pimów, żeby załagodzić — niesnaski i pomyślałem przy tym o moim walecznym czerwonym bracie Nalgu Mokaszi, wodzu Mimbrenjów, którego już tak dawno nie widziałem. Pojechałem więc, żeby go odwiedzić i gdy siedzieliśmy razem przy ognisku powrócił właśnie jego młodszy syn z siostrą; przyniósł poselstwo od ciebie. Zwołaliśmy natychmiast stu pięćdziesięciu wojowników i zabrawszy zapas mięsa na wiele dni wyruszyliśmy w trzy godziny po otrzymaniu wiadomości. Czy Old Shatterhand jest zadowolony?

— Niezwykle! Dziękuję mojemu bratu Winnetou. Czy mój przyjaciel, wódz Mimbrenjów, przyjechał także?

— Jak mógłby zostać, gdy woła go Old Shatterhand, który palił z nim fajkę przyjaźni i właśnie teraz uratował od śmierci jego troje dzieci! Młodszy syn przybył również; nie chciał zostać w wigwamie, ponieważ jego starszy brat jest przy tobie. Mamy sobie dużo do opowiedzenia, ale teraz siadaj na konia, gdyż Mimbrenjowie nadjeżdżają i musisz się z nimi przywitać!

Najchętniej byłbym mu natychmiast opowiedział aktualne momenty moich przeżyć i wzajem zasięgnął informacji, nie było to jednak zgodne z jego zwyczajem. Wskoczyliśmy więc na konie. Winnetou wystrzelił w powietrze, by zwrócić uwagę naszych sprzymierzeńców, oni zaś, widząc nas jadących spokojnie obok siebie zatrzymali konie. Ruszyliśmy ku nim; za nami mój młody towarzysz, który nie odważył się wypowiedzieć słowa, tylko wpatrywał w najsłynniejszego wodza Apaczów pełnym szacunku i podziwu wzrokiem.

Skoro pojechaliśmy do Mimbrenjów, przekonałem się, że wszyscy byli dobrze uzbrojeni i posiadali karabiny. Na czele posuwał się Nalgu Mokaszi, mój wierny, chociaż nieco szorstki, przyjaciel z dawniejszych czasów. Wszyscy mieli twarze pomalowane barwami wojennymi ich szczepu, to jest w żółte i ciemnoczerwone pasy; był to dowód, jak poważnie brali przysługę, którą mieli mi wyświadczyć.

Wódz, wysoki i grubokościsty, jechał na krzepkim dereszku. Patrzył na nas z oczekiwaniem nie poznając z daleka, gdyż nie widział mnie jeszcze nigdy w meksykańskim ubraniu. Skoro jednak zbliżyliśmy się dostatecznie, oblicze jego, pomimo warstwy farby, przybrało wyraz radosnego zdumienia.

— Uff, uff! — zawołał. — To przecież Old Shatterhand, przyjaciel naszych serc, którego nie widzieliśmy przez tyle księżyców! Przybyliśmy, aby mu dopomóc przeciw tym psom Yuma!

Indianin zwykł panować nad wzruszeniami, atoli tym razem radość Mimbrenjów była tak wielka, że wy buchnęli głośnym okrzykiem. Nalgu Mokaszi zeskoczył z konia, ażeby się ze mną przywitać. Sądził, że uczynię to samo; według zwyczajów indyjskich mieliśmy na miejscu spotkania wypalić fajkę powitania i pokoju. Ja jednak zostałem w siodle, podałem mu tylko rękę i odpowiedziałem:

— Moja dusza raduje się na widok brata Nalgu Mokaszi i jego dzielnych wojowników; chciałbym im wiele rzeczy opowiedzieć i zapytać ich również o wiele rzeczy, ale musimy natychmiast opuścić to miejsce, gdyż Yuma nadciągną w ciągu kilku minut. Niech moi bracia zawrócą; pojedziemy z powrotem.

— Te psy jadą za tobą? Zaczekamy więc tutaj na nich i zabierzemy im wszystkim życie i skalpy!

— Gdybyśmy tutaj zostali Yuma uciekliby na nasz widok. Dlatego niech wódz Mimbrenjów postąpi inaczej. Jedźmy prędko do lasu, który moi bracia niedawno mijali; tam możemy oczekiwać na nich w ukryciu. Ślady czerwonych braci zatrzymamy, żeby nasi prześladowcy nie mogli ich odczytać dokładnie.

Odpowiedź wodza na moje słowa przerwało coś, czego nikt się nie spodziewał; mianowicie z poza szeregów Indian rozległo się głośne, radosne rżenie. Był to koń, którego Winnetou przyprowadził dla mnie; poznawszy mój głos starał się wyrwać z ręki trzymającego go za uzdę Indianina i przybiec do mnie.

— Hatatitla — zawołałem. — Puśćcie go!

Mądre, wierne zwierzę przybiegło w podskokach, obwąchało mnie, a gdy pogłaskałem je po wysmukłej szyi i długiej, błyszczącej grzywie, okrążyło mnie kilkakrotnie, rżąc i prychnając; wreszcie stanęło spokojnie obok mnie.

— Uff, uff! — wykrzyknęli Indianie, wzruszeni tą wiernością nie mniej ode mnie. Wszak była to moja błyskawica, koń który wyniósł mnie z tyłu niebezpieczeństw i nie raz ratował życie dzięki rozumowi i niezrównanej szybkości. Wyglądał tak świeżo jak dawniej i jego duże, rozumne oczy błyszczały nie — przygaszonym jeszcze ogniem. To samo siodło indiańskie, którego zawsze używałem miał na grzbiecie. Przeskoczyłem na niego. Jeszcze nie siedziałem dobrze, jeszcze nie zdążyłem znaleźć strzemion, a już karosz rzucił się w powietrze wszystkimi czterema nogami. Biegł ze mną jak uradowany pies tam i z powrotem, zataczał koła i stawał dęba bądź przednimi, bądź tylnymi nogami. Pozwoliłem mu przez kilka chwil na tę zabawę; gdy potem ścisnąłem go kolanami posłuchał natychmiast i zatrzymał się właśnie przed Winnetou i Nalgu Mokaszi, który tymczasem dosiadał znowu swego białego konia.

Mój brat Old Shatterhand widzi, że nawet koń nie zapomniał o nim — odezwał się Apacz. — Jak więc często myśleli o nim ludzie, z którymi przebywał! Gdy zasiądziemy w spokojnym kole przy ognisku obozowym opowiem memu bratu, co się działo na dzikim zachodzie w czasie jego nieobecności. Teraz nie możemy się dłużej zatrzymać; Yuma nie powinni nas zobaczyć. W jakiej odległości jechali za Old Shatterhandem?

— Prawdopodobnie tak blisko, że mogą się w każdej chwili ukazać na horyzoncie.

Kto inny byłby zapytał obecnie o liczbę nieprzyjaciół; Winnetou był jednak zbyt dumny na to. Odwinął łąso, uwiązał do niego swój koc santillowy i skinąwszy na wojowników, żeby uczynili to samo ze swoimi derkami ruszył naprzód wlokąc koc za sobą po ziemi. W ten sposób powstaje jeden szeroki trop, wskazujący tylko na to, że ktoś tędy przejeżdżał; szczegółów jednak nie można rozpoznać, ani też nie da się oznaczyć liczby koni i ludzi. A nam zależało właśnie na tym, żeby Yuma nie dowiedzieli się jaką mają przed sobą siłę.

Kłusem ruszyliśmy dalej. Jechałem pomiędzy Winnetou i Nalgu Mokaszi. Ten nie pozdrowił swojego syna nawet spojrzeniem, chociaż z okoliczności w jakich nas spotkał mógł wywnioskować, że chłopiec przeżył rzeczy niezwykle. Takim już jest Indianin. Wódz kochał swoje dziecko z pewnością nie mniej niż biały; ale byłoby to oznaką słabości i niemęskości, gdyby jakimś pytaniem lub słowem zdradził swą troskę o syna.

Nareszcie wynurzył się przed nami, nieco z boku leżący, ów las tak wielką odgrywający rolę w naszych przygodach. Skierowaliśmy się tak, aby mieć go po prawej ręce i aby zasłaniał nas przed wzrokiem Yuma. Niebawem natrafiono na wystający cypel lasu, który nadawał się wybornie na zasadzkę; objechawszy go zatrzymaliśmy się po przeciwnej stronie.

Tutaj znowu pokazało się, jak wielki wpływ wywierał Winnetou na wszystkich z którymi obcował. Nalgu Mokaszi i wielu z jego ludzi przewyższali Winnetou wzrostem i zewnętrzną postacią; byli między nimi znani i waleczni wojownicy, którzy siali postrach wśród nieprzyjaciół, a jednak teraz, skoro zatrzymaliśmy się, spoglądali wszyscy na Apacza, czekając jakie wyda zarządzenie. Uznano go milczącą ugodą za dowódcę, pomimo, że nie należał do Mimbrenjów, a właściwy wódz Nalgu Mokaszi nie okazywał, ani nie odczuwał nawet cienia zazdrości. Tak nieodparte wrażenie wywierał Winnetou wszędzie, nawet na wrogów i na białych, którzy zwykle nie mają ochoty poddawać się rozkazom czerwonoskórych.

On znowu nie zwykł przedsiębrać nic, a przynajmniej nic ważnego, nie porozumiewając się przedtem ze mną. Naturalnie trzeba być baczny obserwatozem, żeby to poznać. Przeważnie nie zadawaliśmy sobie pytań; jeden rzut oka wystarczał do porozumienia się, a skoro zawodził, resztę dopowiadał ruch ręką, ramionami lub wreszcie potakujące, lub przeczące skinieniem głowy. Zżyliśmy się tak blisko, że myśli jednego drugi już naprzód przeczuwał.

Gdy byliśmy sami przechodziło nawet kilka godzin, a my nie zamieniliśmy ani słowa ze sobą. Nawet niebezpieczeństwo spadające nagle nie zawsze zmuszało nas do otwierania ust; wymiana zdań ograniczała się do jednego, krótkiego skinienia. Skoro jednak znalazło się więcej ludzi z nami mniej skąpiliśmy słów, aby inni mogli nas pojąć. Gdy zamierzaliśmy coś, co dla nas było naturalne, a dla innych trudne do podjęcia, albo nawet niedorzeczne, Winnetou udzielał chętnie wyjaśnień, mianowicie w ten sposób, że zamieniał ze mną pytania i odpowiedzi. Taka rozmowa, jakkolwiek krótka zawierała zwykle pouczenie dla słuchających.

Gdy więc teraz oczy wszystkich, nawet wodza, spoczęły na nim, zwrócił się do mnie i rzekł:

— Czy Old Shatterhand uważa to miejsce za odpowiednie?

Skinąłem potakująco głową i zsiadłem z konia.

— Czy dwie straże wystarczą?

— Jeden jedyny człowiek, dopóki się nie ściemni.

— Niech więc wojownicy Mimbrenjów rozsiodłają swoje konie i puszcza je na paszę. Old Shatterhand i Winnetou pozostawią swoje w pogotowiu.

To powiedziawszy zsiadł i podobnie jak ja rzucił uzdę na kark konia.

Widać było, że jego słowa wywołały powszechne zdumienie. Mimbrenjowie przypuszczali, że zaczaiemy się tutaj i nie zsiadając z koni zaczekamy na Yuma, aby wypaść na nich niespodziewanie; nawet wódz był tego mniemania, gdyż zapytał Winnetou:

— Dlaczego mój brat chce dać koniom zupełną swobodę? Przecież będą nam potrzebne, skoro Yuma nadjadą.

Przez usta Winnetou przemknął dobrze mi znany uśmiech wyrozumiałości, gdy odpowiedział pogodnie:

— Mój brat przypuszcza, że Yuma nadejdą?

— Tak; przecież Old Shatterhand to powiedział.

— Słusznie; przyjdą, ale nie aż do tego miejsca, gdzie się znajdujemy. Skoro zobaczą nasze ślady, zawrócą i pojadą pozornie z powrotem. Zniknąwszy na zachodzie zatoczą łuk, objadą las naokoło i zbliżą się z tyłu, od zachodu, żeby nas zaskoczyć. Mamy więc dosyć czasu i możemy dać koniom swobodę.

— Czy Old Shatterhand jest tego samego zdania? — zapytał mnie Nalgu Mokaszi.

— Tak — odpowiedziałem. — Mój brat Winnetou odgadł moje myśli.

— Jeśli mimo to przyjadą aż tutaj?

— Byliby zgubieni, dlatego się też nie odważą.

Ponieważ wódz patrzył na mnie ciągle jeszcze z niedowierzaniem, więc mówiłem dalej:

— Czy sądzisz, że Yuma nie zobaczą miejsca, na którym przyłączyłem się do was?

— Zobaczą je, gdyż nie są ślepi; nie będą jednak wiedzieli kim jesteście, ani ilu wojowników liczymy.

— Mylisz się. Poznają po tropie, że połączyłem się z wam dobrowolnie; wywnioskują, że jesteście moimi przyjaciółmi. Ponieważ widzieli ze mną twojego syna, więc łatwo mogą domyślić się reszty.

— Ale nie poznają ilu nas jest!

— Nie mogą obliczyć dokładnie, tylko w przybliżeniu; skoro zesliśmy się, stali twoi wojownicy obok siebie, a nie jeden za drugim i pokryli dużą przestrzeń śladami.

— Te ślady zatarliśmy przecież!

— Tak, śladów pojedynczych nie widać, ale widać całą przestrzeń. Im większa ta przestrzeń, tam więcej ludzi musiało jej zajmować. Jeśliby Yuma nie powiedzieli sobie tego, to byliby mniej wari od starych kobiet; jestem przekonany, że pojdziesz to jeszcze łatwiej, niż oni.

Wódz poczuł się nieco zawstydzony i odpowiedział prędko:

— Wiedziałem to już dawno, a pytałem tylko po to, aby moi wojownicy słyszeli także; — dlaczego jednak powiedział Winnetou, że jego i twój koń mają pozostać pod siodłem?

— Wódz Apaczów powiedział, że Yuma spróbują nas podejść zawracając na pozór i objeżdżając las. Chcę ich przy tym obserwować, żeby się przekonać o słuszności naszego przypuszczenia, a ja mu mam towarzyszyć. Dlatego nasze konie, które są najszybsze mają stać w pogotowiu.

— Uff! Moi bracia mają słusność; niech będzie tak, jak powiedzieli.

Podczas tej rozmowy ja i Winnetou usiedliśmy na trawie; Nalgu Mokaszi zajął miejsce przy nas. Wojownicy rozłożyli się wokoło, uważali jednak, żeby puszczone na paszę konie nie oddaliły się poza cypel, gdyż wtedy je spostrzegą Yuma. W występie lasu jeden z wojowników ukryty w zaroślach oczekiwał ukazania się nieprzyjaciół.

Gdyby nie Winnetou i ja, byliby się chyba wszyscy Mimbrenjowie położyli na czaty. Aczkolwiek pragnęli to ukryć, zauważyłem, że w duchu nie byli tak spokojni jak wyglądali z pozorów. Winnetou natomiast zdawał się nie troszczyć więcej o Yuma; chociaż mogli się ukazać w każdej chwili, wyciągnął fajkę pokoju, aby przeprowadzić ceremonię powitania, której szczegóły zajmują przecież tak wiele czasu. Nie dziwiłem się, że Mimbrenjowie spoglądali na niego ze zdumieniem. On jednak nie zwracając na to uwagi odpiął od pasa pięknie wyszywany worek z tytoniem i napełnił *kalumet*, fajkę pokoju, ozdobiony piórami kolibrów i rzekł do mnie:

— Ponieważ musieliśmy tak prędko się cofnąć, nie mogliśmy powitać naszego białego brata; teraz jednak mamy czas; niech więc Old Shatterhand wypali z nami fajkę, poświęconą przyjaźni i pokojowi.

Kiedy zajęty był paleniem tytoniu, przybiegł spieszenie strażnik, stanął przed nim i zameldował tak natarczywie, jakby zawisło nad nami groźne niebezpieczeństwo:

— Yuma nadchodzą; widzę ich! Zbliżają się tak prędko, że będą tutaj za chwilę!

Wojownicy otaczający nas zerwali się na równe nogi; wódz nawet wykonał ruch do powstania; aliści Winnetou skarcił surowo wojownika:

— Jak śmie Mimbrenjo przeszkadzać Winnetou, gdy on zamierza palić fajkę pokoju! Co jest ważniejsze: święty dym kalumetu czy ukazanie się kilku psów Yuma, którzy zawrócą natychmiast ze strachu?

Czerwonoskóry stanął jak wryty i spuścił głowę. Winnetou zaś dodał:

— Niech Mimbrenjo wróci na swoje miejsce i niech obserwuje nieprzyjaciół, żeby mógł później, gdy skończy się ceremonia powitania Old Shatterhanda, donieść mi, że zniknęli!

Indianin odszedł zmieszany; Mimbrenjom nie pozostało nic innego, jak usiąść z powrotem, chociaż niełatwo opanowali podniecenie. Nalgu Mokaszi rad był zapewne, że nie zerwał się na równi z innymi i nie ośmieszył w ich oczach.

Tak pewny siebie był Winnetou! Bądź co bądź przecież Yuma mogli bez zastanowienia się pojechać dalej; w tym wypadku nie zaskoczyliby nas co prawda niespodziewanie, przeszkodziłoby jednak ceremonii, a to przynosi zły omen, niemal hańbę.

Palenie fajki pokoju tak często opisywałem, że mogę je tutaj opuścić; nadmienię tylko, że trwało bardzo długo zanim kalumet kilkakrotnie napełniany i zapalany przeszedł przez tyle rąk i ust. Winnetou, Nalgu Mokaszi i ja musieliśmy, każdy z osobna, powiedzieć przemowę, którą wygłosiliśmy stojąc. Pociągnąwszy z fajki sześć razy wypuściliśmy dym ku niebu, ziemi i na wszystkie cztery strony świata; pozostali Indianie wykonali tylko po dwa pociągnięcia i wydmuchiwali dym w twarze swoich sąsiadów.

Dwaj jednak nie śmieli brać udziału w tej uroczystości; mianowicie synowie wodza. Nie należeli do wojowników, nie mieli jeszcze imion, więc stali z daleka, poza kołem siedzących. Jak wspomniałem już pasowaniu na wojowników towarzyszą warunki bardzo surowe, z których rezygnuje się tylko w rzadkich wypadkach, z niezwykłych powodów lub na wyjątkowe polecenie. Nie mniejsze trudności przechodzi nowy wojownik, gdy po raz pierwszy ma zapalić fajkę pokoju. Właściwie powinien sam przynieść świętą glinę z czerwonych kamieniołomów, z której ma ulepić głowę kalumetu; szczepy mieszkające na południu nie mogą wypełnić tego warunku, stawiając za to inne żądania, niewiele łagodniejsze.

Człowiek, który waży się obejść te warunki i kanony musi wielkie posiadać imię i być bardzo pewnym swego, jako że naraża się na niebezpieczeństwo utraty życia, albo przynajmniej na bezpowrotne odtrącenie. Mimo tego byłem zdecydowany podjąć sprawę młodego Mimbrenja, uważając że wynik nie przyniesie mi szkody.

Gdy Winnetou otrzymał kalumet z powrotem od ostatniego Indianina i worek z tytoniem chciał zawiesić u pasa, wziąłem mu jedno i drugie z ręki mówiąc:

— Niech mój czerwony brat pozwoli mi jeszcze swego kalumetu. Jeden z nas nie chłonał dymu fajki pokoju, chociaż jest godzien wziąć ją do ręki, jako jeden z pierwszych.

Słowa te wywołały zdziwienie, chociaż niezbyt wielkie; przypuszczano, że mówię o strażniku, który czuwał na skraju lasu i nie mógł brać udziału w ceremonii. Jednakże okoliczność, że nie tylko pamiętam o nim, lecz nazwałem go nawet jednym z pierwszych, musiała wydawać się im bardziej osobliwą. Napełniłem tymczasem fajkę, wstałem, wyszedłem z koła, chwyciłem rękę chłopca, wprowadziłem go do środka, na moje miejsce i powiedziałem zwracając się do wszystkich siedzących:

— Tutaj stoi Old Shatterhand. Niech moi czerwoni bracia słuchają i patrzą, co powie i co uczyni. Kto będzie potem innego zdania, ten może walczyć z nim na śmierć i życie!

Zapanowała głęboka, uroczysta cisza. Oczy wszystkich były przykute do mnie i do chłopca. Ręka młodzieńca drżała w mojej dłoni; przeczuwał jak ważna nadeszła dla niego chwila.

— Niech mój brat uczyni to co mu powiem, od razu i śmiało nie zwlekając ani chwili! — szepnąłem.

— Postąpię tak, jak mi Old Shatterhand każe, — odpowiedział młody Mimbrenjo równie cicho.

Zapaliłem fajkę, pociągnąłem raz, wypuściłem dym ku niebu i rzekłem:

— Ten obłok świętego dymu idzie do Manitou, Wielkiego Dobrego Ducha, który zna wszystkie myśli i zapisuje czyny zarówno najstarszego wojownika, jak najmłodszego chłopca. — Tutaj siedzi Nagu Mokaszi, sławny wódz wojowników Mimbrenjów; jest moim przyjacielem i bratem, a moje życie jest jego własnością. A tu przy mnie stoi syn jego, wiekiem chłopiec, czynami jednak wytrzymały wojownik. Wzywam go, aby postąpił za moim przykładem i dał Wielkiemu Manitou święty dym kalumetu!

Przy ostatnich słowach podałem fajkę chłopcu. Włożył ją natychmiast do ust, pociągnął głęboko i wydmuchnął dym ku niebu. Była to z jego strony zuchwałość, za którą wszakże nie on, a ja odpowiadałem. Skutek okazał się natychmiast. Nic podobnego nie widzieli dotąd; chłopiec bezimienny palił fajkę pokoju! Indianie powstali i podnieśli głośnie okrzyki. Wódz zerwał się również i utkwiał we mnie osłupiały wzrok. Tylko Winnetou siedział spokojnie; na jego spizowym obliczu nie można było wyczytać ani zgody, ani potępienia mego czynu. Ja tymczasem skinąłem ręką na znak milczenia, wziąłem fajkę z powrotem, wykonałem pięć pozostałych pociągnięć i dałem ją znowu chłopcu, który zdecydowany aa wszystko naśladował mnie szybko. Na to podniosły się głośnie wycia, okrzyki gniewu przelatywały z ust do ust. To co uczyniłem uważano za znieważenie świętych zwyczajów narodu. Oczy wszystkich błyszczały groźnie; pięści zaciskały się, wyciągano noże, a z okrzyków, które słyszałem, powtarzał się zwłaszcza jeden:

— Chłopiec, który nie ma imienia!

Wódz, aczkolwiek chodziło tutaj o jego własnego syna, nie zgadzał się ze mną absolutnie; chwycił chłopca za plecy, odsunął ode mnie i zawołał:

— Na co się Old Shatterhand odważył! Gdyby to był kto inny, zabiłbym go na miejscu! Chłopcu, który nie ma imienia, dać kalumet?! Taki czyn śmiercią się karze. Staniesz przed sądem plemienia; nie mam mocy, aby cię obronić, chociaż jesteś moim przyjacielem.

Gdy zaczął mówić Mimbrenjowie uspokoili się nieco. Chcieli słyszeć jego słowa. Teraz przeszedł przez ich szeregi przychylny pomruk zadowolenia i zgody. Chłopiec stał przy swoim ojcu i pomimo groźnej postawy wojowników spoglądał na mnie z ufnością. Właśnie chciałem odpowiedzieć, gdy nagle wstał Winnetou, skinąłem ręką, obrzucił wszystkich obecnych długim, dojmującym spojrzeniem i oto rozległ się głos jego dźwięczny, który słyszeć było daleko, nawet wtedy, gdy nie natężał go wcale:

— Nalgu Mokaszi nie ma mocy obronić Old Shatterhanda? Kto powiedział, że nasz przyjaciel potrzebuje jego wsparcia. Jeśliby chodziło o obronę, Winnetou walczyłby za swego białego brata; ale kto śmie twierdzić, że Old Shatterhand nie potrafi się ostać o własnej sile? To co zrobił jest czynem niezwykłym; on go jednak usprawiedliwi. Jedynie tego, kto nie ma imienia, pomija się paląc fajkę pokoju. Czy ten chłopiec rzeczywiście nie ma imienia? Zapytajcie Old Shatterhanda! On wie to lepiej niż wojownicy Mimbrenjów!

Bystrość naprowadziła go na trafny domysł; nie byłoby mi przyszło do głowy dawać młodzieńcowi kalumetu, gdybym nie miał przygotowanego dlań imienia.

— Wódz Apaczów ma słuszość! — zawołałem głośno. — Z czyjej fajki paliliśmy? — Z jego! — Kto ma więc prawo czynić mi wyrzuty? — Tylko on! — A czy zarzuca mi zniewagę? — Nie, gdyż zna mnie i wie, że Old Shatterhand nie robi nic bez namysłu. Czy ten, którego nazywacie chłopcem, należy do obcego, nieprzyjacielskiego szczepu? — Nie; należy do was! Powinniście więc być dumni z tego, że Old Shatterhand pali kalumet ze synem waszego wodza. A wy tymczasem wybuchacie gniewem, powiadam wam, że muszę się bardzo zdziwić waszym postępowaniem!

— On nie ma imienia! — zawołano w odpowiedzi.

— Kto tak twierdzi?

— My wszyscy, a przede wszystkim ja! — odrzekł Nalgu Mokaszi. Jako ojciec wiem dobrze, czy ma imię, czy nie.

— Ja wiem lepiej, chociaż nie jestem jego ojcem. Jak długo nie było go z wami? Co się stało tymczasem? Co wykazał i czego dokonał? Czy wiesz coś o tym? Milczysz! Powiedz mi więc tutaj, wobec swoich wojowników, czy Old Shatterhand ma prawo dać komu imię?

— Tak jest. Old Shatterhand ma to prawo.

— Czy poczułbyś się obrażony z powodu imienia nadanego przeze mnie?

— Każdy wojownik Mimbrenjów wyrzekłby się chętnie i z dumą swego dotychczasowego imienia, aby nowe dostać od Old Shatterhanda.

Wtem wziąłem znów chłopca za rękę i zawołałem donośnym głosem:

— Słyszycie słowa waszego wodza; teraz uważajcie, co powiem! Tu stoi Old Shatterhand, a obok niego jego młody przyjaciel i brat Yuma Shetar. Narażał on swoje życie dla mnie; ja oddam moje życie dla niego. Patrzcie na tę zdobytą broń, którą ma przy sobie! Yuma Shetar będzie wielkim wojownikiem swego plemienia!

Yuma Shetar znaczący tyle co „Tępiciele wojowników Yuma”. Oczy mojego młodego przyjaciela zabłyśły radością; ale zarazem napłynęły łzami. Winnetou podszedł do niego, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Yuma Shetar jest to zaszczytne imię. Old Shatterhand nadał ci je, musiałeś więc: na nie zasłużyć. Winnetou cieszy się, że może cię nazywać Yuma Shetar; jest on twoim przyjacielem i chętnie wypali z tobą kalumet. Daj go tutaj!

Wziął fajkę z ręki młodzieńca, zapalił ją i „wypił” z nim dokładnie w taki sam sposób, jak ja to poprzednio uczyniłem. Wódz przypatrywał się bez słowa; widziałem, że wargi jego drżały od nadmiaru wzruszeń. Oblicza Mimbrenjów odmieniły się również. Winnetou pochwycił Tępiciele Yuma za rękę; ja go wziąłem za drugą i powiedziałem:

Wojownicy Mimbrenjów widzą tutaj trzech braci: Winnetu, Yuma Shetara i Old Shatterhanda, którzy trzymają się wiernie razem. Yuma Shetar szedł ze mną w niebezpieczeństwo śmierci; gdy Yuma wzięli mnie do niewoli i miałem umrzeć na palu męczarni, on jechał za nimi, aby mnie oswobodzić. W godzinie mego uwolnienia stał u mojego boku i gdy wrogowie chcieli porwać mnie powtórnie zabił dwóch z ich wojowników. Towarzyszył mi wszędzie, aż do tej chwili. Widziałem go mężnego w walce, chytrego, rozważnego w ściganiu nieprzyjaciół. Niejeden stary wojownik nie potrafiłby tego, czego on dokonał. Dlatego ja jestem nim, a on jest mną, Winnetou zaś, wódz Apaczów, połączył się z nami nierozdzielnie, wiernym przymierzem. Niech wystąpi, kto się temu sprzeciwi; ostrzegam, że kto obrazi jego, nas obrazi. Chodźcie tutaj wszyscy! Jesteśmy gotowi walczyć z wami za Yumę Shetara!

Na te słowa stary wódz nie mógł się już dłużej opanować. Wydawszy nieartykułowany okrzyk zachwyty wyrwał swój nóż z pasa i zawołał:

Yuma Shetar nazywa się ten waleczny wojownik, którego ja jestem ojcem, słyszycie? Yuma Shetar! Old Shatterhand, wielka błąda twarz nadał mu to imię, a Winnetou, naj słynniejszy Apacz, nazwał się jego przyjacielem i bratem. Kto między wami ma coś przeciw temu imieniu? Kto chce jeszcze gniewać się na to, że Old Shatterhand palił z moim synem fajkę pokoju? Kto? Niech przyjdzie tu do mnie i niech wyciągnie swój nóż. Wytnę mu duszę z ciała, a jego śmierdzące mięso dam sępom na pożarcie! Przez chwilę panowało głębokie milczenie; wreszcie zawołał jeden z Mimbrenjów:

— Yuma Shetar! Yuma Shetar, Yuma Shetar! — krzyknęli za nim wojownicy, nie myśląc już wcale o Yuma, którzy przecież znajdowali się w pobliżu. Potem wszyscy w stu pięćdziesięciu zaczęli cisnąć do nas, ażeby potrząsnąć ręką ich nowego i najmłodszego towarzysza. Pierwotna niechęć zamieniła się w zachwyty. Stary wódz pochwycił mnie za obie ręce i chciał rozpocząć mowę dziękczynną, przeszkodził mu jednak Winnetou:

— Mój brat może później powiedzieć co czuje jego serce; teraz już nie ma na to czasu. Dzień się kończy i ściemnia się szybko. Tam oto stoi wywiadowca, który chce z nami porozmawiać. Czas już abyśmy poszli śledzić prześladowców.

Miał słuszość, bo strażnik już wyszedł zza krzaków i stał niedaleko nas. A więc nie miał już kogo obserwować; wszakże poprzednio skarcony nie odważył się teraz zbliżyć bez wezwania. Podszedł dopiero na skinienie Winnetou i rzekł:

— Yuma nadjechali, później jednak zawrócili w tym samym kierunku, skąd przyszli.

— Na jaką się odległość zbliżyli?

— Nadeszło naprzód dwóch wywiadowców; zatrzymali się na miejscu, gdzie spotkaliśmy Old Shatterhanda i zaczęli na główny oddział. Po długim obserwowaniu śladów pojechali Yuma jeszcze kawałek dalej, aby przypatrzeć się naszemu tropowi; następnie zawrócili powoli i zniknęli na horyzoncie.

Winnetou skinął ręką na znak, że strażnik może odejść i odezwał się do wodza:

— Nałgu Mokaszi słyszy, że miałem słuszość. Yuma zawrócili, ale tylko w tym celu, żeby nas zmylić i uspić naszą czujność. Niech wojownicy Mimbrenjów zostaną tutaj, dopóki nie powrócę z Old Shatterhandem.

Dosiedliśmy koni. Gdy odjeżdżaliśmy wieczór już tak ciemniał, że z wielką trudnością można było rozpoznać ślady kopyt końskich. Wyprawa nasza zaczęła nabierać cech awanturnicznych; w ciemną noc mieliśmy odszukać i śledzić wroga, o którym wiedzieliśmy, a raczej przypuszczaliśmy jedynie, że jechał już nie w tym kierunku, w którym się oddalił.

Ilekróć przedsiębrałem z Winnetou takie wyprawy z pozoru na ślepo, zawsze podziwu godny instynkt Apacza prowadził nas do celu! Cieszyłem się więc, że będę mógł dzisiaj znowu, po tak długiej rozłące, być świadkiem jego olśniewającej bystrości.

Ażeby zrozumieć sytuację, w jakiej znajdowaliśmy się, należy sobie przedstawić las o długości dwóch godzin jazdy konnej, szerokości mniej więcej pół godziny. Ciągnął się prawie dokładnie z zachodu na wschód. Na stronie południowej, blisko wschodniego końca leżał ów cypel, za którym zostawiliśmy Mimbrenjów. Należało zatem przypuszczać, że Yuma, wracając w kierunku zachodnim objada las od strony pomocnej, skręca na południe, następnie pójdą wzdłuż jego południowej strony, żeby nas niespodzianie napaść od zachodu. Chcąc więc trafić na nich powinniśmy dostać się zawczasu do skraju północnego i tam oczekiwać ich przybycia. Tak właśnie postąpiliśmy; objechawszy las od strony wschodniej zatrzymaliśmy się na jego północno — wschodnim rogu pewni, że uprzedzamy Yuma, gdyż nie mogli tutaj przyjechać przed nastaniem zupełnej ciemności. Do tej chwili nie mówiliśmy nic; teraz zapytałem krótko:

— Ty dalej, czyja?

— Jak Old Shatterhand chce, — odpowiedział Apacz.

— Więc niech Winnetou pojedzie dalej; jego uszy są lepsze od moich.

— Słuch błyskawicy wesprze ucho mojego przyjaciela. Jaki znak sobie damy?

— Nie nadaje się krzyk orła, gdyż w tej okolicy orłów nie ma.

— Więc niech Old Shatterhand naśladuje pumę; te zwierzęta są tutaj dosyć pospolite.

Po tych słowach odjechał Winnetou; kroki jego niepodkutego konia były prawie niedosłyszalne. Rozdzieliliśmy się, nie wiedząc, w jakiej odległości od lasu będą przejeżdżać Yuma; dlatego jeden z nas musiał zająć dalsze, a drugi bliższe stanowisko. Naturalnie, skraj lasu nie szedł w prostej linii, lecz tworzył liczne zakręty, wzdłuż których nie jechałby Yuma na pewno. Musieliśmy wyczuć mniej więcej położenie obranej przez nich drogi; tutaj mógł nam pomóc tylko instynkt i doświadczenie. Gdybyśmy ustawili się za blisko lub za daleko lasu, minęliby nas niepostrzeżenie. Mimo to nie zamieniliśmy ani jednego słowa o tym szkopule, gdyż każdy musiał zdać się na własną roztropność.

Odjechałem nieco od lasu, następnie zsiadłem i położyłem się na ziemi. Mój koń zaczął natychmiast skubać trawę.

— Hatatitla, iteszkuś! — Hatatitla, połów się, — rzekłem.

Koń wyciągnął się natychmiast i od tej chwili nie poruszył ani jednego źdźbła. Szmer wywołany zrywaniem trawy byłby mi przeszkadzał słyszeć z daleka nadjeżdżających Yuma. Leżałem tuż przy koniu, ażeby go móc lepiej obserwować. Winnetou powiedział zupełnie

słusznie, że słuch karosza wesprze moje uszy; wiedziałem, że mogę pod tym względem liczyć na szlachetne zwierzę.

Leżałem głową na wschód, skąd mieli nadejść Yuma. Koń był zwrócony w tym samym kierunku. Od czasu do czasu podnosił głowę i wyciągał powietrze powoli, badawczo przez nozdrza. Wtem — po upływie mniej więcej kwadransa — zamienił się cichy początkowo oddech konia w silniejsze parskanie; karosz nadstawił uczu i zdawał się czegoś wyczekiwać. Przyłożyłem głowę do ziemi, nic jednak nie mogłem usłyszeć.

Teraz parsknął koń głośniejsz, atoli nie z obawą, jakby to był uczynił za zbliżeniem się dzikiego zwierzęcia. Nadchodzili zatem ludzie. Położyłem rękę na nozdrzach karosza i przycisnąłem je; wiedziałem, że od tej chwili zwierzę dzięki indiańskiej tresurze, otrzymanej od Winnetou nie wyda żadnego głosu i nie poruszy się nawet gdyby strzelano.

Teraz należało życzyć sobie, żeby kierunek, w którym się posuwali zbliżający, nie prowadził wprost przeze mnie. Niebawem okazało się, że obawa moja co do tego była przesadna. Po pewnym czasie usłyszałem głuchy odgłos wielu kopyt końskich; zbliżały się coraz bardziej i jak się zdawało, wprost na mnie. Wtem zobaczyłem ciemną masę ludzi i zwierząt; teraz nie mogłem już powstać i usunąć się, gdyż zostałem spostrzeżony. Przycisnąłem się więc do konia jak mogłem najbliżej i trzymałem silnie dłoń na jego nozdrzach.

Jeszcze chwila — oczekiwani nadjechali, szczęściem nie tak blisko jak przypuszczałem. Pierwszy minął mnie w odległości trzydziestu może kroków; za nim postępowali inni jadąc nie pojedynczo, lecz gromadnie, po kilku obok siebie. Twarzy nie mogłem rozpoznać, a postacie bardzo niewyraźne; liczba jednak zgadzała się mniej więcej: byli to Yuma.

Na koniec nadciągnęli dwaj maruderzy; zbaczając nieco na lewo, zbliżyli się do mnie na mniej więcej piętnaście kroków. Postać konia i moje własne ciało tworzyły ciemną, odbijającą się od krótkiej trawy masę, której prawie nie można było nie zauważyć z tak małej odległości. I rzeczywiście, stało się; obydwaj draby zatrzymali swoje konie i zwrócili głowy w moim kierunku. Jaki będzie tego wynik? Jeślibym leżał dalej spokojnie, podeszliby na pewno do mnie. Musiałem ich przestraszyć i odpędzić. Do tego nadawał się najlepiej znak umówiony z Winnetou. Lecz — jeśliby mnie uważali za prawdziwego kuguara i strzelili do mnie! Miałem jednak nadzieję, że nie będą strzelać, gdyż huk mógł stąd łatwo dojść aż do uszu Mimbrenjów.

Jeden z nich zwrócił już konia w moją stronę. Wyprostowałem się do połowy, żeby nadać sobie wielkości zwierzęcia, którego głos chciałem naśladować i ryknąłem krótko, a gniewnie, jak gotująca się do obrony puma. Indianin wydał okrzyk przestachu i cofnął się szybko; gdy następnie powtórzyłem ryk, ruszyli obydwaj z wielkim pośpiechem za swoimi towarzyszami i niebawem znikli mi z oczu. Dzięki Bogu udał się rozpaczliwy podstęp! A jak łatwo mógł ryk mój sprowadzić z powrotem wszystkich Yuma!

Zaledwie znikli, a ja dosiadłem konia, ukazał się Winnetou.

— Gdzie? — zapytał krótko.

— Tam, przed nami.

— Dlaczego mój brat ryczał dwa razy? Raz wystarczyło.

— Ponieważ Yuma zobaczyli mnie leżącego i musiałem ich wystraszyć.

— Uff! Jeśli tak, to Old Shatterhandowi szczęście dopisało!

Od tej chwili nie zamieniliśmy przez dłuższy czas ani słowa. Jechaliśmy w milczeniu za czerwonoskórymi w takiej odległości, że rozpoznawaliśmy ich jako niewyraźną plamę na łące; oni jednak nie mogli nas zobaczyć absolutnie, ani też słyszeć kroków naszych koni.

Tak jechaliśmy przez dwie godziny wzdłuż północnego skraju lasu; następnie zboczyliśmy na południe, równoległe do jego strony zachodniej. Winnetou odezwał się teraz, wypowiadając moje własne myśli:

— Ponieważ Yuma nie wiedzą, gdzie są Mimbrenjowie, więc rozłożą się wkrótce obozem i wyślą wywiadowców.

— Mój brat ma słuszość. Wyprzedzimy ich i zaczekamy.

Niebawem wynurzył się przed nami południowo — zachodni róg lasu; Yuma zatrzymali konie, my zaś cofnęliśmy się nieco, aby uniknąć przygodnego spotkania.

— Niech Old Shatterhand potrzyma wodze mojego konia — rzekł Winnetou. — Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie oni się znajdują.

Zeskoczył z siodła i odszedł. Miejsce gdzie zostałem leżało w odległości może czterystu kroków od czerwonoskórych. Nic nie zdradzało ich obecności, gdyż oczywiście nie odważyli się zapalić ogniska. Nie przeczuwali, że Mimbrenjowie, przed którymi tak bardzo mieli się na baczności, byli od nich oddaleni zaledwie o dwie godziny drogi.